



SIECI

PREMIER SŁOWENII
JANEZ JANŠA MÓWI NAM.
DLACZEGO WSPARŁ POLSKĘ I WĘGRY

KUKIZ
WRACA DO GRY.
CZY WESPRZE PIS

NIEMIECKI OBOZ
KONCENTRACYJNY
DLA POLSKICH DZIECI

NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE

Nr 50 (419) 2020
7–13 grudnia 2020

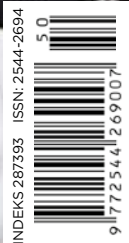
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

SIECI

JULIA
PRZYŁĘBSKA:

TO BYŁ WYROK
W IMIĘ
PRAWA,
A NIE POLITYKI

PREZES TRYBUNAŁU KONSTYTUCYJNEGO
W PIERWSZYM WYWIADZIE PRASOWYM
PO GŁOŚNYM ORZECZENIU W SPRAWIE ABORCJI.
CZY SĘDZIOWIE MOGLI ZDECYDOWAĆ INACZEJ?
CO DALEJ?



INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694





「NOWA OFERTA TELEWIZYJNA ULUBIONE KANAŁY W JEDNYM PAKIECIE ZA 30 ZŁ/MIES.」



Na start pełna oferta TV przez

**3 MIESIĄCE
BEZ OPŁAT!**



TV SATELITARNA

TV KABLOWA IPTV

Zaprezentowano kanały z różnych ofert telewizyjnych. Promocja dla nowych Klientów telewizji satelitarnej i kablowej IPTV przy umowach z pakietem M z okresem podstawowym na 24 okresy rozliczeniowe, w którym cena wynosi 30 zł/mies. „Bez opłat” nie dotyczy opłaty jednorazowej za aktywację dekodera, usług dodatkowych na czas nieokreślony oraz opłat za internet. Szczegóły w Warunkach Oferty, Regulaminie Promocji i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl. Oferta ważna do 27.12.2020 z możliwością przedłużenia.

„Joker”. © Warner Bros. 2019. „Faworyta”. © 2018 Twentieth Century Fox Film Corporation, TSG Entertainment Finance LLC, Channel Four Television Corporation and Jayhawk Holdings, LLC. „Paragraf 22”. © Paramount. Wszystkie prawa zastrzeżone. LaLiga Santander, Bundesliga, Serie A TIM w ELEVEN SPORTS. Zdjęcia: DFL/Bundesliga via Getty Images, Getty Images.

Neomarksizm w pełnej krasie

Sytuacja staje się coraz bardziej kuriozalna. Skrajnie ordynarna i po menelsku wulgarna Marta Lempart idzie jak taran ze swoim neomarksistowskim programem, uzurpując sobie rolę reprezentantki kobiet. I choć miała czelność nazwać swój ruch Strajkiem Kobiet, zdecydowanie nie jest twarzą większości z nas. Kim więc jest? Wygląda na kogoś, kto czuje się absolutnie pewny i bezkarny. Na osobę delegowaną do zadań specjalnych i osłanianą przed skutkami prawnymi jej działań. Można odnieść wrażenie, że powierzono jej misję skrajnego rozchwiania społecznych emocji i doprowadzenia do krwawych starć z policją, obliczonych na destabilizację państwa. Jest agresywna, nieobliczalna, pełna pogardy do ludzi i niezwykle przydatna w procesie obalania władzy. Urządzane przez nią protesty są podobno apolityczne, choć wyraźnie widać, że politykom opozycji bez przerwy mylą się role. Nie mogą się zdecydować, kim są: parlamentarzystami czy zadymiarzami. Momentami stają się wręcz wykonawcami bojowych żądań liderki anarchistycznej rewolty, w której rozkazy potulnie się wsłuchują. Podobnie jest z dziennikarzami, bezwzględnie segregowanymi przez Strajk Kobiet na przydatnych i resztę nazywaną „psami”.

Przygotowywane przez lata teoretyczne podłoże rewolucji kulturowej teraz weszło w fazę praktycznej realizacji. Destabilizacja żywi się takimi ruchami, a inżynierowie nowego ładu doskonale wiedzą, jak przekuć go w rozmontowanie państwa i przejęcie władzy na nowych warunkach. Neomarksistowskie postulaty Marty Lempart mają wywołać antykatolicką, anarchistyczną rebelię pod hasłem „narodowej apostazji” i zanegowania prawa. Walkę z Kościołem Strajk Kobiet wybija na pierwszy plan. W założeniach programowych dział „świeckie państwo” rozpisany został bardzo szczegółowo. Jego ważnym elementem jest „akcja odjanapawiania przestrzeni publicznej”, propagandowe niszczenie autorytetu Kościoła, atakowanie kapłanów, zachęcanie i instruowanie wiernych do złożenia aktu apostazji, usunięcie religii ze szkół.

Organizacja Lempart zajęła się też aktywnie edukacją. Naczelny postulat to powtarzane do obłędu „wyp...ć”, kierowane do ministra edukacji, ale są i szczegółowe propozycje. Zespół edukacyjny oświadczył, że „zbiera postulaty z ulicy” i czuje się zobowiązany działać „w obliczu niekompetencji obecnego ministra”. Co proponuje? Totalną degradację szkolnictwa i sprowadzenie matury do poziomu klasówki. Wśród żądań znalazły się takie, jak odwołanie matur ustnych, przedstawienie puli zadań do wyboru, wydłużenie czasu egzaminu, formułowanie przez MEN „pewniaków maturalnych”, „dostosowanie egzaminu powtórkowego do trudności napotkanych w pierwszych podejściach”, „przygotowanie kilku tematów wypracowania do wyboru”. Prawda, że ambitnie? Jakże cieszą ta ciekawość, pasja i pęd do nauki. Taka młodzież to prawdziwy skarb. Przyszłość Polski jest bezpieczna, a jej rozwój pewny. Zwłaszcza gdy moralną opiekę nad nowym pokoleniem roztacza Marta Lempart – mistrzyni mowy polskiej, i Klementyna

Suchanow – oskarżana przez dużo młodszego od siebie Michała „Margot” Szutowicza o molestowanie seksualne i przemoc domową. Postulaty edukacyjne są jak – jak widać – tak samo beczelnie roszczeniowe, jak wszystkie pozostałe. Bezrefleksyjna matura dla wszystkich na żądanie. Tak jak aborcja.

Neomarksizm w pełnej krasie. Odebrać rodzicom prawo do wychowania i formowania światopoglądowego swoich dzieci. Od najmłodszych lat skupić je na seksualności, by nie miały chęci ani potrzeby inwestowania we własny rozwój. Przejąć kontrolę nad dorastającą „masą” i zaprogramować ją pod ideologiczne potrzeby społeczno-politycznej inżynierii. Wystarczy kilkanaście lat propagandy medialnej, indoktrynacji NGO-sów, demoralizacji, niszczenia autorytetów i wpływu portali społecznościowych, a pozbawiona tożsamości i zdrowego systemu wartości młodzież stanie się demokratyczną większością, która bezmyślnie zagłosuje za wszystkim, czego życzą sobie inżynierowie nowego ładu.

Marzena Nykiel



38

Julka i Oskarek
Konrad Kołodziejski



54

Z Anną Fotygą
rozmawia
Marek Budzisz



59

Syrena
z Morskiego Oka
Wojciech Lada

NA POCZĄTEK

- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 ZABÓJCZE ORĘDZIE**
Krzysztof Feusette
- 9 PILNA SPRAWA**
Dorota Łosiewicz
- 10 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski
- 12 WRZESZCZĄCE ULICZNICE**
Jan Pietrzak
- 13 PRZECIW SPRAWIEDLIWOŚCI I DEMOKRACJI, CZYLI O SĄDACH III RP**
Bronisław Wildstein
- 14 ZDJĘCIA Z PODRÓŻY TOMASZA WOLNEGO**
Michał Korsun
- 15 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 16 OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 17 BY NIC SIĘ NIE ZMARNOWAŁO**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 18 FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

- 22 Z JULIĄ PRZYŁĘBSKĄ**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy

KRAJ

- 26 Z JANEZEM JANŚĄ**
rozmawia Goran Andrijanić
- 30 KOALICJANT PO PRZEJŚCIACH**
Marek Pyza, Marcin Wikło
- 36 POSŁOWIE DO ZADYM SPECJALNYCH**
Stanisław Jancek
- 38 JULKA I OSKAREK**
Konrad Kołodziejski
- 42 Z DR. WŁODZIMIERZEM BODNAREM**
rozmawia Dorota Łosiewicz

ŚWIAT

- 44 ACH, CI POLACY**
Aleksandra Rybińska

OPINIE

- 47 TEN WYBÓR WCIAŻ STOI PRZED POLAKAMI**
Bernard Margueritte
- 50 NIESPODZIEWANY SOJUSZNIK**
Jan Rokita
- 54 Z ANNĄ FOTYGĄ**
rozmawia Marek Budzisz

HISTORIA

- 59 SYRENA Z MORSKIEGO OKA**
Wojciech Lada
- 62 DO OSTATNIEGO DNIA TRWAŁO TAM ZŁO**
Jolanta Sowińska-Gogacz,
Błażej Torąński

SIECI KULTURY

- 65 TALENT W KOLORZE BLUE**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 67 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba
- 68 NAUKOWY IRRACJONALIZM**
Robert Tekieli
- 69 WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli
- 70 CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski
- 72 KONFUCJUSZ I SOKRATES – JAK ŻYWI**
Jakub Augustyn Maciejewski

KUCHNIA

- 82 MOJE SMAKI: AGATA STANKIEWICZ I MAŁGORZATA NAGAT**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 83 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 84 WOJNA ŚWIATÓW**
Hanna Karp
- 86 BRAK WIEDZY**
Alina Czerniakowska
- 87 ARTYSTA, TWÓRCA – ZAWÓD CZY HOBBY?**
Lech Makowiecki
- 87 Z ŻYCIA KOŚCIOŁA**
Agnieszka Ponikiewska
- 84 O SZCZEPIONCE NALEŻY NAM SIĘ PRAWDA**
Maciej Pawlicki
- 89 TE SMUTKI...**
Leszek Długosz
- 90 ILU SZPIGÓW MASZ W DOMU?**
Andrzej Zybortowicz

Rewolucja w potwierdzaniu tożsamości



BEZPIECZEŃSTWO
TOŻSAMOŚCI



OGRANICZENIE
RYZYKA NADUŻYCIA
FINANSOWEGO



REDUKCJA
KOSZTÓW



OSZCZĘDNOŚĆ
CZASU

Szukasz nowych możliwości technologicznych, usprawniających procesy (np. KYC) w Twojej firmie? Dbasz o bezpieczeństwo swoich klientów? Twój biznes opiera się na weryfikacji tożsamości lub zawieraniu umów, w tym tych podpisywanych na odległość?

Sprawdź jakie korzyści Twojej firmie może przynieść integracja z eDO App (API).

Umów się na prezentację produktu już teraz!

Więcej na www.edoapp.pl

Sygnalista nadaaje

🔊 Marta Lempart wezwała policję do... Właśnie, do czego? Oceńcie państwo sami: „Macie postępować zgodnie z prawem i odmawiać wykonania rozkazu tego gnoja Kaczyńskiego. Bo on nie ma nic wspólnego z prawem. Znajdzie się jeden odważny w tej [niezrozumiałe słowo – red.] formacji, co ma broń? Jeden ku...wa, który nie jest tchórzem służącym Kaczyńskiemu? Znajdzie się jeden, czy nie? Bo na razie wygląda, że to my jesteśmy odważne. Chociaż nie mamy broni”. Czy to było wezwanie do zabójstwa?

🔊 Na to wygląda. Pośrednio potwierdziła to sama Lempart, która parę dni później zapewniała, że takich słów nie wypowiedziała: „Na pewno niczego takiego nie powiedziałam. Powiedziałam: »Czy znajdzie się jeden odważny policjant w całej Polsce, który powie, że chciałby, żeby policja w Polsce była państwowa, a nie partyjna«. Pytanie jest takie, czy się znajdzie jeden odważny. Cały czas na to liczę”. A my liczymy, że takie wypowiedzi jednak nie będą w Polsce uchodziły bezkarnie, nawet jeśli salon im przyklaskuje.

🔊 Podczas protestu zwolenników aborcji w Lwówku Śląskim Lempart zwróciła się do obecnych, czy mają jakieś pytanie. Znalazł się chętny, młody mężczyzna, który zadał pytanie zasadnicze: „Chciałbym zapytać, czy wszyscy naprawdę jesteście za tym, żeby dzieci pozbawiać życia aż do dziewiątego miesiąca? Bo ta pani tego od was chce”. Lempart wyrwała mężczyźnie mikrofon, po czym stwierdziła, że... „to złodziej, który ukradł nam mikrofon”.

Mentalnie to ona jest z prawdziwej bolszewii, takiej w stylu Dzierżyńskiego. Zresztą może nie tylko mentalnie.

🔊 Co ciekawe, polecen Lempart słuchają posłowie opozycji. Jedno z nagrań z demonstracji nie pozostawia wątpliwości. „Wy nam robicie korytarz i wychodzimy” – ordynowała liderka tzw. Strajku Kobiet. „Ja chcę, żebyście zrobili nam korytarz, żebyście zrobili nam przerwę w tym kordonie”. Posłowie – w tym Klaudia Jachira – robili, co im kazano. Widać spotkali wreszcie przywódcę na swoim poziomie.

🔊 I jeszcze jeden cytat z tego samego nagrania. Gdy z policyjnego megafonu rozległ się komunikat, Lempart w wulgarny sposób zwróciła się do mundurowego: „Zamknij się, k...a! Musimy zdecydować. [...] Jap...ę! Nie jesteś policją, jesteś k...a od Kaczyńskiego, więc przestań kłamać, że jesteś policją. Wyp...j! Wyp...j z tym gadaniem! [...] K...a!”. Jest coraz mniej wątpliwości, że stoimy przed dylematem: albo Polska, albo Lempart.

🔊 A **Rafał Trzaskowski** postawił polskiej policji ultimatum: „Jeżeli znowu będą naruszane podstawowe zasady, to ja, ale też bardzo wielu innych samorządowców, zastanowi się nad zawieszeniem wspierania finansowego policji. Nie może być tak, że policja podlega tak politycznej presji i niestety jej ulega”. Pomijając kłamstwo (to policja jest atakowana i prowokowana), sprawa potwierdza, że odpowiedzialność polskiej opozycji za cywilizacyjną, kulturową i ustrojową kondycję Polski wynosi dokładnie zero.

🔊
*Ryszard Terlecki
został
zapytany
o to, jak
ocenia fakt,
że prezydent
Andrzej Duda
dzwoni do
wicepremiera*

*Jarosława Gowina
w sprawie stoków
narciarskich.*

*„Z tego, co wiem,
pan prezydent jest
miłośnikiem narciarstwa,
więc rozumiem, że jest
zainteresowany tym,
żeby wyciągi działały”
– odpowiedział wicemarszałek
Sejmu. Cóż, nie da się
zaprzeczyć. Ale widać, że iskrzy,
i to mocno.*

Środowisko tzw. Strajku Kobiet promuje grafiki przedstawiające płonące kościoły. Prezes Ordo Iuris Jerzy Kwaśniewski: „Zainicjowaliśmy postępowania karne. Wobec nawoływania do przemocy – nie można milczeć”. Joanna Kluzik-Rostkowska, kiedyś PiS, teraz KO, zareagowała tak: „Te grafiki to nie żadna przemoc tylko symbol przemocowego traktowania kobiet przez k.k. [Kościół katolicki]”. Czy to samo powiedziałaby o rysunkach z płonącej synagogą lub płonącym meczetem?

Co ciekawe, pani **Kluzik-Rostkowska** jest formalnie „szefową parlamentarnego zespołu ds. naprawy Rzeczypospolitej”. Może należy uwzględnić to, że podobają się jej płonące kościoły, i zmienić nazwę tejże instytucji na „parlamentarny zespół ds. likwidacji Rzeczypospolitej”? Na pewno byłoby to określenie znacznie lepiej pasujące do programu opozycji, zakładającego przecież m.in. nowe rozbięcie dzielnicowe.

Już dziś opozycja zawzięcie walczy o założenie smyczy i Polsce, i Węgrom, i wszystkim innym państwom Unii Europejskiej. Były premier **Leszek Miller** tak mówił na konferencji prasowej w Brukseli: „25 państw patrzy na nas z obrzydzeniem i irytacją. 25 państw czeka na pieniądze, które są bardzo potrzebne, 25 państw słyszy, że Polska może ich tych pieniędzy pozbawić”. Cytujemy, ale z obrzydzeniem. Bo to obrzydliwe słowa.

Zapewne w ramach walki z sojuszem polsko-węgierskim „Fakt” pochylał się nad menu ze spotkania premierów Morawieckiego i Orbána w Budapeszcie. Nie dość, czytamy, że Morawiecki i Orbán „brną w kierunku unijnego weta”, to jeszcze omawiali sprawę „przy frykasach i dobrym winie”: „Była zupa krem z dyni, a na drugie pieczona polędwica wołowa ze smażoną gęsą wątróbką w sosie borowikowym i szary sum z rusztu w sosie gulaszowym ze smażoną kapustą kiszoną z dżemem pomidorowym”. Czy prawo do frykasów ma tylko kanclerz Merkel i jej goście?

Dzień wcześniej „Fakt” pytał na okładce: „Co zrobi premier Morawiecki? Ursula mówi: Szach”. Ursula to oczywiście szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen. W tekście czytaliśmy: „Tu i ówdzie da się słyszeć pohukiwania pewnych naszych polityków, że 26 krajów Europy bardziej potrzebuje Polski niż Polska współpracy z tymi krajami. I że Unia przyjdzie jeszcze do nas na kolanach”. W sumie stylem jak z lat 50. A przy okazji pełna dekonspiracja. Widać stawka jest naprawdę wysoka, skoro maski opadają.



Polaków straszył także, w specjalnym orędziu, marszałek Senatu **Tomasz Grodzki**. Przywoływał liberum veto i Sowietów, straszył polexitem, a całość okrasiał naprawdę szczególnie intonacją i formą ekspresji. Wyglądało to tak, jakby Grodzki został nagrany i puszczony w zwolnionym tempie albo jakby mówił do trzylatków lub pacjentów szpitala psychiatrycznego. Wbrew oczekiwaniom marszałek Senatu nie wezwał jednak państwa polskiego, by wycofało sprzeciw wobec budowy Nord Stream 2, choć był dość blisko tego postulatu.

W Brukseli policja przerwała homoorgię. Wśród zatrzymanych był eurodeputowany węgierskiego Fideszu József Szájer. Postać bardzo ważna: współzałożyciel tej partii, w przeszłości szef klubu parlamentarnego, wiceprzewodniczący parlamentu, no i także autor preambuły do konstytucji z 2012 r. „Mężczyzna miał zakrwawione ręce, być może zranił się podczas ucieczki. W jego plecaku znaleziono narkotyki” – poinformowała rzeczniczka belgijskiej prokuratury. Mocny cios. Ciekawe, czy przypadkowy, czy jednak zbieżny z bojem toczonym przez Węgry i Polskę?

„Przepraszam moją rodzinę, moich kolegów, moich wyborców. Proszę, aby ocenili mój błąd na tle 30 lat poświęcenia i ciężkiej pracy. Błąd jest ściśle osobisty, jestem jedyny, który ponosi za niego odpowiedzialność” – powiedział Szájer i zrzekł się mandatu. A Orbán dodał: „To, co zrobił, nie mieści się w systemie wartości naszej wspólnoty partyjnej. Nie zapomnimy o 30 latach jego pracy i nie wyprzemy się jej, ale jego czyn jest nie do przyjęcia i nie do obrony”. Co ciekawe, na Węgrzech plotkowano o Szájerze od lat, ale plotki to tylko plotki. Człowiek to, jak widać, zawsze zagadka.

Według mediów organizatorem imprezy w Brukseli – jednej z wielu tego typu – był niejaki David Manzheley. Jak ustalił portal wPolityce.pl, to zawodowy oszust, który w Polsce podawał się za prawnika, by następnie oszukać jednego ze swoich klientów. To prawdopodobny powód jego „emigracji”, a tak naprawdę ucieczki do Belgii. Teraz Manzheley twierdzi, że „najczęstszymi gośćmi są Polacy i Węgrzy”. Może tak, może nie. W każdym razie może lepiej, żeby naród wiedział, niż nie wiedział, nawet jak będzie bolało.

Na profilu wielkopolskiej Platformy Obywatelskiej zamieszczono taki oto wpis: „Dzisiaj mijają dokładnie 6 lat od czasu wyboru Donalda Tuska na stanowisko Przewodniczącego Rady Europejskiej. Jeden z najwybitniejszych Polaków wszech czasów”. Możliwe. Szkoda tylko, że wybrał służbę tam, gdzie wybrał.

Szanowni państwo, jesteście... tak, właśnie jesteście... sekundę, bo zapomniałem, którą ręką miałem machnąć karate, a którą kciukiem do wewnątrz, no nic, jedźmy dalej, w końcu od tego są próby... A więc szanowni państwo, jesteście w punkcie zawrotnym naszej hysterii, historii, odwrotnym... nie, przewrotnym... zwrotnym... Ale co „zwrotnym”, bo zdążyłem zapomnieć? Aha, w zwrotnym punkcie historii... No, tak, to jest jasne. I dlatego wyzywam rządzonych, rządzących, lewa ręka, palec środkowy, nie, wskazujący, a więc wyzywam, wzywam rządzących do popamiętania, zapamiętania, opamiętania... Oj, idźcie to jak po grudzie, bo ręcznie sobie zapisalem, a wiadomo, jak lekarze piszą. Przecież ja cały cennik musiałem pacjentom podawać ustnie, bo jak bym im zapisał, to bankowo byłbym w plecy. Stare dzieje. Jedźmy dalej: wzywam rządzących do tego, co następuje, a właściwie, to nie następuje. A powinno. Wzywam zatem i apeluję... Odwrotnie, apeluję i wzywam do przestrzegania praworządności, demokracji, konstytucji, praw człowieka, praw mniejszości seksualnych oraz unijnych traktatów, o ile ich treść nie stoi w sprzeczności z aktualnie obowiązującymi wykładnikami Parlamentu Europejskiego. Zapowiedziane przez rząd weto zostało już skomentowane przez posłankę Gasiuk-Pihowicz, która miała odwagę powiedzieć prawdę: weto to może sobie składać np. Holandia. Bo więcej płaci, więc więcej wymaga. A my, jako ta brzydka panna bez subwencji, możemy sobie naszym prawem weta Pałac Kultury obłożyć... I rączkami pokażę, jak okładamy, bo to musi być przekonujące już w samej warstwie wizualnej. Pomyślałem, że dobrze by było przypomnieć sobie coś, co mi najbardziej utknęło w pamięci z telewizora. Od razu mi stanął Kaszpirowski przed oczami, i to jego: „Adin, dwa, tri...”, ale co mi z tego utknęło, to nie pamiętam, bo już po „czetyrje” byłem gdzie indziej. Nawet myśleliśmy w szpitalu, żeby taką narkozę wprowadzić, ale nie wypaliło. Pacjent już prawie kimał i nagle woła na cały oddział: „Ja się nie dam kroić!”. To ja jeszcze raz: „Adin, dwa, tri tysiąca...”, a on mi, żebym przestał czarować, bo dobrze wiem, o co chodzi. To go pytam, jak mam go operować, skoro nie pozwala, a on, że operować pozwala, ale kroić się nie pozwoli. I trzeba było kroić frajera za frajer. Chyba mu na życiu nie zależało. Inna sprawa, że ja nie miałem jeszcze wtedy tak rozwiniętego języka ciała. A jako trzecia osoba już muszę. To ciało musi mówić: „Wiem, co mówię”. Bo nie jest obojętne, czy jak będę np. wspominał o wojnie, to pokaże strzelanie z karabinu, czy zaczął się czołgać po podłodze. Tutaj wszystko coś znaczy, więc lepiej mieć to dopracowane wcześniej. Lewa dłoń do dołu, prawa ręka w górę, palcem wprost w kamerę, kciuki robią dziurę, łączenie w kołyskę,

Zabójcze orędzie



KRZYSZTOF FEUSETTE

podwójne karate, wskazujące zgięte, środkowe wypięte, akordeon, walka, żółwik, ręczna pralka, cięcie szablą, prośba, uzdrowiciel, groźba... Na początek wystarczy, ale jakby człowiek wspiał się jeszcze wyżej? Taka Angela to pewnie ma z tysiąc ułożeń dłoni, no, ale to jest dojrzała demokracja.

Ostatnia sprawa, choć wcale nie tak błaha, jak mogłoby się wydawać. Czyli treść, merytoryka, przesłanie. Trzeba odbiorcę chwycić za serce już od pierwszych słów. Może: „My, naród...”? Nie, zaraz ze mnie nacjonalistę zrobią. To może: „My, Europejczycy polskiego pochodzenia, wstępujący się za granicą mówić po polsku, a myśleć po polsku to i nawet w Polsce...”. Tylko czy rozumieją? Wiem! „Miałem sen...”. Miałem sen, że żyję w wolnej, demokratycznej Polsce, w której prezydentem jest znowu Bronisław Komorowski, a premierem Donald Tusk. Krajem zaś rządzi marszałek Senatu. Wojsko go popiera i policja, i Jurek Owsiak. I ten marszałek rządzi przez trzy dekady... Nie, nie dzielmy skóry na niedźwiedziu. Jeszcze powiedzą, że lansuję się na pandemię.

Tu na pewno trzeba ostro. Dynamicznie, ale przenikliwie. „Ojczyzna nasza stanęła nad przepaścią polexitu, naród wam tego...”. Nie, znowu ten „naród”, psia jego mać. Już się na tym narodzie osiem razy z rzędu wyłożyliśmy. Po co jeszcze komuś narody? Te wszystkie państwa, miasta, imiona, zwierzęta, dobra, zwierzęta mogą zostać, ale reszta? Prędzej czy później Polska będzie musiała się zmodernizować albo ktoś ją zmodernizuje bez jej zgody. Europosłanka Spurek określiła już ramy nowej praworządności, jakiej oczekuje Bruksela. Nie wystarczy zalegalizować związki partnerskie, ani nawet uznać homoseksualne małżeństwa, teraz poprzeczka poszła w górę i trzeba się zgodzić na adopcję dzieci przez pary jedнопłciowe. Czy zatem warto kruszyć kopie o coś, co i tak nastąpi? Czy będąc po złej stronie historii mamy prawo do blokowania zmian w Europie, w tym zmiany rządu w Polsce? Czy nie ośmieszamy tym wetem dorobku naszych największych demokratów: Lecha Wałęsy, Donalda Tuska, mojej skromnej osoby czy innych słynnych Europejczyków polskiego pochodzenia? Apeluję raz jeszcze do tego samozwańczego rządu, samozwańczego prezydenta i samozwańczej większości sejmowej – z wyżyn izby refleksji wybranej w wolnych wyborach: zawróćcie z drogi w przepaść, gdyż za chwilę będzie za późno. Tej siły już nie zatrzymacie, szczególnie gdy jako opozycja zjednoczymy się pod przewodnictwem trzeciej osoby w państwie wszyscy. Także ruch pana Hołowni czy strajk pani Lempart! Bo nawet jeśli ten pierwszy ma na razie, jak mówi, za mały lont, to ona ma wielkie, jak mówi kolega Siemoniak, zaplecze. Halo, reżyserka, czy ja to też muszę pokazywać?

Pilna sprawa

Publikujemy dziś w tygodniku „Sieci” wywiad z Włodzimierzem Bodnarem, pediatrą i pulmonologiem z Przemysła. Doktor Bodnar jest przekonany, że chlorowoderek amantadyny (nie mylić z siarczanem) skutecznie leczy COVID-19. Z tym lekiem medyk pracuje od trzech dekad, o czym mówi w rozmowie.

Lekarz od marca informuje o swoim ustaleniu wszystkie możliwe instytucje, z Ministerstwem Zdrowia łącznie, i nikt nie chce go potraktować poważnie. Nie mogą zrozumieć dlaczego? Wiem, że już kilka leków miało zwalczać SARS-CoV-2, niektóre WHO właśnie wykreśla z tzw. schematu leczenia. Jednak gdyby chlorowoderek amantadyny był skuteczny, jak uważa dr Bodnar, nie byłyby potrzebne kolejne tarcze antykrzysowe i zamykanie gospodarki.

Medycyna ma do powiedzenia jedno: nie wystarczą same przekonania, poparte nawet listą wyleczonych pacjentów, nawet nie wystarczą wykonane już w laboratorium badania naukowe. Konieczne jest badanie kliniczne, przeprowadzone jako eksperyment naukowy lub eksperyment terapeutyczny, który mógłby dość szybko potwierdzić skuteczność (lub ewentualnie wykazać jej brak) chlorowodorku amantadyny w leczeniu COVID-19. Warto podkreślić, że nie ma wciąż na świecie leku działającego przyczynowo na tę chorobę. Tym bardziej kwestia badania klinicznego nad lekiem jest pilna i otwarta. Mamy w kraju wielu wybitnych naukowców, w wielu dziedzinach byliśmy i jesteśmy pionierami.

Co więcej, na świecie nie przeprowadzono jeszcze badania klinicznego, dzięki któremu moglibyśmy otrzymać wiedzę, czy chlorowoderek amantadyny rzeczywiście jest skuteczny w zwalczaniu wirusa SARS-CoV-2. Mamy więc niepowtarzalną szansę takie badanie przeprowadzić pierwsi na świecie. Tym bardziej że zachęcające wyniki dają obserwacje prof. Konrada Rejdaka dotyczące tylko pacjentów neurologicznych. Potrzebne jest jednak badanie, w którym pacjentów dobiera się losowo. Następnie porównuje się wyniki osób leczonych amantadyną z grupą pacjentów nieotrzymujących tego leku. Jeśli okazałoby się, że amantadyna jest skuteczna w leczeniu COVID-19, wówczas mielibyśmy tak oczekiwany lek, w dodatku niedrogi, a świat zawdzięczałby tę wiedzę polskim badaczom.



Tymczasem resort zdrowia ograniczył dostęp do tego leku, a właściwie zakazał stosowania chlorowodorku amantadyny w leczeniu COVID-19, wydając obwieszczenie, w którym zapisano: „Produkt leczniczy, o którym mowa w pkt 1, może być ordynowany i wydawany wyłącznie w następujących wskazaniach objętych refundacją: a) choroba i zespół Parkinsona, b) dyskineza późna u osób dorosłych

– leczenie”. Jednocześnie apteki otrzymały zakaz sprzedaży chlorowodorku amantadyny w przypadkach innych niż objęte refundacją. Ta decyzja jest o tyle zaskakująca, że wcześniej, w odpowiedzi na pismo starosty łąncuckiego Adama Krzysztonia o amantadynę, Ministerstwo Zdrowia przyznało, że lekarz, kierując się dobrem pacjenta, może stosować lek poza wskazaniami rejestracyjnymi, co się dzieje w przypadku chlorowodorku amantadyny (który pierwotnie miał wskazanie jako lek przeciwwirusowy w leczeniu grypy typu A). W tym samym dokumencie czytamy też: „Nie sposób jednak nie odnieść się do negatywnych skutków, jakie zostały wywołane nagłośnieniem w mediach tej metody, publikacje przyczyniły się do zwiększonych zakupów leku, a należy zauważyć, że przede wszystkim jest to produkt stosowany w chorobie Parkinsona. Z powodu niekontrolowanego wykupu leków duża część pacjentów przyjmujących produkt przewlekłe ma ogromny problem z zaopatrzeniem w produkt niezbędny do prawidłowego funkcjonowania”.

To, że leku brakuje w aptekach, na co zwróciło uwagę ministerstwo, może świadczyć o tym, że medykament jest po prostu skuteczny, a w ślady doktora Bodnara poszli także inni medycy (do konsultowania których zresztą pulmonolog się przyznaje). Zamiast więc ograniczać dostęp do leku, należałoby zapewnić jego zwiększoną liczbę w aptekach.

Na dziś pacjenci pozostali z zapowiedzią szczepionki, która ma się w Polsce pojawić w lutym. Jednak sama szczepionka nie wystarczy. Potrzebny jest lek, który hamowałby namnażanie się wirusa w organizmie chorego. Z badań laboratoryjnych, przeprowadzonych na Zachodzie przez zespół, w którym pracuje m.in. badaczka Sandra Smieszek, wynika, że amantadyna takie działanie ma. Konieczne jest jednak badanie kliniczne z udziałem pacjentów, żeby to potwierdzić. A sprawa jest pilna, bo ludzie wciąż umierają.

Dorota Łosiewicz

Izba niższa francuskiego parlamentu przyjęła 20 listopada kontrowersyjną ustawę o globalnym bezpieczeństwie. Największe wątpliwości budzi artykuł 24, zakazujący publikowania wizerunków funkcjonariuszy prowadzących działania podczas demonstracji. Za to ustawodawca przewiduje karę nawet roku więzienia oraz 45 tys. euro grzywny. Nowe przepisy wywołały już wielkie protesty we Francji oraz sprzeciw środowiska dziennikarskiego, które widzi w nich próbę ograniczenia wolności słowa.

Emmanuel Macron od początku swojej prezydentury utrzymuje napięte relacje z mediami. Wielokrotnie atakował je za utrudnianie mu reform, za „złośliwe krytykowanie wszystkiego, co się da”. Media mu więc nie ufają i podejrzewają o chęć utrudnienia dokumentowania brutalnych działań policji. Takich, do jakich dochodziło choćby podczas trwających przez ponad rok protestów „żółtych kamizelek”.

33 znane osobistości życia kulturalnego Francji, w tym reżyser Costa-Gavras, popierające w 2017 r. w wyborach prezydenckich Macrona, napisały do prezydenta list otwarty. Sygnatariusze domagają się wycofania ustawy oraz zakończenia rozpoczętej niedawno walki z „islamskim separatyzmem”. Obie inicjatywy ich zdaniem „ograniczają wolność informacji, opinii, przekonań, edukacji, zrzeszania się i protestu”. Ostatecznie więc premier

Policja na celowniku

Francja

Jean Castex odesłał ustawę do Trybunału Konstytucyjnego. Nie uspokoiło to jednak nastrojów. Tym bardziej że wkrótce potem paryska policja ciężko pobiła czarnoskórego producenta muzycznego za to, że wyszedł z domu bez maseczki. W rezultacie po raz kolejny ludzie wyszli na ulice – tym razem były już ich setki tysięcy. Nie pomogły zapewnienia rządu, że art. 24 ma chronić policjantów i ich rodziny przed nękaniami. Francuska policja jest bowiem znana z nadmiernego używania siły.

W minionym tygodniu Macron spotkał się z ministrami, by znaleźć wyjście z napiętej sytuacji. Jak wynika z przecieków, prezydent miał mieć pretensje, że ustawę sformułowano tak, że „została ona źle zrozumiana”. Ostatecznie podjęto decyzję, że trzeba ją napisać od nowa. Jednak nie będzie to takie proste, ustawa trafiła

bowiem już do Senatu, gdzie większość ma opozycyjna prawica. Przewodniczący Senatu Gérard Larcher, polityk partii Les Républicains, przypomniał, że „tylko Senat, i nikt inny, ma prawo dokonywać zmian w tekście”. W podobnym duchu wypowiedział się pochodzący z partii prezydenckiej przewodniczący Zgromadzenia Narodowego Richard Ferrand. „Tylko parlament pisze i głosuje ustawy” – podkreślił.

Francuskie media uważają, że zamieszanie wokół ustawy o bezpieczeństwie, to cena, którą Macron płaci za ignorowanie parlamentu, w tym własnej partii, traktowanej jako maszyna do głosowania. Jedno jest pewne: wyjście z twarzą z tego sporu nie będzie dla Macrona łatwe.

Aleksandra Rybińska



Fot. Frédéric Legrand - COMEO/Shutterstock.com

Służba Bezpieczeństwa Ukrainy dokonała rewizji w pomieszczeniach kilku organizacji pozarządowych związanych z mniejszością węgierską na Zakarpaciu. Zdaniem SBU istnieje podejrzenie, że ich działalność godziła w integralność terytorialną państwa ukraińskiego. Według oficjalnego komunikatu podczas przeszukania zabezpieczono wiele publikacji popularyzujących ideę „Wielkich Węgier” oraz stworzenia węgierskiej autonomii na Zakarpaciu. SBU sprawdza, czy „wywrotowa działalność na szkodę Ukrainy” nie była „działalnością ze znamionami zdrady państwa” i czy nie odbywała się przy pomocy „obcych państw” (w domyśle: władz w Budapeszcie).

W rzeczywistości mniejszość węgierska nie ma szans na autonomię na Zakarpaciu nie tylko dlatego, że sprzeciwia się temu Kijów. Przede wszystkim Madziarów jest tam za mało. Stanowią ok. 10 proc. mieszkańców obwodu, a większością są zaledwie w dwóch rejonach: berehowskim i winohradowskim. Poza tym wielu młodych wyjeżdża na stałe na Węgry, ponieważ boją się trafić na front w Donbasie.

Ukraina

Rewizja u Węgrów

Rzeczywistym problemem jest spór o prawo oświatowe. Władze w Kijowie kilka lat temu wprowadziły nową ustawę edukacyjną, która poważnie ograniczyła prawa mniejszości węgierskiej do nauki w języku ojczystym. Budapeszt uważa to za dyskryminację mniejszości narodowej i blokuje z tego powodu integrację Ukrainy ze strukturami europejskimi. Politycy Fideszu potępili dokonane przez SBU rewizje, twierdząc, że w ten sposób „ukraińskie władze tworzą na Zakarpaciu sytuację wojny domowej”.

Wydaje się, że tym, co sprowokowało służby specjalne do akcji, było wydarzenie, do którego doszło podczas składania przysięgi przez nowo wybranych radnych gminy Siurte pod Użhorodem. Podczas uroczystości odegrano bowiem i odśpiewano nie hymn Ukrainy, lecz Węgier. Politycy w Kijowie oburzają się: to tak jakby na Śląsku lokalni radni podczas zaprzysiężenia śpiewali nie hymn Polski, lecz Niemiec. Padło więc pytanie: wobec kogo lojalni są miejscowi samorządowcy? Dlatego SBU wkroczyła do akcji.

Grzegorz Górny



Kto zabił irańskiego fizyka?

Iran

Zdaniem wielu mediów zabójstwo Mohsena Fakhrazadeha, szefa irańskiego programu jądrowego, jest pierwszym wymiernym efektem niedawnego „tajnego” spotkania premiera Izraela z saudyjskim następcą tronu. Niektórzy komentatorzy uważają, że zamach na irańskiego fizyka jest sprytnie obmyśloną pułapką stawiającą Teheran w trudnej sytuacji, takiej, z której nie ma dobrego wyjścia. Izrael, który – według tych opinii – stoi za zamachem, zaczął właśnie realizować jeden z dwóch korzystnych dla siebie scenariuszy. Najdalej idącym byłoby sprowokowanie Teheranu do wykonania uderzenia odwetowego na instalacje w Izraelu. W rewanżu miałby nastąpić atak, ale tym razem ze strony Stanów Zjednoczonych, wymierzony we wszystkie obiekty irańskiego programu nuklearnego. Donald Trump, o czym donosiły już media, na razie waha się, ale wcześniej, nawet bez uderzenia ze strony Iranu, miał rozważać atak. Plan minimum, również korzystny z amerykańskiej i izraelskiej perspektywy, przewiduje, że Teheran nie zdecyduje się na uderzenie odwetowe. To z kolei byłoby faktycznym zaakceptowaniem sytuacji, w której wrogie służby specjalne mogą przeprowadzać na terenie Iranu zamachy.

Teheran znalazł się więc, w świetle tego rodzaju interpretacji, w pułapce. Rozwiązaniem złym byłby z jego perspektywy zarówno wymierzony w Izrael odwet, jak i brak odpowiedzi na zamach. Jeszcze gorszym posunięciem mogłoby być uderzenie już po tym,

jak władzę w Stanach Zjednoczonych obejmie administracja Joego Bidena. Byłby to bowiem akt wrogości wobec nowego prezydenta, który opowiada się za powrotem Stanów Zjednoczonych do międzynarodowej umowy zawartej z Iranem na temat jego programu jądrowego. W konsekwencji trudno wówczas oczekiwać jakiegokolwiek poprawy relacji z Ameryką i zniesienia sankcji nałożonych przez Waszyngton.

Z drugiej strony ciągle niejasne są okoliczności zamachu na Fakhrazadeha. W wersji oficjalnej miał on zostać zgładzony przy użyciu satelitarnie sterowanego karabinu maszynowego zamontowanego w samochodzie zaparkowanym na poboczu drogi, którą jechał szef irańskiego programu jądrowego. Jednak wielu ekspertów jest zdania, że z powodów technicznych (opóźnienie sygnału) taka wersja jest bardzo mało prawdopodobna i zupełnie nie wyjaśnia, dlaczego tuż przed śmiercią Fakhrazadeh wysiadł ze swojej pancernej limuzyny, wystawiając się na strzały. Czyżby został zatrzymany i wywiabiony? Ale przez kogo?

Z tego powodu w irańskich mediach miały się pojawić oskarżenia pod adresem Ludowych Mudżahedinów z opozycyjnego ruchu Mujahedin-e-Khalq, którzy mogli być rzeczywistymi wykonawcami zamachu. Gdyby faktycznie tak było, to sprawa wyglądałaby jeszcze poważniej i może mieć dalej idące konsekwencje, nawet – jak uważają niektórzy – z regionalną wojną włącznie.

Marek Budzisz

USA

Koronawirus i demografia

Prawie milion osób – o tyle może spaść liczba mieszkańców Stanów Zjednoczonych wskutek tegorocznej pandemii koronawirusa. I nie chodzi tu tylko o zgony wywołane chorobą koronawirusową, których liczba zbliża się już do 300 tys., lecz również o znacznie mniejszą, szacowaną na ponad pół miliona, liczbę narodzin.

Amerykanie coraz mniej chętnie decydują się na potomstwo. Wchodzące w skład Departamentu Zdrowia Centers for Disease Control and Prevention podało badania, z których wynika, że w 2019 r. dzietność wśród populacji latynoskiej spadła o 1 proc. Niby niewiele, ale to niepokojący sygnał, bo akurat Latynosi są znani z wielodzietności. Teraz jednak nawet oni, podobnie jak Afroamerykanie i biali, odkładają decyzję o potomstwie. Co ciekawe, te same badania pokazują, że zmniejsza się również liczba ciąż u nastolatek oraz u kobiet w wieku 20–30 lat. Utrzymuje się natomiast w przedziale 35–39 lat, a u kobiet powyżej 40. roku życia nawet lekko wzrasta. Portal Insider.com cytuje dr. Erica Formana z Uniwersytetu Columbia, który przyznaje, że za tymi wynikami kryją się konkretne powody. Jego zdaniem, coraz więcej par zwleka z macierzyństwem, wybierając w pierwszej kolejności karierę zawodową oraz wygodę życia. Coraz popularniejszą metodą jest dziś mrożenie jajeczek i korzystanie potem z in vitro. To jednak powoduje, że dzieci rodzą się u coraz starszych par.

Eksperci nazywają obecną sytuację tykającą bombą demograficzną. Nawet w USA, gdzie nie ma rozwiniętych ubezpieczeń społecznych, coraz wyraźniej widać już problem starzejącego się społeczeństwa. Jednocześnie spada liczba narodzin, co wywołuje poważną obawę o to, kto będzie w przyszłości płacił podatki i zapewniał wzrost gospodarczy? Teraz tę niepokojącą tendencję spadkową mocno jeszcze przyspieszył strach przed koronawirusem. Amerykanów jest więc coraz mniej.

Łukasz Adamski

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Wrzeszczące ulicznice

W ostatnich dniach listopada w polskim Sejmie miała miejsce symboliczna scena. Urągająca rządowi posłanka opozycji podarła na mównicy egzemplarz konstytucji. Był to historyczny happening mający zwrócić uwagę sali na kłamstwa, które wygaduje kukielka z lalkowego teatru. Kiedy poseł Janusz Kowalski uświadomił prowadzącej obrady wicemarszałek Kidawie-Błońskiej, że nie zareagowała na znieważenie konstytucji, ta wyjaśniła, że to tylko podarte kartki.

Hipokryzja totalnych opozycjonistów bije kolejne rekordy. Pamiętamy wszyscy szaleńczą obronę kasty sądowej pod pretekstem naruszania konstytucji przez rząd. Wieczorne spotkania na ulicach, świece, nabożne skupienie wokół p. Gersdorf pod hasłem, że „Ma być tak, jak było”. Teraz ci sami ludzie nie chcą już bronić konstytucji, bo to nie są ważne kartki. Teraz chcą wyc na ulicach wulgarne hasła, blokować ruch w miastach, rozsiewać wirusy, by zarazić jak najwięcej osób...

Trwa kolejna akcja antypolskiego sztabu wojny hybrydowej. Celowe naruszanie prawa, by sprowokować władze do ostrej reakcji. Zarejestrowano incydent, kiedy ulicznica opluwa policjanta, wymyśla mu... i nic, spoko... Cierpliwy chłopak przetrzymał atak, ale nie zdał egzaminu z przepisów, które powiadają, że osoba atakująca, znieważająca policjanta powinna być zatrzymana i w kajdankach dostarczona do aresztu. Polscy mężczyźni wychowani są w szacunku dla kobiet. I właśnie tę kulturę, chrześcijańską cechę chcą zniszczyć wrzeszczące ulicznice i obleśne jędze dewastujące miasta. Ich chamski język i nikczemne obyczaje sprawiają, że odruchowo używamy mocniejszych słów. I to jest ich sukces. Jedyny i ostatni.



**Jan
Pietrzak**

Może już nie być powrotu

Z Maciejem Cuskiem, reżyserem dokumentalistą, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Skąd pomysł, by wyruszyć z kamerą na Półwysep Czukocki?

Maciej Cuske: Na co dzień jestem ciekawy świata. Może dlatego zostałem dokumentalistą. Kamera daje mi przywilej wejścia głębiej w obszar, który mnie fascynuje. Bez niej często nie miałbym na to przyzwolenia. Zobaczyłem kiedyś niezwykle obraz bardzo biednego miejsca – gdzieś na obrzeżach globu – w którym ludzie, żeby przeżyć, muszą polować na wieloryby. Zderzenie tych dwóch ginących światów przyciągało

mnie niczym magnes przez wiele lat. Ponieważ jednak nawet Rosjanie, by dostać się do tego autonomicznego regionu, muszą wyrobić wizę, mogłem tam dotrzeć tylko jako filmowiec.

I powstał film „Wieloryb z Lorino”, który tylko w ostatnim czasie zdobył statuetki na festiwalach Camerimage, Docs Against Gravity czy Festiwalu Mediów Człowiek w Zagrożeniu. 7 i 8 grudnia będą go mogli zobaczyć widzowie kanału TVP Dokument. Czego mogą się spodziewać?

To trudny obraz. Nie daje ani pozytywnej historii, ani prostych rozwiązań. Dotyka bolesnych spraw. Bez happy endu pokazuje, można powiedzieć, kosmiczny krajobraz i jego mieszkańców. To może być pociągające dla widza... Jednocześnie mam nadzieję, że oglądając „Wieloryba z Lorino”, widz uniesie się ponad te obrazy i pomyśli o tym, co jest dokoła nas. Bo na tym dalekim krańcu świata zobaczyć można pewną wizję apokalipsy. Jako mieszkańcy Ziemi dotarliśmy już chyba do krawędzi. Jeśli się nie opamiętamy, nie zatrzymamy, może już nie być powrotu.



BRONISŁAW WILDSTEIN

Przeciw sprawiedliwości i demokracji, czyli o sądach III RP

Jesienią tego roku polskie sądy wydały dwa wyroki unieważniające ustawowy porządek w naszym kraju. Postanowień takich mogło być więcej, ale te są uderzające. Sąd Najwyższy ogłosił, że ustawę dezubekizacyjną zastosować można wyłącznie w odniesieniu do tych funkcjonariuszy, którym udowodnione zostanie łamanie praw człowieka, a Naczelny Sąd Administracyjny uznał, że ochrona danych osobowych zawarta w rozporządzeniu unijnym RODO obowiązuje także IPN. Ten pierwszy wyrok likwiduje ustawę dezubekizacyjną, drugi podważa funkcjonowanie IPN.

SB była formacją, której zadaniem było terroryzowanie społeczeństwa. Jej działanie wymierzone było w prawa człowieka. Natomiast wskazanie, który konkretnie funkcjonariusz jest za to odpowiedzialny i w jakim stopniu, wydaje się nieomal niemożliwe. Jest ono takie w odniesieniu do każdej tego typu instytucji. Kat Woli Heinz Reinefarth, odpowiedzialny za wymordowanie dziesiątków tysięcy mieszkańców tej dzielnicy, w tym kobiet i dzieci, został uniewinniony przez niemiecki wymiar sprawiedliwości, zapłacono mu odszkodowanie za nękanie sądowe i otrzymywał generalską emeryturę. Osobiście nikogo nie zabił i nie zachowały się rozkazy, w których to nakazywał. Nie chcę zrównywać działań SB ze zbrodniami SS, ale chodzi mi o prawniczy formalizm przeniesiony w wypadku SN na całość życia społecznego. Gdyż w wypadku ustawy dezubekizacyjnej nie chodzi o karanie, ale o odebranie przywilejów, którymi esbecy cieszyli się nadal w III RP za działanie przeciwko wspólnocie i prawom człowieka. Parlament zrównał ich emerytury z krajową średnią. SN faktycznie nakazał przywrócenie ich w poprzedniej wielkości i wypłacenie odszkodowań za czas, w którym byli ich pozbawieni.

Wyrok NSA uniemożliwia gromadzenie danych przez IPN bez zgody zainteresowanych – i to również nieżyjących, reprezentowanych przez rodziny – którzy mogą oprotować każdą informację, faktycznie likwiduje tę instytucję. Nie miejsce tu, aby wykazać inne absurdalne konsekwencje tego orzeczenia.

Ustrój nazywany demokracją liberalną zasadniczo uderza w uznawany za fundament tego ustroju trójpodział władzy. Skądinąd zasada ta przywoływana jest również często, co bezmyślnie, także w dokumentach UE. Rozchodzi się ona wyraźnie z realiami współczesnego systemu politycznego. Wymyślona przez Locke'a i Monteskiusza blokować miała



despotyczne zapędy króla sprawującego władzę wykonawczą. Jak ma wyglądać trójpodział władz w systemach parlamentarnych, w których większość ciała ustawodawczego wyznacza i w każdym momencie może odwołać rząd?

Traktowanie sądownictwa jako ekwiwalentu władzy ustawodawczej czy wykonawczej od początku było nieporozumieniem i Monteskiuszowi, który pierwszy wprowadził obecny podział, do głowy by to nie przyszło. Sędziowie mieli być niezależni wyłącznie w orzekaniu, aby nie być przedłużeniem żadnej władzy. I, co szczególnie ważne, mieli być wybierani na określony czas do określonych spraw, a nie pełnić funkcję zawodowo.

Tymczasem sędziowie przekształcili się w korporację i usiłują kontrolować inne władze, co nie tylko przeczy zasadzie trójpodziału, ale realnie anuluje demokrację. Pierwszym krokiem w tym kierunku było powołanie Trybunałów Konstytucyjnych, które kontrolować miały zgodność działań prawodawców z naczelną ustawą. O ile można znaleźć argumenty dla istnienia tej instytucji, to oczywiście jest, że wiąże się ona z niebezpieczeństwem przekształcenia się jej w superparlament i jej główną cnotą winno być samoograniczenie się. Niestety mieliśmy do czynienia z procesem odwrotnym zarówno w skali globalnej, jak i – do niedawna – w III RP. Kiedy w Polsce skład TK zmienił się tak, że nie reprezentuje już korporacji sędziowskiej, coraz głośniejsze zaczęły się o „rozproszoną kontrolę konstytucyjną”. Po odrzuceniu wszystkich sofistyczno-retorycznych ozdóbników znacząco ona, że każdy sędzia zakwestionować może dowolną ustawę, uznając, że rozmija się ona z konstytucją. Każdy z nich jest więc indywidualnie zwierzchnikiem parlamentu. Tak otwarte i absurdałne przekreślenie demokracji nie może być jeszcze formalnie ogłoszone. Faktycznie jednak następuje. Przytoczone przykłady dowodzą, że sędziowie uznają się za władzę zwierzchnią wobec parlamentu.

Prokuratura IPN zwróciła się właśnie do SN o cofnięcie immunitetu sędziemu, który w PRL skazał na trzy lata robotnika za kolportowanie ulotek. Ponad 30 lat od upadku komunizmu tego typu postacie zasiadają w najwyższych gremiach sędziowskich. Wygląda na to, że to one kształtują mentalność korporacji sędziowskiej i powodują takie właśnie wyroki.

Problem jednak jest głębszy. Jeśli sędziowie unieważniają będą mogli ustawy, to możemy pożegnać się z demokracją. ▀



Fot. Andrzej Wiktor

Walizka Tomasza Wolnego

Dziennikarza

Dziennikarstwo, które jest dla mnie służbą i misją, wymaga potężnego nakładu energii zaangażowania i sił. Skąd je brać? Nic tak nie ładuje moich baterii jak rodzina, a szczególnie wspólny, rodzinny wypad. Choćby na weekend. Latem z żoną Agatą i trójką dzieci szukamy bałtyckiego wiatru, a zimą śniegu. Najlepiej dzikiego, świeżego, z dala od tłumy i ubitych tras. Jeśli pandemia pozwoli – jestem gotowy.



GOGLE

Wiadomo. Na niepogodę, ale i na pełne słońce. Jedyna opalenizna, jaką uznaję, to ta sportowa, na tak zwaną pandę. Ściągasz gogle, a wyglądasz, jakbyś je cały czas miał.

KASK

To mus. Analogicznie jak z pasami w samochodzie. Nieważne, czy jesteś zawodowym rajdowcem, uczniem czy pasażerem – pasy są zawsze zapięte.



PISMO ŚWIĘTE

Najlepszy przewodnik przydaje się w każdej podróży, szczególnie tej życiowej. Książki zmieniają się co wyjazd, poza tą najważniejszą i najmądrzejszą.

TOPOREK

Jak mówi ludowa mądrość, przezorny zawsze ubezpieczony, a mors amator zawsze wyposażony. Gdyby zdarzyła się wolna chwila i skutny lodem akwen – no to łup!



GÓRALSKIE STUPTUTY Z OWCZEJ WEŁNY

Od kiedy dostałem je od sąsiadki z Jodły pod Turbaczem, to zadaję szyku na spacerach po nartach. Czasem przez to ludzie patrzą na mnie jak na dziwaka. Mają rację.

PIŁKA DO FUTBOLU

To jedna z pozostałości po latach spędzonych w Nowym Jorku i Kalifornii. Zabieram na każdy wypad na śnieg czy na plażę. Gra nią to kapitalna zabawa, która przelamuje ewentualne, towarzyskie bariery. Czasem może zbyt dosłownie i boleśnie, ale skuteczność 100-proc.



Wyniosłość sukinsynów

W ikipedyjna definicja jest zabawnie precyzyjna. Organ, o którym będę pisał, to „wyniosłość w obrębie twarzy stanowiąca drogę przepływu powietrza w procesie oddychania”. W sekcji „Zobacz też” odsyła nas do romantycznego hasła „dłubanie”. No tak, już się zdradziłem: tym razem chodzi mi o nos.

Pisałem już w tym miejscu o kwestii pokrewnej. Bo nosowi zawdzięczamy dziś sławę węchu – a właściwie jego braku – jednego z głównych bohaterów naszej pandemicznej epoki, będącego najbardziej niezawodnym wskaźnikiem choroby. Do czasów COVID-19 powonienie chyba było niedoceniane. Wzrok, słuch, dotyk, smak – tak, to królestwo zmysłów rządziło naszą wyobraźnię. Węch był w defensywie, lekceważony przez prostaków potrafiących tylko narzekać, że coś im śmierdzi. Funkcjonował w królewskiej niszy jako arystokrata zmysłów: wyniesiony na wyżyny przez ekskluzywnych snobów, kosztowaczy win, którzy wyczuwają aromaty spalonej gumy i rozgrzanego asfaltu.

Ale wróćmy do „właściciela węchu” – nosa, dzisiejszego bohatera mojego tekstu. Encyklopedyczne określenie „wyniosłość” dodaje mu godności, może nawet ponad miarę. Ponoć ten organ miał kiedyś moc zmieniania historii – pewien konstruktor kalkulatorów stwierdził, że nos Kleopatry wpłynął na losy świata. Owa część ciała stała się też w pewnym okresie fetyszem dla Niemców, którzy mierząc ją, potrafili wskazać, kto jest Żydem.

Dziś problem wraca w pełnej chwale. Mnie najbardziej wkurzają ludzie, którzy łążą z nosami na wierzchu. Już wolę tych bez масечки, tu przynajmniej sprawa jest jasna. Gorsze są te bezmyślne sukinsyny, które niby mają zasłoniętą twarz, ale nos jest nad масечką. Bo takiemu bez osłony możesz wprost zwrócić uwagę w majestacie prawa i przyzwoitości, a sprytny łuj, krętacz z масечką pod nosem, wymyka się krytyce – nasuwa na moment osłonę, i zaraz ją opuszcza, śmiejąc ci się w twarz.

Uważam, że „nosowców” powinna ścigać policja – znacznie bardziej bezwzględnie niż ludzi bez масечек. Ci z nosem na wierzchu nie tylko rozsiewają covidą oraz lekceważenie dla życia i zdrowia nas wszystkich, ale też bezczelność.

W dawnych dobrych czasach złodziejom obcinano ręce. Dziś chamowatym bydlakom, którzy noszą nosy na wierzchu, powinno się obcinać ich „wyniosłości w obrębie twarzy”. Dla przykładu. I w interesie zdrowia publicznego.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl



**Dominik
Zdort**



WAŁEK

Jedyny wałek, którego kręcenie wychodzi na zdrowie. Do masażu, rozluźnienia, regeneracji mięśni i powięzi. Po ośmiu godzinach ciągłej jazdy daje kapitalną ulgę.



KAMERA NA KASK

Kocham freeride, czyli wolność na nartach. Jazdę poza trasami, między drzewami, im mniej równo i bardziej stromo, tym lepiej. Kamera pozwala pokazać potem dzieciom mistrza śnieżnych gleb (wywrotek). Coraz częściej ten sprzęt przydaje się też do filmowania pogoni za moją trójką, co z każdym rokiem staje się coraz trudniejsze.



JASIEK

To najlepszy przyjaciel podróży. Prezent od siostry na wyjazd do Ameryki Południowej. Wersja ściśle limitowana, #madeinPoland, własnoręcznie uszyta, firmowana logo mojego sportowego guru – Michaela Jordana. Siostra ma fantazję;



SKAKANKA

Najważniejsza jest rozgrzewka. Pamiątka po trenowaniu boksu. Żywa pamiątka. Zajmuje minimum miejsca, daje maksimum korzyści.



SZACHY

Na koniec dnia ustawiamy pionki w szeregu i wciąż, choć to coraz trudniejsze, pokazujemy dzieciom miejsce w szeregu, ale zbyt często zamiast szach-mat jest trzask-prask i po dniu białego szaleństwa cała ferajna pada z nóg



*Wysłuchał i spisał:
Michał Korsun*

OGNIEM NA WPROST

Aktywistki w gumofilcach



Również w Argentynie toczy się batalia o życie nienarodzonych dzieci. Na ulicę wychodzą demonstrować tysiące pro-liferów. Jednocześnie minister zdrowia dr Ginés González García, próbując odnieść się do argumentów przeciwników aborcji, nieumyślnie przyznał im rację. „Tutaj nie ma dwóch istnień, jak niektórzy mówią. Mamy tutaj wyraźnie jedno życie, a drugie jest zjawiskiem (...). Jest jedna osoba, a drugie to zjawisko”. I rzeczywiście taki język jak u dr. Garcíi ulega najprostszej logice. Rozumiem, że według ministra zdrowia Argentyny życie płodu w łonie matki do momentu wyjścia na świat jest tylko zjawiskiem, a już kilka minut później (zależy od czasu trwania narodzin dziecka) staje się człowiekiem. Po czym sam przyznaje bez bicia, że wydaje mu się, iż język nie jest używany właściwie: „Gdyby tak nie było, byłibyśmy świadkami największego powszechnego ludobójstwa”. Według takiej argumentacji, a trudno o inną, właśnie jesteśmy.

Belgijska policja rozbiła homorgię z powodu nielegalnego covidowego zgromadzenia. Brało w niej udział 27 chłopów, głównie deputowanych do Parlamentu Europejskiego Ofiarą nr 1 nalołu na imprezę został József Szájer. To węgierski poseł Fideszu, partii Orbána, działający czynnie w EPL. Premier Węgier zapowiedział już wyciągnięcie surowych konsekwencji

w stosunku do Szájera, bo w swoim politycznym przekazie wspierał rodzinę i był przeciwny homoseksualnemu stylowi życia. Ale nie o nim chciałem pisać. Okazuje się, że według jednego źródła (jak podaje znany z takich opowiadań portal Onet.pl) w оргietkach kilka razy w roku brali udział również rzekomo politycy PiS. David Manzheley, bo o niego tu chodzi, jest jedynym źródłem tej wiedzy. Problem polega na tym, że jest to poszukiwany przez wadowicką policję oszust. Podając się za prawnika, wyłudził 2,5 tys. zł i dał drapaką do Belgii. Tamtejszy sąd nie wydał go Polsce, bo sprawa była zbyt błaha. A teraz Manzheley, wzorem wielu mu podobnych (jak Stonoga), wykorzystuje sytuację, żeby uderzyć w partię rządzącą w Polsce. A nóż widelec stracić władzę i wrócić do łask. Inna sprawa to postawa redakcji Onetu, którą można by podsumować słowami: „Nie jesteśmy w stanie zweryfikować twierdzeń”, ale „publikujemy jego wypowiedzi z zastrzeżeniem, że jest to jego wersja wydarzeń”. A co się przylepi, to już zostanie.

Wystarczy być znanym i nie poprzec strajku kobiet, żeby zaczęli jeździć po tobie, jak po lysej kobyle. Doświadczyla tego osobiście małżonka znanego piłkarza Anna Lewandowska. Zabrał się za nią magazyn „Elle”. „Jesteśmy oburzone tym, że nie widzimy Pani na ulicy wśród nas – martwi się w tekście feministka Aleksandra Hekert. „Nie boryka się

Pani z naszymi codziennymi wyzwaniami. Nie wie, co mamy dziś do powiedzenia i nie wykazuje zainteresowania, żeby się tego dowiedzieć”. Feministka apeluje do Anny Lewandowskiej, aby za wszelką cenę opowiedziała się po stronie protestujących. Włożenie w gumofilcach w duszę kobiet to niestety przykra i denerwująca cecha aktywistek antyaborcyjnych.

Violet jest nastoletnim kolesiem podającym się za osobę niebierną (ni to baba, ni to chłop). Jako aktywista Nowej Lewicy postanowił powielić pomysł na życie Margot. Opisując klótnie w swoim domu i ich konsekwencje w postaci dania drapaką z miejsca zamieszkania, szuka teraz pieniędzy wspierany przez organizacje, żeby z głodu nie umrzeć „na gigantycie” (slangowo ucieczka z domu). Ponieważ w Polsce nie brakuje naiwniaków i frajerów, Violet zebrał w dwa dni 4,5 tys. zł. Ciekawe rzeczy opowiada o Violet jego brat. Twierdzi, że nie nadaje się on do żadnej roboty. Pracował ledwo dwa dni na zapleczu Żabki i dał sobie spokój. Jedyne, czym się zajmuje, to granie na komputerze. Natomiast z domu wyprowadził się do dziewczyny po klótni z matką. Nie chciało mu się zmywać naczyń. A towarzystwo finansuje nie-robota, ale to ich pieniądze i ich sprawa. Jak lubią być robieni w konia, proszę bardzo. Nie mój cyrk.

Andrzej Rafał Potocki

By nic się nie marnowało

Ponad 900 mln ludzi na świecie cierpi z powodu głodu, a w dobrze sytuowanych krajach rocznie wyrzuca się ponad 1,3 mld ton jedzenia. Według najnowszych danych w Polsce co sekundę do kosza trafia 153 kg żywności. Rocznie wyrzucamy 5 mln ton jedzenia. To suma odpadów z etapów produkcji, przetwórstwa, dystrybucji i konsumpcji. Największy udział w marnowaniu jedzenia mają ostatni w łańcuchu – konsumenci. Aż 60 proc. wyrzucanej żywności pochodzi z gospodarstw domowych (3 mln ton). W procesie produkcji i przetwórstwa marnuje się ok. 1,5 mln ton. W transporcie i w magazynach psuje się 1 proc., podobnie w gastronomii.



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

Przeciętnie Europejczycy wyrzucają ok. 179 kg żywności na osobę rocznie. Polacy w omawianych statystykach plasują się niestety wyżej, osiągając wynik 235 kg. Najczęściej wyrzucamy pieczywo, warzywa i wędliny. Według badań z 2018 r. 42 osobom na 100 zdarza się wyrzucać żywność.

Badania przeprowadzone w 2016 r. na zlecenie Instytutu Żywności i Żywienia wykazały, że Polacy deklarują wysoki poziom wiedzy na temat zdrowego stylu życia, żywienia, ale nie wykorzystują jej w praktyce. Gotowanie traktowane jest przez wielu jak nowy sport narodowy, ale najwyraźniej wraz ze wzrostem zainteresowania sztuką kulinarną nie zwiększa się poziom wiedzy na temat gospodarowania żywnością. Robimy zakupy spontanicznie, bez planu i wczytywania się w etykiety. Kupujemy zbyt dużo, nakładamy sobie zbyt obfite porcje. Nierzadko zdarza się nam nieprawidłowo przechowywać żywność i nieumiejętnie gospodarować jej resztkami.

Problem marnowania jedzenia ma zapewne głębsze podłoże. Powszechna dostępność nawet najbardziej oryginalnych produktów oraz powierzchowne traktowanie jedzenia sprawiło, że przestajemy szanować żywność. Jan Paweł II, odnosząc się do wspomnianego problemu, mówił o paradoksie obfitości, a papież Franciszek wskazuje na upowszechniającą się mentalność, nazywając ją kulturą marnotrawstwa. Brakuje nam wyobraźni i wrażliwości. W internecie można znaleźć mnóstwo stron zajmujących się edukacją w zakresie gospodarowania żywnością. Z raportu CBOS z 2005 r. dotyczącego „Upodobań kulinarnych, nawyków żywieniowych i zachowań konsumenckich Polaków” wynika, że marnowanie jedzenia to problem ludzi młodych, dobrze wykształconych, mieszkających w wielkich miastach. Wyraźnie też powiązane jest z poziomem wysokości dochodów i oceną własnych warunków materialnych – im są lepsze, tym częstsze takie deklaracje. Być może w ciągu ostatnich 15 lat sytuacja uległa zmianie, ale pewne jest, że to przede wszystkim osoby starsze odnoszą się do żywności z należnym szacunkiem. Pokolenie rodziców dzisiejszych 40-latków doskonale pamiętało ciężkie czasy kartek i pustych półek sklepowych, dziadkowie mają w pamięci okres wojny. Poza tym nie do pomyślenia było w domu ludzi wierzących, by wyrzucić chleb, który od wieków

był traktowany w sposób szczególny, symboliczny w naszej religii i kulturze. Najskuteczniejszą metodą ograniczenia marnowania jedzenia jest czerpanie przykładu z naszych rodziców i dziadków, którzy bez internetu i specjalnych programów edukacyjnych, ale bazując przede wszystkim na wartościach wyniesionych z domów, potrafiли z powodzeniem oszczędnie gospodarować zasobami spiżarni.

Tym, którym brakuje czasu na domowe gotowanie, a zależy na przyczynieniu się do ograniczenia żywnościowego marnotrawstwa, można polecić specjalną aplikację, która zawiera oferty wielu restauracji, barów i innych punktów gastronomii. Korzystając ze wspomnianego narzędzia, można w korzystnej cenie kupić dania niesprzedane danego dnia, ale wciąż nadające się do spożycia. Dzięki aplikacji lokal zyskuje nowych odbiorców, ogranicza straty i nie wyrzuca jedzenia, a klienci mogą się cieszyć dobrym jedzeniem w konkurencyjnej cenie.

Od wiosny br. sklepy wielkopowierzchniowe muszą mieć zawarte umowy z organizacjami charytatywnymi, którym przekazują niesprzedane jedzenie. Za niewywiązanie się z opisanego obowiązku może zostać nałożona kara.



Z głębokim żalem żegnam

ŚP.

JANA KILIANA

*Posła na Sejm VIII kadencji,
członka Komisji Infrastruktury
oraz Komisji Łączności z Polakami za Granicą,
wieloletniego samorządowca*

Rodzinie i Bliskim składam szczere wyrazy współczucia

Niech spoczywa w pokoju

*Marszałek Sejmu
Elżbieta Witek*

Nazywa się Arndt. Arndt von...

Nazywa się Arndt Burchard Ludwig baron Freytag von Loringhoven. Nie mylić z Alexandrem Ottonem Hermannem Wolfgangiem Berndem baronem Freytagiem von Loringhovenem, jego ojcem, kombatantem spod Stalingradu, odznaczonym przez samego Führera krzyżem w złocie – Deutsche Kreuz in Gold, na końcu w roli adiutanta przygotowującego raporty dla Hitlera w jego bunkrze w Berlinie, skąd uciekł. I po wojnie doceniono dzielnego adiutanta, skoro awansował na generała i wicenadzorcę Bundeswehry. Nie wiadomo więc, dlaczego ten pisowski prezydent Duda tak się ociągał z przyjęciem listu uwierzytelniającego od syna tego zasłużonego wojskowego.

Wprawdzie sam Arndt itd. studiował biochemię, ale i jego ciągnęło do służby dla ojczyzny – najpierw w dyplomacji, potem w niemieckim wywiadzie BND, którego był wiceszefem, a i w NATO, w roli wicesekretarza od wywiadu, czyli też zaufany i zasłużony. Teraz jego ekscelencja ambasador zasługuje się u nas, w Warszawie. I to jak się zasługuje. To spotka się z marszałkiem Grodzkim, który „na prośbę gościa” powiedział, co myśli o polskim rządzie i omówił „najbliższe zadania legislacyjne” Senatu, to pogwarzy przy kolacji z ambasador USA Mosbacher „o wolności mediów w Polsce”, to osobiście złoży wyrazy szacunku rzecznikowi praw obywatelskich Bodnarowi, bo „bardzo ceni pracę jego i jego zespołu”, to odwiedzi „wicemarszałkinię Senatu Morawską-Stanecką,

wiceprezeskę Wiosny Biedronia i adwokatkę”, to podyskutuje z ministrem Kurtyką o polityce energetycznej i zapewni, jak w wywiadzie dla PAP, że poprzez budowę gazociągu Nord Stream 2 z Rosjanami Niemcy „chronią Ukrainę” i „wykazują solidarność z sąsiednimi krajami Unii Europejskiej”, to w sekcji polskiej niemieckiej rozgłośni WDR podzieli się zdaniem o „praworządności, która jest podstawą UE”... – wszystkiego nie wymienię, taki aktywny, tak się zasługuje.

A i na Twittera coś wrzuci, jak np. link (pisownia oryg.): „Tu znajdują Państwo artykuł autorstwa mojego kolegi ambasadora Francji i mojego nt. pandemii jako sygnału ostrzegawczego będącego wezwaniem do multilateralizmu i solidarności w UE i poza nią”, którego lwia część to... odniesienie do budżetu UE. „To dobry plan dla Polski. Będzie mogła liczyć na dotacje”, pod warunkiem „poszanowania zasad praworządności”, napisał z kolegą, „w ten sposób możemy działać w myśl motta niemieckiej prezydencji „Razem wzmocnimy Europę”.

To o co, jak spytałby Benek Rapaport, temu pisowskiemu rządowi chodzi?



**Piotr
Cywiński**

RZECZY POSPOLITE

Umarł bóg Neapolu

Zmarł Diego Armando Maradona. Dla mojego pokolenia, chłopaków dorastających w latach 80., był tym, kim dla pokoleń wcześniejszych Pele – gigantem. Zachwycaliśmy się jego grą przede wszystkim w trakcie mundialu w Meksyku w 1986 r. Jego znakomity drybling i gol na dwa do zera w meczu z Anglią poderwał nas z foteli przed telewizorami, dając wrażenie, że widzimy coś nie z tej planety. Wcześniej w tym samym meczu genialny Argentyńczyk oszukał arbitrów i świat, kierując piłkę ręką do siatki przeciwnika. Potem tłumaczył się pokrętnie, że musiała to być „ręka Boga”. Właściwie w tym jednym meczu zawiera się cała prawda o Diego – jest tam i geniusz, i oszustwo, i wirtuozeria mistrza, i lekkość tancerza, który argentyńskie tango potrafi tańczyć w zatłoczonym tramwaju pełnym angielskich brzuchatych dżentelmenów, i spryt złodziejaska z przedmieść Buenos Aires.

Maradona był i jest bogiem w Argentynie. Ale stał się też bogiem w Neapolu – miasto pod Wezuwiuszem płacze z powodu jego śmierci. Jeden z przechodniów zapytany przez reportera na ulicy, jak to odbiera, powiedział ze łzami w oczach: „To nie umarł tylko Maradona, to cały Neapol

właśnie umarł”. Zresztą Argentyńczyk uważał się za neapolitańczyka do końca życia – tak podkreślał w wywiadach, a do miasta przyjeżdżał, kiedy tylko nadarzała się taka szansa, bo tu przecież nie pamiętano mu tego co złe i ciągle traktowano jak boga.

Ale też Neapol go zniszczył, a raczej ułatwił samozniszczenie – gdy Maradona się z nim stopił, gdy się w nim zakochał, to też zaczął w nim balować, zażywać narkotyki, szaleć, pogrążyć, również przez kontakty ze światem przestępczym.

Dalsza droga życiowa Maradony, gdy nie udźwignął nie tylko sławy, ale też ciężącej na nim jako na graczowi odpowiedzialności, to droga całkowitego upadku. I nawet neapolitańczycy, którzy tak go kochają, mówią: „Jako człowiek całkiem się stoczył”. Otyły, belkocący, naćpany – wrak, strzęp ludzki. Gdy się go widziało w takim stanie, trudno było nie czuć wręcz odrazy. Dodać trzeba takie odjazdy wielkiego Diego, jak jego oczarowanie mordercami komunistycznymi z Kuby: Fidelem Castro i Che Guevarą. Los sprawił, że Maradona odszedł w rocznicę śmierci Castro. Ale Neapol i świat futbolu – w dniu jego śmierci – zapomnieli wszystko co złe, wydobywając z pamięci tylko geniusz piłkarski Argentyńczyka.



**Tomasz
Łysiak**

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE

Ryba psuje się od głowy,
a głowa od ryby!



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWINSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, BRYSZYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, Cezary KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, JAKUB

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTYBUCJA: MARIOLA BARCOKOWSKA,
MARIOLA.BARCOKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, JANUSZ ZYCHOWICZ
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTODYK: ANNA ŁABECKA, ANNA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBROBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
WWW.WSIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7113 6290

FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSŁYKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA
E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE
WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI
E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUGUSTYN MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PIŻA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBINSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIELIK, MARCIN WOŹNIAK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL:
PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ
Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI:
22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KAKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNA.



FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR X2, URBAN CERUJANKA, SHUTTERSTOCK X2

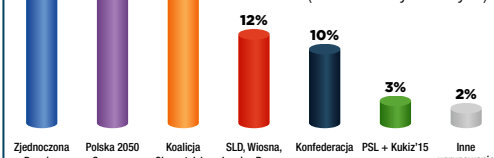


pracownia
Social Changes
dla
wPolityce.pl

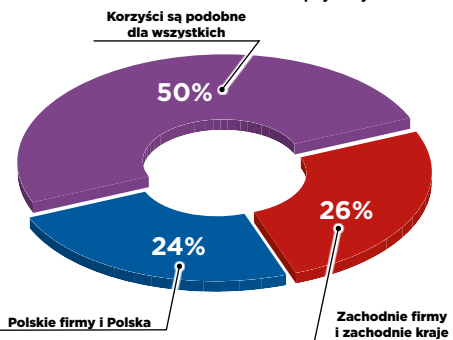
Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)



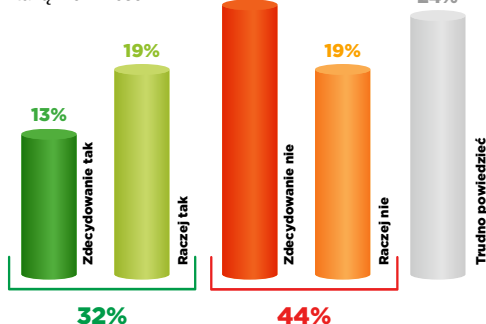
Czy wyobraża sobie Pani/Pan, że w wyborach startują poniższe partie. Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)



Kto Pani/Pana zdaniem bardziej korzysta na członkostwie Polski w Unii Europejskiej?



Czy zaszczepi się Pani/Pan na koronawirusa, jeśli będzie dostępna szczepionka i będzie Pani/Pan mieć taką możliwość?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1079.

Zakres czasowy badania 27–30 listopada 2020 r.



Decyduje prawo, a nie polityka

Ze zdumieniem słuchałam wypowiedzi socjologów, którzy dowodzili, iż Trybunał rzekomo „przestrzelił” w ocenie zachowań społecznych po wyroku. Nie mógł „przestrzelić”, bo w ogóle takiej analizy nie dokonywał

Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z prezes Trybunału Konstytucyjnego *Julią Przyłębską*

Pani prezes, czy dzisiaj, gdy znamy już formę i siłę protestów ulicznych, które przetoczyły się przez Polskę, Trybunał Konstytucyjny podjąłby taką samą decyzję w sprawie aborcji eugenicznej?

Julia Przyłębska: Dziś obowiązują ta sama konstytucja i ten sam przepis dotyczący ochrony życia. Jeżeli treść wniosku byłaby taka sama, to mogę sądzić – bo zawsze decydują sędziowie, z których każdy ma równy głos – że tak. Była to decyzja wynikająca

z prawa, a nie polityki. Podkreślam: jedyne, co liczy się w tym gmachu, niezawisłym od polityki, odpornym na wszelkie presje i naciski, jest Konstytucja RP, wiedza prawnicza i sumienia sędziów – wszystkich sędziów, bo nie jest to Trybunał Julii Przyłębskiej, ale niezależny Trybunał Konstytucyjny składający się z 15 niezawisłych sędziów.

I to 15 sędziów wydało wyrok. Ale przecież mogła pani zdecydować, że

ten wniosek grupy posłów rozpozna skład pięcioosobowy?

Ściśle rzecz ujmując, wyrok wydał pełny skład, w którym uczestniczyło 13 sędziów. Dwóch nie mogło brać udziału w sprawie z przyczyn obiektywnych, co dopuszcza prawo. Wracając do pytania – tak, zaskarżono ustawę, która już funkcjonuje w systemie prawnym i zgodnie z przepisami właściwy w sprawie był także skład pięcioosobowy. Prezes Trybunału ma jednak możliwość, by – ocenia-



prawidłowego odczytania konstytucji. Już w uzasadnieniu ustnym sędzia sprawozdawca podkreślił, że to nie jest decyzja odnosząca się do światopoglądu, ale rozstrzygnięcie czysto prawnicze. Mamy konkretne przepisy konstytucji o ochronie godności człowieka, ochronie życia i sędziowie musieli odpowiedzieć na pytanie, czy ten konkretny przepis ustawy jest z nią zgodny. To było prawnicze rozstrzygnięcie, a nie działanie wynikające z analizy politologicznej czy politycznych kalkulacji.

Trwa akcja, która ma na celu zastraszenie mnie i mojej rodziny, nawet wnuków, pozbawienie nas możliwości normalnego życia. Są to brutalne próby wpływu na moje zachowanie, organizację prac Trybunału. To ingerencja w moją niezawisłość i niezależność

jąc charakter wniosku, dostrzegając szczególną wagę sprawy – skierować ją od razu do rozpatrzenia przez pełny skład. Tak właśnie uczyniłam.

Co panią kierowało?

Świadomość, że dotykamy bardzo wrażliwego dla wielu obywateli tematu. Ataki związane z wnioskiem grupy posłów w sprawie aborcyjnej nie zaczęły się przecież po wyroku. Trwają one od momentu, kiedy pierwszy wniosek w tej sprawie wpłynął do Trybunału. Jednak wtedy demonstrowali przede wszystkim obrońcy życia, którzy – wspominam to ze smutkiem – też nie przebierali w środkach. Porównywano mnie do Hitlera, uważano, że mam krew na rękach, bo w ich ocenie sprawa była rozpoznawana zbyt długo.

Nad wnioskiem pochyliło się kilkunastu sędziów. Czynie to z najlepszą wolą

A termin? W środku pandemii, przy i tak dużym napięciu społecznym, rosnącej nerwowości wielu grup, młodzieży bez zajęć szkolnych?

To napięcie trwa od marca, kiedy w Polsce wprowadzono po raz pierwszy ograniczenia związane z epidemią. Czy to oznacza, że w tym czasie Trybunał powinien zawiesić swoje prace? Nie. Mówienie o jakimkolwiek intencjonalnym wyznaczeniu terminu jest nieporozumieniem. Został on wyznaczony na dzień, w którym można było z czystym sumieniem, z najlepszą wiedzą prawniczą, wyjść na salę rozpraw, podjąć decyzję i ogłosić wyrok. Proszę zwrócić uwagę: dla obrońców życia decyzja zapadła skandalicznie późno, dla zwolenników aborcji – w tempie skandalicznie ekspresowym. Ani jedna, ani druga strona nie ma racji.

Kiedy zapadła decyzja, że wyrok zostanie ogłoszony 22 października?

W połowie września. Termin październikowy wynikał z kalendarza prac i możliwości Trybunału w czasie stanu pandemicznego. Nie miał nic wspólnego z kalkulacjami politycznymi. W chwili ustalania terminu nikt nie mógł przewidywać ani ograniczeń epidemicznych w dniu ogłaszania wyroku, ani poziomu napięcia społecznego, ani sytuacji politycznej. A gdyby nawet je znał – nie powinien ich brać pod uwagę.

Trybunał Konstytucyjny nie jest ciałem politycznym, jest sądem, który pracuje swoim rytmem. Ze zdumieniem słuchałam wypowiedzi socjologów, którzy dowodzili, iż Trybunał rzekomo „przestrzelił” w ocenie zachowań społecznych po wyroku. Nie mógł „przestrzelić”, bo w ogóle takiej analizy nie dokonywał.

A data związana z Janem Pawłem II?

To również przypadek. We wrześniu wyznaczaliśmy pierwszy możliwy termin, także z uwzględnieniem spowolnienia naszych prac związanego z reżimem sanitarnym, pracą rotacyjną, tym, co dzisiaj każdy zna z własnej

pracy, z życia bliskich.

Nie mogła pani prezes, znając społeczną drażliwość tematu, uznać, że lepiej teraz nie wydawać wyroku w tej sprawie?

Nie było takiej możliwości, bo takie analizy w ogóle nie wchodziły w rachubę w czasie naszych prac. Na żadnym etapie nie dostosowujemy naszego orzekania do nastrojów społecznych ani do sytuacji politycznej. Takich rozważań i decyzji w ich wyniku nie ma. Tak jak wszystkie sądy wydajemy wyroki, gdy odpowiednie procedury są wypełnione i jesteśmy gotowi orzekać. Ani wcześniej, ani później.

Opozycja i jej media ciągle twierdzą jednak, że decyzja o zwiększeniu zakresu ochrony życia została podjęta

Fot. Andrzej Wiktorski

w obozie Zjednoczonej Prawicy jako element równoważący piątkę dla zwierząt.

To są bzdury. Przede wszystkim nie była to decyzja polityczna, lecz prawnicza, nie podjęli jej politycy, ale sędziowie, a termin wynikał z kalendarza prac orzeczniczych. Pamiętajcie panowie, że w Trybunale każdy sędzia ma jeden głos. Głos prezesa nie ma żadnej szczególnej wagi, jest równorzędny z głosami pozostałych 14 sędziów. Decydujemy wspólnie, w oddaleniu od życia politycznego, bez oglądania się na naciski, ataki i demonstracje.

Trybunał widział już różne demonstracje, pani również udowodniła, że nie da się zastraszyć. Jednak skala tego, co zobaczyliśmy po 22 października, wulgarność, agresja, przemoc, przeszła wszelkie oczekiwania. Co w pani ocenie było tego źródłem?

Nie chcę wchodzić w analizy socjologiczne ani politologiczne, bo nie jest to moją rolą. Ale mogę powiedzieć, że było to faktycznie chwilami przerażające. Ujawniło się potężne napięcie społeczne, nastąpił wybuch, którego nikt się nie spodziewał. Można też stwierdzić, że odsłoniła się przykra prawda o części świata kultury, mediów i nauki. Nie potrafię ukryć zażenowania na wspomnienie pani profesor literaturoznawstwa, która w sposób ekstremalnie wulgarny wyrażała swoje emocje. Zawsze sądziłam, że ktoś, kto jest profesorem, ma na tyle bogaty zasób słów, że potrafi opisać emocje w sposób dosadny, ale nie wulgarny. Język wulgarny jest językiem przemocy, agresji i gwałtu. Jedna z pań rektorów wyraziła swój gniew i protest, formułując oświadczenie w kulturalny i cywilizowany sposób. Wprawdzie merytorycznie nie miała racji, bo nie jest celem badań prenatalnych i rozwoju nauki w tym zakresie, by na ich podstawie dokonywać aborcji, ale by ratować życie nienarodzonego dziecka.

Bardzo się ten nasz próg oczekiwań wobec przedstawicieli tzw. elity obniżył. Doceniamy, jeśli tylko nie przeklinają, nie wzywają do przemocy.



Może w ten sposób rozpoznajemy, kto jest prawdziwą elitą? W każdej sytuacji musimy szukać dobra.

Wiemy, bo opisywał to choćby portal wPolityce.pl, że robiono też w tamtych dniach rzecz niewyobrażalną dla ludzi szanujących demokrację, prawo i konstytucję: zaatakowano panią osobiście, pani męża, pani spokój domowy. Jak to wyglądało?

Nazwałabym to dręczeniem uporczywym i bezwzględny. Trwa akcja, która ma na celu zastraszenie mnie i mojej rodziny, nawet wnuków, pozbawienie nas możliwości normalnego życia. Są to brutalne próby wpływu na moje zachowanie, organizację prac Trybunału Konstytucyjnego. To ingerencja w moją niezawisłość i niezależność.

Wiemy, że wysyłano do pani domu kartki z tekstami: „Idziemy po Ciebie, sadytko”.

Nie chcę, by ten wywiad był litaniią moich skarg, ale powiem panom, że to jedna z pomniejszych szykan, jakie były i są stosowane. Sądzę, że można mówić o próbie linczu. Przed domem, w którym mieszka mój mąż, ambasador RP w Niemczech, prof. Andrzej Przylębski, bojówki zorganizowały demonstracje z rzucaniem petard na podwórko, wylewaniem śmierdzących substancji. Próbowano nieprawdziwymi donosami nastawiać przeciw nam sąsiadów i okolicznych sprzedawców, restauratorów. Bezskutecznie, bo ludzie nas znają i lubią, spokojnie wyjaśniliśmy im charakter sprawy.

Jak państwo określili te protesty?

W rozmowach z sąsiadami i w odpowiedzi na ich pytania mąż nakreślił kontekst sprawy. Jednej z sąsiadek powiedziałam: „Dobrze, że nie zna pani języka polskiego, bo byłaby pani zawstydzona, że można się takim językiem w miejscu publicznym posługiwać”. Mój mąż ocenił, że to taki rynsztok językowy, że trudno byłoby go nawet przetłumaczyć na niemiecki. Ale taka niestety jest prawdziwa

twarz niektórych wpływowych środowisk w Polsce, tak komunikują swoje przekonania i emocje wobec świata.

Napięcie celowo chyba zwiększała część mediów, sugerując, że Trybunał całkowicie zdelegalizował wszelką aborcję w Polsce?

To była duża fala dezinformacji. Trybunał Konstytucyjny zajmował się tylko jedną przesłanką pozwalającą na przerywanie ciąży, której dotyczył wniosek grupy posłów. Ustawa

Mamy jasne przepisy konstytucji, mamy też wieloletnią linię orzeczniczą w zakresie ochrony życia. Przyznawali to nawet prezesi Andrzej Zoll i Andrzej Rzepliński, których trudno posądzać o sympatię do mnie i do obecnego składu TK

o planowaniu rodziny, ochronie płodu ludzkiego i warunkach dopuszczalności przerywania ciąży nadal dopuszcza możliwość przerywania ciąży w przypadku, gdy stanowi ona zagrożenie dla życia i zdrowia kobiety, a także gdy zachodzi uzasadnione podejrzenie, że ciąża jest skutkiem czynu zabronionego, m.in. gwałtu. To jest właśnie wybór.

Pojawia się obawa, czy ustawodawca lub Ministerstwo Zdrowia, próbując teraz utrzymać tzw. kompromis aborcyjny, nie otworzą furty dla masowych aborcji, uznając, że trauma wynikająca z urodzenia dziecka chorego niesie zagrożenie dla zdrowia psychicznego kobiety. Właśnie w ten sposób aborcja jest de facto dopuszczalna „na żądanie” w Niemczech.

Trybunał jest tzw. ustawodawcą negatywnym. Stwierdza, czy dany przepis jest zgodny albo niezgodny z konstytucją. Trybunał jest też ograniczony zakresem wniosku. Tworzenie prawa i rozwiązywanie problemów społecznych jest kompetencją parlamentu, prezydenta i rządu. Mogę jedynie przypomnieć, że w zakresie ochrony życia orzeczenia niemieckiego Trybunału Konstytucyjnego były bardzo podobne do orzeczeń polskiego TK.

Czy pisemne uzasadnienie do wyroku Trybunału Konstytucyjnego otworzy jakieś pole manewru ustawodawcy, rządowi? Część polityków wyraża takie oczekiwania.

Nie chcę się w tej kwestii wypowiadać, bo to jest sprawa ustawodawcy, nie Trybunału. Uzasadnienie powstaje dokładnie tak samo jak wyrok – w oderwaniu od presji politycznej, w skupionej refleksji nad konstytucją i ustawodawstwem. Uzasadnienie pisemne jest zawsze szersze od motywów ustnych orzeczenia. Podstawowa wykładnia pozostaje ta sama, którą już znamy. Inna sprawa, że niewielu uważnie wysłuchało ustnego uzasadnienia wyroku, za to wielu wyległo w amoku na ulice.

Im dłużej to trwa, tym wyraźniej widać, że protest dotyczy nie tylko wyroku Trybunału, ale może być również wynikiem niedawnych wyborów parlamentarnych i prezydenckich, czyli spraw, z którymi TK naprawdę nie ma nic wspólnego.

No i jeszcze pandemii. Na całym świecie wszystkie rządy mają kłopoty, bo ludzie są skutkami pandemii coraz bardziej sfrustrowani.

Mają panowie rację, ale to wszystko czynniki leżące poza Trybunałem, który jest sądem oceniającym zgodność ustaw z konstytucją – i kropka. Jako prawnika, sędziego, może mnie martwić powszechność aprobaty dla wezwań do siłowej zmiany władzy w Polsce. Jestem jednak pewna, że państwo polskie jest w stanie obronić swoją suwerenność. Szkoda, że ci, którzy wcześniej tak podnosili znaczenie

konstytucji, demonstrowali przed gmachem na Szucha z jej egzemplarzami, dzisiaj lekką ręką odrzucają regulację art. 38 tej Konstytucji RP, stwierdzając, że „Rzeczpospolita Polska zapewnia każdemu człowiekowi prawną ochronę życia” i zapominają, że przyrodzona i niezbywalna godność człowieka stanowi źródło wolności i praw człowieka i obywatela. Jest ona nienaruszalna, a jej poszanowanie i ochrona są obowiązkiem władz publicznych.

Czy ten wyrok mógł być inny?

Biorąc pod uwagę treść konstytucji, innego wyroku Trybunał wydać nie mógł, co wielu prawników uczciwie potwierdza.

Prawo, interpretacja konstytucji, to nie są jednak nauki ścisłe. Zawsze jest pole do pewnego manewru.

W tym wypadku jest ono niezwykle wąskie. Mamy jasne przepisy konstytucji, mamy też wieloletnią linię orzeczniczą, w którą wpisuje się ostatni wyrok. Przyznawali to nawet prezesi Andrzej Zoll i Andrzej Rzepliński, których trudno posądzać o sympatię do mnie i obecnego składu Trybunału.

Ten ostatni nawet, przerażony wulgarnością demonstracji, nazwał protestujących „motłochem”.

Ale, o ile dobrze pamiętam, szybko się z tego wycofał, wskutek medialnej i środowiskowej presji. Taki już jest jego „urok”. Siła tak olbrzymiej presji niejednego łamie, zmusza do milczenia. Dlatego ze smutkiem stwierdzam, że tak wielu prawników, którzy doskonale wiedzą, że wyrok Trybunału nie mógł być inny, nie powiedziało ani słowa w tej kwestii w obliczu rozpętanej nagonki.

Żeby podkreślić emocje, część mediów używa określenia „Trybunał Julii Przyłębskiej”, sugerując ręką wadliwość obecnego TK. Jak pani prezes to przyjmuje?

To skandaliczne zachowanie. Trybunał poprosił o interwencję Krajową Radę Radiofonii i Telewizji, bo było to przekroczenie granic prawa i do-

brego obyczaju. Jesteśmy konstytucyjnym organem, w którym prezes jest jednym z 15 sędziów, organizującym pracę Trybunału i reprezentującym go na zewnątrz. Także sprawa legalności składu TK jest zamknięta. Poprzedni skład Trybunału jasno orzekł, że nie może oceniać uchwał dotyczących wyboru pięciu sędziów i umorzył ją.

Ale nadal pojawiają się komentarze dotyczące wyboru.

To publicystyka, a nie prawo. Trybunał – jak żaden sąd – nie jest powołany do uprawiania publicystyki i polityki. Powracanie do tego ma jasny cel – nęka-

Trybunał Konstytucyjny nie dokonuje ocen politycznych. Gdybyśmy zaczęli to czynić, nasza sędziowska niezależność skończyłaby się

nie, zmęczenie, by sędziowie w końcu ulegli, przestali być niezależni albo się wycofali. Żadnej merytorycznej argumentacji, tylko emocje, często obelgi.

No nie tylko, jest jednak także wielkie uznanie części Polaków dla tego, co pani robi. Widzimy to po listach i telefonach od czytelników, jest wiele głosów wsparcia.

To prawda, też spotykam się często z wyrazami sympatii i życzliwości. Problem w tym, że strona wobec mnie krytyczna sięga po narzędzia przemocowe. Jeżeli zaakceptujemy możliwość wywierania tego rodzaju presji na sędziów, to będzie to koniec państwa prawa i demokracji. Nikt, także Parlament Europejski, nie ma prawa do wywierania jakiegokolwiek presji na Trybunał Konstytucyjny.

Autorzy nagonek mają szansę osiągnąć swój cel?

Cieszy mnie, iż mimo tak potężnych i brutalnych nacisków Trybunał funk-

cjonuje normalnie. Ba, rozpoznaje najwięcej w historii złożonych do niego skarg konstytucyjnych.

Wielu obserwatorów zaskoczyło, że niektóre środowiska, które wcześniej wywierały presję na Trybunał, by jak najszybciej ten wniosek rozpatrywano, po wybuchu protestów albo się schowało, albo wręcz udawało że to nie ich sprawa. Nawet jeden z posłów wnioskodawców z Konfederacji wykonał taki manewr.

Siła głosów krytycznych pojawiających się przed wydaniem wyroku była nieproporcjonalnie wielka wobec skali milczenia tych samych środowisk po jego wydaniu. Zastanawiające...

Uzasadnienie pisemne powstaje już ponad miesiąc. Dlaczego?

To jest czas doprecyzowania argumentacji prawniczej. Nie jest to ani wolniej, ani szybciej niż zwykle. Pamiętajmy też, że mamy czas pandemii. Sędziowie i pracownicy również chorują, są kwarantanny. Wyrok w sprawie świadczeń dla byłych funkcjonariuszy SB i innych służb państwa komunistycznego także musiał zostać przełożony. Została zamknięta rozprawa, orzeczenie miało być ogłoszone konkretnego dnia, ale jeden z sędziów zachorował. W składzie innym niż zamknięto rozprawę zrobić tego nie można.

Może się pani odnieść do sformułowania „kompromis aborcyjny”? Czy w pani ocenie wyrok TK go obalił? Doprecyzował?

Jako prezes Trybunału Konstytucyjnego nie mogę się do tego odnosić, to jest poza sferą dopuszczalnych ocen, wypowiedzi. Powtarzam: wpłynął wniosek grupy posłów i został rozpoznany. Trybunał Konstytucyjny nie dokonuje ocen politycznych. Gdybyśmy zaczęli to czynić, nasza sędziowska niezależność skończyłaby się. TK rozstrzyga wnioski posłów w sprawie zgodności zaskarżanych przepisów z konstytucją – czysto prawniczo. I kropka. Decyduje konstytucja, prawo, a nie polityka. 

JEDNA SUBSKRYPCJA - TRZY TYTUŁY



SIECI + **wSIECI HISTORII** + **wPolityce.pl**

• WYGODNIE • W DNIU WYDANIA

- tygodnik Sieci i magazyn wSieci Historii w wersji cyfrowej (pdf)
- archiwum obu tytułów od 2017 r.
- dostęp do strefy Premium portalu wPolityce.pl

1 miesiąc
TYLKO **9⁹⁹** zł

ZAMÓW JUŻ DZIŚ: www.SiecPrzyjaciol.pl

Praworządność nie może się opierać na większości politycznej

*Z premierem Słowenii **Janexem Janšą**, autorem listu do europejskich przywódców, w którym krytykuje rozporządzenie ws. uwarunkowania przyznawania unijnych funduszy od tzw. praworządności, rozmawia Goran Andrijanić*

Panie premierze, ten list wywołał ożywioną dyskusję. Co pana skłoniło do jego napisania?

Janex Janša: W lipcu tego roku po długich negocjacjach w sprawie wieloletnich ram finansowych UE na lata 2021–2027 (WRF) i funduszu odbudowy osiągnęliśmy porozumienie na szczycie Rady Europejskiej (RE). Zainwestowaliśmy w nie ogromną ilość kapitału politycznego. Za to porozumienie odpowiada cała RE i każdy z jej członków. Musimy się upewnić, że ostateczna wersja porozumienia jest w pełni zgodna z lipcowymi ustaleniami. Porozumienie to umożliwi rozpoczęcie wykorzystania zasobów, których państwa członkowskie, europejska gospodarka i obywatele rozpaczliwie potrzebują.

Mój list jest napisany w tym duchu. Jest to wezwanie do rozsądku i do uświadomienia sobie powagi sytuacji. By negocjacje między Radą, Komisją Europejską i europarlamentem doprowadziły do odejścia od lipcowego porozumienia. Było to w moim głębokim przekonaniu również odejście od postanowień traktatu o Unii Europejskiej (TUE). Naszym obowiązkiem jest dopilnowanie, aby ostateczne porozumienie było możliwe do zaakceptowania

przez wszystkie państwa oraz by było zgodne z umową, której jako członkowie RE jesteśmy „właścicielami”. List ten jest również wezwaniem do poszanowania TUE i do równego traktowania wszystkich państw członkowskich, ponieważ zagrożone jest istnienie UE, jaką znamy dzisiaj i do jakiej weszliśmy w 2004 r. Brexit był tu ostatnim ostrzeżeniem.

Stworzenie mechanizmu, błędnie nazywanego praworządnością, byłoby sprzeczne z TUE. Byłoby odpowiednikiem niekontrolowanej armaty jądowej, która może zniszczyć UE w dosłownym tego słowa znaczeniu. Nie w jednej eksplozji, ale kawałek po kawałku. A zatem chodzi o znacznie więcej niż tylko budżet UE i fundusz odbudowy.

Ostrzega pan, że Unia odeszła od pierwotnych pomysłów, które ją tworzyły. Jak to się stało?

Wizja zjednoczonej Europy, stworzona przez Roberta Schumana, opiera się na wzajemnym uznaniu równej godności, na współpracy dla dobra wspólnego, które obejmuje również dobro każdego uczestniczącego w nim kraju, jak również na solidarności. Wraz z upadkiem europejskich reżimów komunistycznych

wizja całej i wolnej Europy, która współżyje z sobą w pokoju (Europe whole and free, and at peace with itself), stała się osiągalna. Stała się zadaniem historycznym wszystkich narodów europejskich.

Jednak podstawą tej konstrukcji są nadal wzajemny szacunek, poszanowanie godności wszystkich wyborców we wszystkich państwach członkowskich oraz ich fundamentalnych decyzji i poszanowanie wspólnych ram traktatowych. W tym miejscu chciałbym podkreślić, że praworządność musi pozostać fundamentem UE. Kraj, w którym system polityczny nie jest oparty na demokracji i praworządności, w ogóle nie spełnia warunków członkostwa.

Po decyzji Warszawy i Budapesztu o zawetowaniu budżetu reakcje większości zachodnich mediów są krytyczne?

Traktaty o UE zawierają szczegółowe przepisy dotyczące zasad podejmowania decyzji w poszczególnych obszarach merytorycznych. Polska i Węgry działały zgodnie z tymi zasadami przy podejmowaniu decyzji lub ogłaszaniu swojego stanowiska, było ono przejrzyste i komunikowane. W świetle przepisów decyzyj-



Czy uważa pan, że część europejskiej opinii publicznej będzie teraz błędnie postrzegać Węgry i Polskę jako kraje, które blokują pakiet odbudowy?

To zdecydowanie plan pewnych kręgów. Wystarczy posłuchać, co mówi Soros. Chodzi o stworzenie wizerunku kozłów ofiarnych, na które należy wyrzucić odpowiednią presję po to, by się poddały. To jest bardzo złe dla UE, bez względu na to, co ktoś myśli. Przed nami niezwykle trudny okres powstrzymywania pandemii, dystrybucji szczepionek i naprawy gospodarczej. Nie mówiąc o strategicznych wyzwaniach dla Europy, takich jak demografia i nielegalna imigracja. Dlatego ponownie wzywam wszystkich do jak najszybszego znalezienia rozwiązania, byśmy mogli skupić nasz czas i energię na wyzwaniach przyszłości. Z moich informacji wynika, że prezydencja niemiecka w Radzie UE czyniła w ostatnich dniach ogromne wysiłki, aby znaleźć rozwiązanie tego problemu, i miejmy nadzieję, że druga połowa tego dramatu będzie równie udana jak pierwsza w lipcu.

Słowenia obejmie przewodnictwo w Radzie Unii Europejskiej w lipcu przyszłego roku. Jak odniesie się do problemu powiązania budżetu z kryteriami praworządności?

Słowenia będzie konsekwentnie bronić praworządności i tych samych kryteriów dla wszystkich i wszędzie – zarówno w swoim kraju, jak i w UE. Jest to również nasz punkt wyjścia dla instrumentów wieloletnich ram finansowych UE i funduszu odbudowy. Będziemy zawsze dążyć do tego bez podwójnych standardów. Jednak praworządność nie może być kwestią odpowiedniej większości politycznej, ponieważ wtedy nie jest to już praworządność, ale rządy większości

nych prezydencja Rady była zatem w stanie dojść do wniosku, że nie potrzebuje ona większości do przyjęcia wszystkich aktów prawnych niezbędnych do realizacji lipcowego porozumienia.

Jeżeli jednak wspólna decyzja wymaga jednomyślności, zgodnie z postanowieniami traktatów każde państwo członkowskie może ją zawetować. Zasady podejmowania decyzji dotyczą wszystkich jednakowo. Gdyby tak nie było, oznaczałoby to w rzeczywistości naruszenie praworządności przy podejmowaniu

decyzji we wspólnych instytucjach. Instrument ten był dotychczas wielokrotnie używany formalnie lub nieformalnie. Holandia np. blokując kroki w kierunku bliższej współpracy z Ukrainą, weto Bułgarii na rozpoczęcie negocjacji w sprawie członkostwa Macedonii Północnej w UE, Grecja od dawna uniemożliwia członkostwo Macedonii Północnej w NATO i UE. Nie wspominając o tym, że wyborcy we Francji i Holandii odrzucili w referendum traktat konstytucyjny UE. Irlandia początkowo odrzuciła traktat lizboński itp.

politycznej. Dyskrecjonalnych mechanizmów, które nie opierają się na niezależnym osądzie, ale na kryteriach motywowanych politycznie, nie można nazwać „rządami prawa”. Procedury w tym zakresie muszą być zgodne z traktatem lizbońskim.

Co to wszystko mówi nam o przyszłości UE?

Przyszłość Unii, jeśli chodzi o jej cel, jakim jest przyczynienie się do wolnej Europy, w której panuje pokój, zależy również od poszanowania godności elektoratów i ich decyzji we wszystkich państwach. Jeśli tak nie jest, nie tworzymy pokoju. Narzucając pewne opinie, wizje i ideologie, wprowadzamy do Europy wewnętrzny niepokój.

Wojna kulturowa na poziomie ogólnoeuropejskim nie przyczynia się do jedności. Jej skutki mogą być bardzo uciążliwe. Dlatego musi istnieć poszanowanie suwerenności państw członkowskich i ich wyborów w sprawach tożsamości i kultury.

Jednak poszanowanie wspólnych ram umownych, granic kompetencji wspólnych instytucji, jasność prawna i terminologiczna oraz ochrona sądowa muszą też być bastionem wspólnoty przed instrumentalizowaniem różnicy poglądów w zakresie walki ideologicznej na poziomie między państwowym. Byłoby dobrze, gdyby Europa przypomniała sobie powiedzenie św. Augustyna: „In necessariis unitas, in dubiis libertas, in omnibus caritas” („Jedność w rzeczach koniecznych, wolność w sprawach wątpliwych, miłość we wszystkim”).

Czy ma pan wrażenie, że elity europejskie nie rozumieją sytuacji członków UE, którzy żyli niegdyś w reżimach komunistycznych?

Z własnego doświadczenia mogę powiedzieć, że niektórzy obecni politycy i media nie pojęli głębi problemu, przed którym stoją kraje postkomunistyczne. Papież św. Jan Paweł II, Reagan, Kohl, Martens, Thatcher, Mock... dobrze rozumieli, dlaczego trzy dekady temu opadła żelazna kurtyna. Dziś, ze względu

na utratę pamięci historycznej, jest to przeoczone.

To nasuwa pytanie, czy elity polityczne na Zachodzie w ogóle dostrzegają polityczną rzeczywistość w krajach postkomunistycznych. Fakt ten rodzi nieporozumienia, takie jak mechanizm praworządności. Pozwolę sobie tylko wspomnieć o absurdalnym przykładzie, że osoby, które drastycznie naruszyły prawa człowieka oraz podstawowe wolności w czasach reżimu komunistycznego, nadal orzekają w słoweńskich sądach. Osoby skazujące na śmierć lub zatwierdzające zabijanie ludności cywilnej na granicy byłej Jugosławii i Włoch. Z ich pomocą wybory w Słowenii zostały dosłownie skradzione w 2014 r. Jednak pomimo naszych apeli nie spotkaliśmy się z żadną poważną reakcją ze strony instytucji UE. Dalej. Osoby naruszające prawa człowieka publicznie grożą, że w przypadku reform, które mają postawić nasze sądownictwo na niezależnych fundamentach, będą wołać na pomoc UE.

W obecnej sytuacji wygląda na to, że następnym prezydentem USA będzie Joe Biden. Jak komentuje pan porażkę Donalda Trumpa? Niektórzy uważają to za początek klęski „polityki populistycznej” również w Europie?

Poczekajmy na końcowy wynik procesów prawnych. Amerykańska demokracja ma już prawie 250 lat. W tym czasie przeszła wiele trudnych prób. Ale amerykańskie instytucje demokratyczne doskonały się przez lata, są solidne i odporne. Istnieje między nimi równowaga instytucjonalna.

Kolejnym wyzwaniem, jakie stawia sytuacja powyborcza, jest struktura społeczna. Badania wykazały, że było wiele historycznych momentów, kiedy Kongres i społeczeństwo były znacznie bardziej spolaryzowane niż obecnie. Jednak ludzie nie żyli przeciwko sobie, ale z sobą. Oznacza to, że ludzie i politycy szukali wspólnych mianowników, na podstawie których rozwiązyali wyzwania, przed którymi stanęli. Dziś jednak widzimy przerażające nagrania przedstawiające ataki Antify, nawet wobec dzieci i osób star-

szych. Widzimy brutalne wykluczenia z powodów ideologicznych. Doświadczaliśmy tego już w Europie. W chwili gdy w społeczeństwie dopuszcza się przemoc albo usprawiedliwia się ją w imię jakiejś idei politycznej, mamy problem.

A jeśli chodzi o populizm... To kwestia definicji. Jeśli nazywamy populizmem to, że polityk zwraca się do osób, które uważają, że polityka dotychczas nie brała ich pod uwagę, to jest to ogólny trend polityczny, więc każdego polityka możemy nazwać populistą.

Jeśli jednak z populizmem utożsamiamy demagogię, tzn. język, który używa uproszczonych argumentów wobec złożonych wyzwań i który jest skierowany do wyborców mocno ideologicznych, to dzisiejszych populistów musimy szukać po lewej, a nie po prawej stronie. „Lewica tożsamościowa”, oparta na kulturowym marksizmie, pasuje do tej drugiej definicji. Trump fenomenem jednak nie był. Bo on, wpływając między Scyllą i Charybdą, walczył z demagogami z lewej i prawej strony.

Trump sprzeciwiał się prawicowemu ekonomicznemu liberalizmowi instytucjonalnemu i nieokiełznanej globalizacji, która doprowadziła do dezindustrializacji USA oraz ograniczenia roli klas niższych i średnich. Jednak po lewej stronie Trump oparł się „lewicy tożsamościowej”, która atakuje podstawy amerykańskiego społeczeństwa: konstytucję, pamięć historyczną, wartości, instytucje i instrumenty państwowe oraz kulturę strategiczną.

I na koniec – wynik Partii Republikańskiej jest znakomity. Otrzymali najwięcej głosów w historii, zarówno w liczbach bezwzględnych, jak i względnym odsetku głosów czarnych i latynoamerykańskich. Zmniejszyli również lukę w Izbie Reprezentantów, wygrywając wiele wyborów gubernatorskich i lokalnych, takich jak w New Hampshire i Vermont. Jeśli już, to centroprawica rośnie zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i w Europie.

Jest pan politykiem, który często jest narażony na ostre ataki w mediach. Jak rozwiązać sytuację medialną

w byłych krajach komunistycznych, gdzie establishment medialny nadal jest zdominowany przez kadrę postkomunistyczną?

W Słowenii, w czasach państwa totalitarnego, dziennikarze byli „pracownikami społeczno-politycznymi” i wspierali reżim komunistyczny. Ktośkolwiek się temu opierał, odczuwał tego konsekwencje. Pomimo demokratycznych przemian niewiele się zmieniło. Niektóre struktury minionego reżimu w mediach (a także w sądownictwie) są nadal bardzo żywe. Jak inaczej możemy interpretować to, że partie lewicowe mają bezkompromisowe wsparcie medialne, a nawet współtworzą medialną rzeczywistość? Może nie jest to znane w Polsce, ale wielu słoweńskich dziennikarzy z telewizji zarówno krajowej, jak i komercyjnej znalazło się na lewicowych listach wyborczych i zostało nawet wybranych do Parlamentu Europejskiego. Inni dziennikarze znaleźli pracę w partiach lewicowych jako konsultanci ds. opinii publicznej. Oczywiście politykom lewicy jest znacznie łatwiej, jeśli chodzi o wsparcie medialne. Nie jestem jednak politykiem, który podążałby za tym, co mówi opinia publiczna. Idę za tym, co mówią ludzie – wyborcy, którzy w ostatnich wyborach mocno poparli Słoweńską Partię Demokratyczną (SDS), którą prowadzę.

Słoweński monopol medialny umożliwia i wspiera podwójne standardy, które niestety są często praktykowane lub były praktykowane przez organy państwowe. Tak więc w Słowenii wypranie miliarda euro dla reżimu totalitarnego w banku państwowym nie jest badane, a przewodniczący komisji parlamentarnej, który to odkrył, jest pod ostrzałem. Szerzenie fałszywego obrazu sytuacji w kraju, dyskredytowanie wszystkiego, co pozwala demokratycznie wybranym władzom na reformowanie państwa, parcie do medialnego stanu wyjątkowego za wszelką cenę. Tego doświadczamy.

Ale jest nadzieja. Nadzieję tę niosą przede wszystkim edukacja oraz inter-

net. Internet daje każdemu człowiekowi siłę medialną, która poważnie ogranicza zasięg monopoli medialnych. Aktywny wysiłek na rzecz dobra wspólnego i mocny głos, bez fałszywej „politycznej poprawności”, przeciwko podżeganiu, tworzeniu dodatkowych sytuacji kryzysowych i nieodpowiedzialnemu postępowaniu, może wiele zmienić. Współczesnym „lekarstwem”

Stworzenie mechanizmu, błędnie nazywanego praworządnością, byłoby sprzeczne z unijnymi traktatami. Byłoby odpowiednikiem niekontrolowanej armaty jądrowej, która może zniszczyć UE w dosłownym tego słowa znaczeniu. Nie w jednej eksplozji, ale kawałek po kawałku

na monopol medialne jest konkurencja w przestrzeni medialnej oraz wolny internet. Bez konkurencji w przestrzeni medialnej demokracja jest tylko iluzją.

Ma pan za sobą niesamowitą karierę polityczną. Walczył pan o niepodległość Słowenii, był więźniem komunistycznego więzienia, w 2014 r. został niesprawiedliwie skazany, ale w 2015 r. uniewinniony przez Trybunał Konstytucyjny. Rozważał pan odejście z polityki. Mimo to nadal pan walczy. Co pana napędza?

Ci, którzy nakazali agentom słoweńskiej policji politycznej Udba aresztowanie mnie 31 maja 1988 r., spowodowali, że wkroczyłem do polityki w sposób, który był nieodwracalny. Od tamtego czasu ci sami ludzie, z dawnej Partii Komunistycznej, rozsiedli się w instytucjach państwa, sądownictwie i gospodarce, na wszelkie

możliwe sposoby chcieli mnie usunąć z areny politycznej. Nie udało im się. Wręcz przeciwnie – wszystko, czego próbowali, sprawiło, że byłem jeszcze bardziej zdeterminowany, by wytrwać. Trzy lata po tym aresztowaniu i procesie polityczno-sądowym, za którym opowiedziała się większość narodu w proteście przeciwko komunistycznej dyktaturze, Słowenia uzyskała niepodległość. Jestem przekonany, że uwolnimy wreszcie Słowenię ze wszystkich szponów totalitarnej przeszłości.

SDS, której dzisiaj przewodzę, spędziła 20 lat w opozycji w ciągu 30 lat niepodległego państwa. Ale przez jedną trzecią tego czasu, którą spędziliśmy w rządach i koalicjach (teraz osobiście kieruję trzecią), zawsze się staraliśmy, aby kraj rozwijał się równomiernie. Aby obywatele Słowenii mogli żyć w dobrobycie. Aby sądownictwo działało zgodnie z prawem i sprawiedliwością. Aby mieć zdrową demokrację, a nie kalifat kierowany przez głębokie państwo. Moim celem było stworzenie młodym ludziom takich warunków, by nie uciekali z ojczyzny, ale wracali i pozostali w niej, by mogli stworzyć dom, założyć rodzinę i zrobić karierę.

Wierzę w siłę współpracy inaczej myślących. Przede wszystkim wierzę w naród słoweński, ponieważ przeszedł już czas ciężkich prób w swojej historii. Uważam, że Słowenia ma wszelkie warunki, aby stać się miejscem dobrobytu dla wszystkich, którzy ciężko pracują, a nie tylko dla tych, którzy uważają, że są lepsi z powodu swojego urodzenia. Możemy to osiągnąć, jeśli będziemy zdolni współpracować dla wspólnego dobra i będziemy nosić ojczyznę w sercach. Uważam, że osoba, która potrafi zdobywać wiedzę, z biegiem lat nabiera bystrości umysłu i wyczucia oraz uczy się oddzielać sprawy ważne od nieistotnych. Dlatego media oraz ich kreowanie wirtualnej rzeczywistości nie mają na mnie prawie żadnego wpływu, a to pozwala mi na podejmowanie decyzji opartych na wartościach i faktach.

Koalicjant po przejściach

Obserwujemy układanie Zjednoczonej Prawicy na nowo. Rozczarowany zachłannością byłego partnera z PSL Paweł Kukiz liczy w końcu na zdrowy polityczny układ. Czy jego rozmowy z Jarosławem Kaczyńskim zaowocują współpracą, którą przepowiadano już pięć lat temu?



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Jesteśmy rok po wyborach i trzy lata przed kolejnymi. Jedni (skrajna lewica) myślą o rewolucji na ulicy, drudzy (liberałowie) wciąż niewiele myślą i zbijają bąki, czekając, aż władza sama im wpadnie w ręce. Pozostali wiedzą, że

zaczyna się ważny czas dla ukształtowania sceny politycznej w 2023 r. W tle mamy znaczące, niekiedy historyczne wydarzenia: epidemię COVID-19, związane z nią kłopoty gospodarcze, zmianę przywództwa u naszego sojusznika nr 1, twarde negocjacje z Unią Europejską próbującą naruszyć suwerenność państw członkowskich.

Dla Prawa i Sprawiedliwości równie ważne jest wygaszenie napięć we własnym obozie. Ta konstelacja musi przetrwać trzy lata, by móc myśleć o ponownym zwycięstwie w wyborach. Kto o co gra? Jakie ruchy tektoniczne mają miejsce w obozie konserwatywnym?

Jaką rolę będą w nim grały właśnie z hukiem rozwiedzione Kukiz'15 i PSL?

KACZYŃSKI FASCYNUJE

– Paweł traktuje prezesa jak swojego nauczyciela WOS. Spotykają się, bywa nim wręcz oczarowany, choć w wielu sprawach się z nim nie zgadza. Jak sam mówi, sporo może się od niego nauczyć, na nowo spojrzeć na pewne wydarzenia polityczne w III RP. Często się na niego powołuje, na jego doświadczenie – mówi nam były działacz Kukiz'15, wciąż mający dobre kontakty w tym środowisku. Podobne opinie słyszymy z wielu ust.



Jednak osoby zorientowane w tych negocjacjach podkreślają, że Paweł Kukiz nie jest w Kaczyńskiego wpatrzony jak w obrazek. – Większość działaczy PiS boi się prezesa, a Paweł nie. Może mu więc prosto w oczy wiele rzeczy powiedzieć. I tak się dzieje. Wręcz podpowiada wicepremierowi, że z kryzysu po wyroku Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji można wyjść z twarzą, cofnąć się o krok, powiedzieć: „Nie pochwalamy tych protestów, ale rozumiemy emocje. To ważna sprawa, w której trzeba słuchać społeczeństwa, może warto więc rozważyć postulat pana Kukiza o referendum?”.

Lider PiS przed kilkunastoma miesiącami nie chciał o tym słyszeć. Teraz podejmuje z Kukizem dyskusję. Jak mówią nasi rozmówcy, to nie tylko znacząca zmiana, ale sygnał, że ich współpraca jest bardzo realna. Na jakich zasadach? – K15 będzie pewnie grupą rekonstrukcyjną WiS [Wolnych i Solidarnych, czyli partii śp. Kornela Morawieckiego w poprzedniej kadencji – przyp. red.]. Pewnie jako koło wspierające, mające sporą autonomię. Wykluczam ich wejście jako część Zjednoczonej Prawicy do naszego klubu. Ale i tak za trzy lata startowaliby z naszej listy – mówi poseł PiS, życzliwy wobec środowiska Kukiza. I dodaje: – Jeśli Pa-

weł dobrze by wszystkim pokierował, to jest w stanie wywalczyć coś ze swojego programu – może nie aż trzy kwestie, ale choćby jedną, np. mieszany system wyborczy. On i dla nas może być opłacalny. Referenda? Nie wiem, czy jest na nie ciśnienie społeczne, czy Polacy po czterech wyborach z rządu mają ochotę na kolejną dawkę demokracji...

Wielu posłów PiS po prostu darzy Kukiza sympatią. – Są zastrzeżenia do różnych jego „odpalów”. Ale jest lubiany za takie akcenty, jak przy uchwale suwerennościowej w sprawie unijnego weta. Można usłyszeć: co prawda czasem szaleje, ale gdy zatrąbią i trzeba z karabinem wyskoczyć z okopu, to Kukiz wyskoczy. Nikt nie mówi, że to opozycja totalna – słyszymy od innego polityka obozu władzy. – Nawet te różne wołty emerytowanego rockmana są traktowane jako okoliczność łagodząca jego głosowania w kontrze do PiS.

Współpracownicy lidera Kukiz'15 za-uważają, że ten w ostatnich dniach wyraźnie odżył. – Jest w życiowej formie. Dziś widać, jak był tłamszony w PSL. Dobrze go znam. Przez ostatni rok nie był sobą. Teraz powrócił u niego luz, błyskotliwość. Jego małżeństwo z PSL zaistniało z rozsądku. Związek z prezesem to już kwestia emocji. Choć trzeba pamiętać, że nastroje Pawła na pstrym koniu jeżdżą, a między miłością i nienawiścią bywa wielka różnica.

Sam Kukiz przyznaje, że prowadzi rozmowy z Jarosławem Kaczyńskim i jest gotowy do współpracy. „Jeśli PiS doszłoby do wniosku, że możemy zawrzeć umowę na realizację postulatów 1:1, czyli mówią: zależy nam na poparciu np. dalszej reformy wymiaru sprawiedliwości, to ja mówię: OK, zgadzam się. Poprę was w tej kwestii ze wszystkimi posłami, pod warunkiem że w tym samym czasie uchwalimy ustawę o sędziach pokoju naszego autorstwa. Na takiej zasadzie współpraca jest możliwa i byłaby wręcz wskazana. Byłbym przeszczęśliwym człowiekiem, gdyby nagle w PiS doznano olśnienia, że postulaty Kukiza mogą się przysłużyć Polsce” – mówił w telewizji w Polsce.pl.

Trudno nie wyczuć w takim stanowisku ulgi. Przez ostatnie półtora roku Kukiz miał wielki żal do Kaczyńskiego o to, że nie spotkali się w pół drogi przed wyborami parlamentarnymi. W PiS wielu



czuje podobnie: – Do końca nie znam odpowiedzi na pytanie, co nie zagrało w lipcu/sierpniu 2019 r. Powszechna opinia była taka, że należało wziąć Kukiza na listy, PiS miałoby 3 proc. więcej, 270 posłów, a PSL nie byłoby w Sejmie. Podejrzewam, że prezes powiedział: „Panie Kukiz, ja pana i pana ludzi na listy zapraszam, ale z tym programem to pan nie przesadzaj”. A dla Pawła było to niezwykle ważne. Nastąpiło niezrozumienie z obu stron. Kukiz był „na musiku”, więc poszedł z zielonymi.

NIECHCIANY ZWIĄZEK

Zarówno zdziesiątkowany Kukiz'15, jak i ludowcy potrzebowali siebie wzajemnie, by pozostać w Sejmie. Stąd projekt Koalicji Polskiej i opowieści o budowie

„nowego centrum”, które poprawi ustrój państwa. Stąd wykreślenie ze słownika Kukiza ZSL, jak często nazywał partię Kosiniaka-Kamysza.

Jedni i drudzy cieszyli się, że wspólnie unoszą sztandary z postulatami Kukiz'15. A jak naprawdę było z ich realizacją? Mniej więcej tak samo jak z ogłaszanym publicznie podziałem pieniędzy z subwencji – kukizowcy mieli dostać 20 proc. tego, co przypadnie PSL. Skończyło się na deklaracjach. Opowiada nam osoba znająca kulisy tej współpracy: – To od początku było bardziej myślenie życzeniowe niż realny podział środków. Subwencja jest dla partii, która nie może sobie jej rozdawać na lewo i prawo. Gdyby było inaczej, to wszystko by powyprowadzali, rozkradli. PSL deklarowało Pawłowi takie rzeczy na gębę, to było jak obiecywanie

Niderlandów według pomysłu Zagłoby w „Potopie”. Czarowali, że coś dadzą na fundację, jakież zleconko się zrobi. Wiem, że jakiś projekt ustawy, chyba dotyczącej sędziów pokoju, PSL im opłaciło, przekazując ok. 50 tys. zł.

Jak się jednak okazuje, droga do tego była kręta: – To był jeden z pierwszych zgrzytów. Peeselowcy grillowali Pawła, że nie skonsultował tego z Władkiem, że nie zapytał kogoś w biurze, że nie sprawdził, co na to Miłosz Motyka [rzecznik ludowców – przyp. red.]. I wtedy Paweł naprawdę się wkurzył. Sprawa stała na ostrzu noża, a koalicja pod znakiem zapytania, więc ostatecznie Zgorzelski zapłacił. Ale początkowo chciał im dać tylko 5 tys. i proponował, by resztę dopłacili z pieniędzy biurowych. „Jest was pięciu, to jak każdy da 10 tys., będzie idealnie”.

Subwencja to ogromne pieniądze. PSL co roku otrzymuje z budżetu 8,3 mln zł. Dla Kukiza oznaczałoby to ponad 6 mln w całej kadencji. Po wyborach cieszył się, że będzie mógł realizować swoje marzenia „takie jak strona internetowa z e-votingiem, e-konsultacjami, panele edukujące społeczeństwo w zakresie demokracji”.

Dziś bywa wręcz upokarzany przez ludowców, którzy całą kasę wzięli dla siebie. Jak przez Marka Sawickiego, który udawał znieśmaczenie zachowaniem byłego koalicjanta dopominającego się obiecanych 20 proc. – Paweł hojnie czerpał z tego, ma kierowcę, ma samochód, ma biuro, ma pracownika, my tutaj absolutnie nie ograniczaliśmy swobód jego działalności. Gdyby było więcej ekspertyz, to z pewnością nawet ponad to 20 proc. byśmy za ekspertyzy płacili, natomiast ich brakło, zwyczajnie brakło. W związku z tym, kiedy kończy się członkostwo i współpraca w ramach koalicji, nie ma prawnych możliwości, żeby dalej finansować partię.

„Niestety koledzy z PSL niczego nie zrozumieli z tego, co przez półtora roku próbowaliśmy im przekazać. Okazało się, że mają to tylko w słowach, a nie w sercach” – tak, dość delikatnie, ripostował Jarosław Sachajko, kukizowiec najchętniej wyglądający współpracy z PiS.

Inny poseł K15 Paweł Szramka w rozmowie z portalem wPolityce.pl zarzucił Sawickiemu bezduszość: „Mówienie o tym, że Paweł nie pojawiał się w Sejmie przez ostatnie pół roku, również było nie w porządku, ponieważ nie tylko pan Sawicki, ale myślę wszyscy posłowie PSL doskonale wiedzą, że Paweł ma trudną sytuację rodzinną, ma w domu chorą córkę i bardzo mocno uważa na to – nie tylko w tym okresie – aby nie łapać żadnych infekcji, żadnych wirusów, by nie zagrozić życiu swojej córki”.

KASA PRZEPALONA NA WŁADKA

Władysław Teofil Bartoszewski z PSL w rozmowie z tygodnikiem „Sieci” nie chce sprowadzać rozstania z K15 do kwestii finansowych. – Głosowaliśmy różnie. Ale w sprawach podstawowych tak nie powinno być.

Dopytujemy, czy Koalicja Polska zdefiniowała sobie katalog „spraw podstawowych” i czy znalazły się w nim takie kwestie, jak niewspieranie rządu w negocjacjach z Unią Europejską. – Nie było takiego katalogu. W XVIII w. powstała pierwsza polska encyklopedia, jedno z jej haseł zostało opisane tak: „Koń – jaki jest, każdy widzi”. Jakie są podstawowe wartości Polski, Polaków i centrum konserwatywno-prawicowego, jakim jesteśmy my, to każdy widzi. Jest rzeczą absolutnie dla

Paweł Kukiz nie jest w Kaczyńskiego wpatrzony jak w obrazek. – Paweł może więc prezesowi prosto w oczy wiele rzeczy powiedzieć. I tak się dzieje – słyszymy

Polski bezcenną, by być w UE. Co przyznają teraz nawet politycy PiS.

Można z pełnym przekonaniem stwierdzić, że poparcie przez kukizowców zapowiedzi rządowego weta wobec wiązania budżetu UE z tzw. praworządnością było tylko pretekstem do pozbycia się K15.

Wypatrywano go od wielu miesięcy.

„Ciche dni” w koalicji zaczęły się bo wiem w momencie, gdy PSL postanowiło przeznaczyć pieniądze z subwencji na kampanię prezydencką Władysława Kosiniaka-Kamysza. „Kiedy zauważyłem, że to idzie w kierunku zawłaszczenia, że Koalicja Polska jest fikcją, że to przykrywką dla promowania PSL, utrzymania stanu posiadania przez PSL – czy to w elektoracie, czy materialnego – to już było wiadomo, że prędzej czy później ta współpraca się skończy. Przez pół roku musiałem mocno zaciskać zęby, by samemu nie odejść” – mówił Kukiz we wPolsce.pl.

Kampania okazała się katastrofą. W promocji zielonej koniczyny, Kosiniaka-Kamysza i jego żony utopiono grube miliony. – Gdy PO podmieniła kandydata i było już wiadomo, że Władek nie ma szans, Paweł proponował, by

podpromować projekt Koalicji Polskiej i nasze wspólne postulaty. Tym bardziej że pieniądze na kampanię pochodzą z subwencji otrzymanej za to, że razem wystartowaliśmy. Ale w PSL objawiła się chłopska natura i dalej przepalali kasę. Ostatecznie Kosiniak-Kamysz dostał najdroższe głosy w Polsce – słyszymy od współpracownika muzyka polityka.

Kukiz, widząc, co się święci, niespecjalnie angażował się w pomoc szefowi PSL w czasie prezydenckiego wyścigu.

Spośród jego posłów u boku Kosiniaka-Kamysza najaktywniejsza była Agnieszka Ścigaj. Ale, jak mówi nam anonimowo poseł PSL, ona już wtedy była samotnym wilkiem: – Nie była ani z nami, ani z nimi. Na początku kadencji pokłóciła się z Pawłem. Poszło o stanowisko wicemarszałka dla Stanisława Tyszki. Paweł twardo z nami o to walczył. A Agnieszka na klubie w końcu stwierdziła, że jeśli Tyszka zostanie wicemarszałkiem, to ona odchodzi. To popsulo Pawłowi linię negocjacyjną i sprawa się rypla. Od tamtego momentu nie traktowali jej jako członka swojego obozu.

To nieco rozjaśnia, dlaczego Agnieszka Ścigaj po wyjściu z KP pozostała posłanką niezrzeszoną.

JAK PATRZĄ NA TO W PiS

Paweł Kukiz już raz uciekł spod topora. Egzotyczna koalicja z ludowcami, których kiedyś nazywał „zorganizowaną grupą przestępczą”, dała mu polityczne życie. Teraz, gdy ten etap wydaje się zamknięty, pojawia się kolejna szansa na podanie sobie tlenu. Kukiz walczy więc o życie, ale uważa, że ten sojusz to również szansa dla PiS. Przede wszystkim na ogłoszenie światu, że prawica nadal ma skąd dobierać sojuszników, ale też na „odsiermieżenie” wizerunku partii. To pozwoliłoby formacji Kaczyńskiego otworzyć się na młodych wyborców, co może być niezbędne w perspektywie wyborów w 2023 r.

Trzy lata to wcale nie tak dużo czasu, jak twierdzą niektórzy działacze PiS. Widzą, że młodzi prawicowcy masowo odpływają do Konfederacji i jeżeli ktoś miałby ich odzyskać, to rzeczywiście mógłby to być Kukiz. – W powietrzu wisi pytanie, jaką on

jest na dzisiaj wartością w polityce – zastanawia się jeden z posłów Solidarnej Polski. – Osobiście Kukiza lubię, natomiast wszyscy wiedzą o jego niestabilności. Bałbym się z nim budować coś, co tylko od niego by zależało. Jaką masz gwarancję, że się dogadasz, a on siądzie wieczorem i napisze, że to pie...oli? Chętnie bym go widział u nas, ale jako wartość dodaną, otwarcie na środowiska, do których PiS nie trafia, a nie jako zamiennik którejś frakcji – dodaje Ziobrysta.

Z relacji naszych rozmówców wynika, że Jarosław Kaczyński chciałby zacieśnić współpracę z Kukizem, by mieć rodzaj straszaka wobec mniejszych koalicjantów. – Nawet gdyby przyprowadził z sobą 10 posłów, to i tak jest za mało, by kogoś zastąpić – słyszymy w PiS od polityka, który zachęca, by na układankę wewnątrz Zjednoczonej Prawicy patrzeć szerzej. Solidarna Polska ma 19 posłów, Porozumienie – 18, choć Paweł Kukiz twierdzi, że to dane oficjalne, ale nieaktualne. Na ile więc te grupy są jednolite? Kryzys wywołany zmianą daty wyborów prezydenckich pokazał, że Jarosław Gowin w momencie próby może liczyć na lojalność zaledwie kilku parlamentarzystów. Natomiast grupa Zbigniewa Ziobry wydaje się bardziej spójna. Gdyby miała odejść, to raczej w całości.

Skąd w ogóle temat zamiany koalicjanta? Nasi rozmówcy wskazują, że walka frakcji w obozie rządzącym trwa co prawda od dawna, ale rozgorzała na nowo po wyborach prezydenckich, gdy miał nadejść trzyletni okres „podnoszenia poziomu życia Polaków”, a wyszło na to, że partie zaczęły zajmować się sobą. Gowin, Ziobro i Kaczyński ostatecznie się porozumieli, konflikt został zażegnany, ale jest jasne, że w każdej chwili może wybuchnąć na nowo. Następnym razem może dojść do poważnej rekonfiguracji układu rządzącego, w którym niektórzy nie chcieliby już widzieć „najbardziej ekstremalnych elementów”, czyli domagających się zaostrzenia kursu wobec UE oraz światopoglądowej jednoznaczności posłów Zbigniewa Ziobry. Ale kto w zamian: Kukiz? W tym kontekście Ziobryści widzą zagrożenie raczej w PSL, z którym rozmowy ma prowadzić Mateusz Morawiecki.

KTO W PROPOLSKIM OBOZIE?

W Zjednoczonej Prawicy wszyscy przygotowują się na moment przełomu, którym ma być szczyt w sprawie budżetu UE. Kluczowe pytanie, które zadają sobie politycy nie tylko w Polsce, brzmi: czy premier zastosuje weto? Zachęca do tego albo raczej żąda go Solidarna Polska.

– Plan Morawieckiego jest taki, żeby za wszelką cenę weta nie użyć. By jednak przedstawić to jako swój sukces,

Plan Morawieckiego jest taki, żeby za wszelką cenę weta nie użyć – mówi nam jeden z posłów Solidarnej Polski. – Wtedy wiadomo, że my będziemy w kontrze. Mamy więc wojnę i być może będzie musiało dojść do przestawienia wajchy na górze, czyli podmiany koalicjanta

musiałby przyjechać i powiedzieć, że nie zawetowaliśmy, ale w zamian mamy to, to i tamto – mówi nam jeden z posłów SP. – Wtedy wiadomo, że my będziemy w kontrze. Mamy więc wojnę i być może będzie musiało dojść do przestawienia wajchy na górze, czyli podmiany koalicjanta. W tej konfiguracji nadaje się i w zasięgu jest tylko PSL. Premier nazywałby to nowym otwarciem, „nie chciałem, ale musiałem”. Dzisiaj wydaje się to mało prawdopodobne, ale taki plan istnieje i jest jedną z opcji.

Decyzja w sprawie budżetu UE to element walki o polską suwerenność, a nie tylko o unijną kasę, jak chciałaby nam to przedstawić opozycja. To też moment weryfikacji wśród polityków i być może chwila, gdy wokół PiS tworzy się jeszcze szerszy obóz propolski. Czy jest w nim miejsce dla PSL? Wyciągając wnioski z przeszłości, należy wątpić.

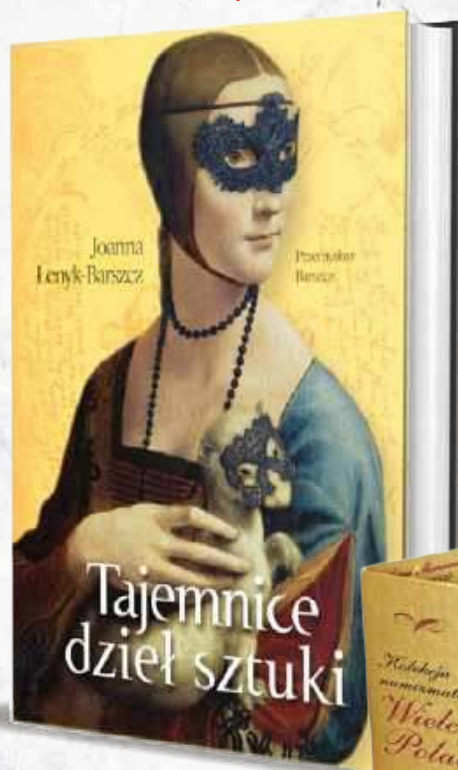
Konserwatywne skrzydło PiS pamięta, w jakim żalosnym przedstawieniu wziął udział Władysław Kosiniak-Kamysz, oklaskując Leszka Jażdżewskiego po antykościelnym wykładzie. To tylko epizod, lista win prezesa PSL jest dłuższa. Na jej czele zawsze będzie ustawa o podwyższeniu wieku emerytalnego. – Polityka już dużo widziała, ale gdybyśmy chcieli wziąć na pokład ludowców, to byłaby to ekstremalna utrata wiarygodności i wejście w koalicję niszczącą Polskę – mówi polityk PiS. – Przecież przez te lata rządów Zjednoczonej Prawicy konsekwentnie powtarzaliśmy naszym wyborcom, że trzeba naprawiać to, co wcześniej napsuły Platforma z PSL. A Kosiniak-Kamysz jest twarzą najgorszych reform.

Nastroje w PSL zresztą są dzisiaj takie, że partia rozmawia z każdym, ale najszerzej uśmiecha się do Szymona Hołowni. Cynicznie patrząc w przyszłość, w nim upatruje siłę, która w 2023 r. może dać „koniczynkom” miejsca w Sejmie. Były kandydat na prezydenta w kampanii pokazał swoją prawdziwą twarz. Przekonaliśmy się, jak niewiele wspólnego z rzeczywistością mają jego katolickie i patriotyczne deklaracje. Jeśli PSL w ogóle rozważy współpracę z nim, samo wystawia sobie świadectwo i w zasadzie na

własne życzenie wypisuje się z orbity obecnie rządzących. Czy mimo to ludowcom uda się wykonać nowy lifting i – jak zapowiadają – zbudować „nową polską chadecję”? Odpowiada Paweł Kukiz: – To jest troszkę tak, jakby zapytać, czy Biedron pomoże w remoncie kościołów...

Test „europejski” w polskim Sejmie sprawił, że być może właśnie teraz możliwe jest skompletowanie Zjednoczonej Prawicy na nowo. Trzeba kontynuować naprawę państwa, a jednocześnie obrąć kurs na kolejne wybory. Czasu wbrew pozorom wcale nie zostało wiele. Pamiętając o tym, że wymiana sprawnego i sprawdzonego elementu to zawsze ryzyko, warto zrobić przegląd i zdecydować, z kim chce się tę podróż kontynuować. I kogo na pokład zabrać dodatkowo, by był tylko wzmocnieniem, a nie był również balastem.

Zrób sobie lub bliskim
prezent na święta...



SIECI + **wSIECI HISTORII**

40% TANIEJ

**KSIĄŻKA I NUMIZMATY
W PREZENCIE!**



ZAMÓW ROCZNĄ PRENUMERATĘ PAKIETU:

tygodnik **SIECI** i magazyn **wSIECI HISTORII** za ~~418,20 zł~~ **280 zł**, a książkę **Tajemnice dzieł sztuki i numizmaty z wielkimi Polakami** otrzymasz **GRATIS!**

Zamówienia prenumeraty można składać:

• telefonicznie: 22 616 36 00 • e-mailem: prenumerata@fratria.pl • przez internet: www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: **PL91 1240 5354 1111 0010 7713 6290**, Fratria Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując „Prenumerata roczna” i pełne dane adresowe do wysyłki.

Posłowie do zadym specjalnych

Immunitet i legitymacja poselska nie powinny gwarantować bezkarności, ale często ją zapewniają



STANISŁAW JANECKI

Najbardziej magicznym przedmiotem podczas ulicznych protestów w czasie pandemii jest legitymacja poselska (senatorska). Pomachanie nią ma nie tylko otwierać wszelkie drzwi, lecz także umożliwiać dowolne zachowanie. Uzbrojeni w legitymacje posłowie, a szczególnie posłanki, wchodzą w tłum podczas interwencji policji (często w pierwszej linii), przerywają policyjne kordony lub na nie napierają, są tarczami, za którymi podążają uczestnicy protestów i demonstracji, niweczą plany policji, pogłębiając chaos i doprowadzając do niekontrolowanych wybuchów. W ich obecności funkcjonariusze publicznych, jakimi są policjanci, szarpie się, uderza, popycha, opluwa czy obraża i poniża za pomocą wulgarnych określeń.

Szczególne upodobanie w sprawowaniu mandatu poselskiego w tłumie konfrontującym się z policją mają Barbara Nowacka, Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, Klaudia Jachira, Joanna Scheuring-Wielgus, Magdalena Biejat, Beata Maciejewska, Urszula Zielińska, Magdalena Filiks, Małgorzata Tracz, Monika Wielichowska, Anna Maria

Żukowska, a także posłowie Michał Szczerba, Franciszek Sterczewski czy Dariusz Joński.

PONAD PRAWEM

Posłowie (posłanki) sami twierdzą, że uczestniczą w protestach, gdyż „popierają postulaty demonstrujących”, „chcą być identyfikowani z protestującymi”, „pokazują, że są takimi samymi osobami jak demonstrujący”, „wykorzystują mandat, by dowiedzieć się, co się dzieje z zatrzymanymi lub skontaktować ich z adwokatami”, „negocjują między protestującymi a policją”, „obserwują”, „mediują”, „dokumentują”, „podnoszą na duchu”, „interwenują i ochraniają”, „pilnują, czy policja nie łamie prawa”, „blokują interweniujące służby, gdy uznają to za słuszne”, „bronią przed policją własnym ciałem”, „udostępniają swoje biura poselskie w okolicy protestów, żeby umożliwić skorzystanie z toalety, łyk kawy, a nawet przenocowanie”.

Wszystko to ma stanowić „znacznym element działań w ramach mandatu” – jak to opisała posłanka Agnieszka Dziemianowicz-Bąk. Bo ona, „czuje, że legitymacja poselska daje ochronę, na jaką nie mogą liczyć protestujące”.

Oczywiście żadnej z tych przyczyn aktywności poselskiej na ulicach nie znajdziemy ani w konstytucji, ani w Ustawie o wykonywaniu mandatu posła i senatora z 9 maja 1996 r... W art. 45 pkt 1 ustawy zapisano tylko, że „posłowi wydaje się legitymację poselską, a senatorowi legitymację senatorską”.



Mając już legitymację, ma się prawo (zgodnie z art. 20 pkt 1. ustawy) „podjąć interwencję w organie administracji rządowej i samorządu terytorialnego, zakładzie lub przedsiębiorstwie państwowym oraz organizacji społecznej, a także w jednostkach gospodarki niepaństwowej dla załatwienia sprawy, którą wnosi we własnym imieniu albo w imieniu wyborcy lub wyborców, jak również zaznajamiać się z tokiem jej rozpatrywania”. A to dlatego (art. 20 pkt 4), że „legitymacja poselska lub senatorska upoważnia parlamentarzystę do wstępu na teren jednostek, o których mowa w ust. 1”.

Art. 105 pkt 1 konstytucji stanowi, że „poseł nie może być pociągnięty do odpowiedzialności za swoją działalność wchodzącą w zakres sprawowania mandatu poselskiego ani w czasie jego trwania, ani po jego wygaśnięciu. Za taką działalność poseł odpowiada wyłącznie przed Sejmem, a w przypadku naruszenia praw osób trzecich może być pociągnięty do odpowiedzialności sądowej tylko za zgodą Sejmu”. W punkcie 2 czytamy: „Od dnia ogłoszenia wyników wyborów do dnia wygaśnięcia mandatu poseł nie może być pociągnięty bez zgody Sejmu do odpowiedzialności karnej”.



(NIE)ŚWIĘTY POSEŁ

Jeśli nawet posłowie ucierpieli podczas interwencji policji, to działo się to w trakcie popełniania przez nich czynu zabronionego – uczestnictwa w nielegalnym zgromadzeniu. W dodatku takim, które zagraża zdrowiu i życiu ludzi, bo przecież trwa pandemia. W żadnym demokratycznym systemie prawnym poseł nie jest bezkarny, gdy jest przyłapany na gorącym uczynku, a czynny opór stawiany policji jest przecież czymś takim. Nawet wymachiwanie legitymacją nie chroni posła popełniającego czyn zabroniony. Tym bardziej w tłumie, podczas zamieszania bądź wieczorem, kiedy jest ciemno, bo wtedy nie sposób zwerfikować, kto jest kim.

W Wielkiej Brytanii parlamentarzyści mają zagwarantowaną bezwzględną wolność słowa w czasie parlamentarnej debaty. Jednak immunitet nie zapewnia im właściwie żadnej ochrony po opuszczeniu gmachu parlamentu. Mogą być więc pociągnięci do odpowiedzialności karnej w czasie sprawowania mandatu. Mogą trafić do aresztu (trzeba tylko poinformować szefów izb o zatrzymaniu oraz jego podstawie). Także we Francji można wobec parlamentarzystów wszczynać postępowania karne, można przeprowadzać przeszukania w ich domach. Poseł nie może tylko zostać uwięziony w czasie sprawowania mandatu (chyba że jest oskarżony o zabójstwo).

W USA (art. 1 pkt 6 konstytucji) parlamentarzyści nie mogą być aresztowani tylko w czasie sesji izby, a także w drodze na sesję i w drodze powrotnej (z wyjątkiem zdrady, ciężkiego przestępstwa lub zakłócenia spokoju publicznego). Przeciwnie parlamentarzystom mogą się toczyć postępowania karne i cywilne. Równie szeroki jak w Polsce immunitet działa natomiast w Niemczech czy Włoszech.

Posłowie celowo nadużywają legitymacji i powołują się na immunitet, żeby zastraszyć policjantów podczas działań chroniących porządek i ludzi. Albo żeby wywołać negatywne nastawienie do funk-

cjonariuszy wykonujących swoje obowiązki. To nawiązanie do czasów PRL, gdy opinia publiczna negatywnie reagowała na agresywne działania władz i milicji wobec posłów koła Znak, np. Stefana Kisielewskiego czy Jerzego Zawieyskiego.

Uczestnictwo posłów w zadymach ma służyć przekonaniu opinii publicznej, że nawet poseł nie jest bezpieczny, a co dopiero zwykły obywatel, czyli że mamy do czynienia z opresyjnym państwem. Szczególne znaczenie ma pojawianie się posłanek na pierwszej linii konfrontacji protestujących z policją. Ma się to kojarzyć z wyjątkową brutalnością, bo przecież w polskiej kulturze ochrona kobiet jest czymś bardzo rycerskim, a złamanie zasady, że nie podnosi się ręki na kobietę (tym bardziej matkę), jest związane z oburzeniem, odrzuceniem i potępieniem.

Uczestnictwo parlamentarzystów w protestach i starciach z policją ma także radykalizować nastroje społeczne. Chodzi o wdrukowanie opinii publicznej, że władzy została już tylko policja, czyli że nie ma już mandatu społecznego i jest kompletnie wyalienowana. Jest też na tyle zdesperowana i osaczona, że jest gotowa używać przemocy. We wdrukowywaniu takich skojarzeń chodzi o podważenie zaufania do rządzących. Uczestnictwo posłanek w zadymach służy też tworzeniu dla zagranicy narracji o władzy nie tylko łamiącej prawo, lecz także funkcjonującej poza demokratycznym mandatem i procedurami. Do tego świetnie się nadają zdjęcia posłanek cierpiących po użyciu gazu, choć we Francji czy Niemczech raczej pyta się o to, po co posłowie są w takich miejscach.

Uczestnictwo na pierwszej linii zadym ma też dowodzić, jak odważni i bezkompromisowi są posłowie opozycji, szczególnie kobiety. Jak są zdeterminowani w walce o demokrację. Na dłuższą metę jest to obliczone zarówno na korzyść wyborczą ich samych, jak i ugrupowań, które reprezentują. Bo w przyszłości posłowie zadymiarze mają funkcjonować jako żywe świadectwa oporu, jako kombatancki walki o demokrację, gotowi na wszelkie poświęcenia. Dlatego można mówić o planie i wyrachowaniu. Co z tego, że często wiąże się to z łamaniem prawa, skoro jest bezkarne.

Czyżby więc legitymacja poselska miała moc magiczną?

Chyba że poseł wyrazi na to zgodę (pkt 4). Ale (pkt 5) „poseł nie może być zatrzymany lub aresztowany bez zgody Sejmu, z wyjątkiem ujęcia go na gorącym uczynku przestępstwa i jeżeli jego zatrzymanie jest niezbędne do zapewnienia prawidłowego toku postępowania”. Mniej więcej to samo zawiera art. 10 Ustawy o wykonywaniu mandatu posła i senatora. Art. 10b precyzuje tylko (pkt 1), że „przepisy ustawy dotyczące odpowiedzialności karnej posłów lub senatorów stosuje się odpowiednio do odpowiedzialności za wykroczenia”. I (pkt 2) „przyjęcie przez posła lub senatora mandatu karnego albo uiszczenie grzywny, w przypadku ukarania mandatem karnym zaocznym [...] stanowi oświadczenie o wyrażeniu przez niego zgody na pociągnięcie go do odpowiedzialności w tej formie”.

Immunitet parlamentarny ma przede wszystkim chronić przed naciskami ze strony władzy wykonawczej, przed zagrożeniem pozbawienia wolności, które mogłoby być „karą” np. za krytykę przedstawicieli władzy wykonawczej. Ale to wszystko musi mieć związek ze sprawowaniem mandatu, czyli dotyczy głównie tego, co się dzieje na forum parlamentu. Zdobycie mandatu posła nie staje się gwarancją bezkarności.



Julka i Oskarek

ERDAI

Julka się buntuje. Jednak nie wie, że jej frustracja jest cynicznie podgrzewana i wykorzystywana przez ideologicznych fanatyków. Ale gdyby o tym wiedziała, nie byłaby przecież Julką



KONRAD KOŁODZIEJSKI

O Julce zrobiło się głośno pod koniec listopada, gdy zaczęła prowadzić w plebiscycie na Młodzieżowe Słowo Roku 2020, zorganizowanym przez Wydawnictwo Naukowe PWN. Julka to inaczej młoda, niezbyt lotna, aktywistka lewicowa. Według członka kapituły plebiscytu, dziennikarza „Polityki” Bartka Chacińskiego, mianem Julki określa się nastoletnie „turboprogresywistki, liberalalki, feministki, lewicujące fanki K-popu sympatyzujące ze środowiskiem LGBT, walczące z rasizmem i opowiadające się za możliwością wyboru w kwestii aborcji”, a nawet „ojkofobki lub komunistki”.

Julki dały o sobie ostatnio znać przy okazji demonstracji organizowanych w ramach tzw. strajku kobiet. To właśnie tłumy rozkrzyczanych i bluzgających Julek napędzały frekwencję podczas protestów. Nic zatem dziwnego, że Julka otrzymała najwięcej zgłoszeń w organizowanym w tym samym czasie plebiscycie PWN. Jednak rekordowa liczba wskazań wcale nie przyniosła Julce zwycięstwa, ponieważ kapituła odrzuciła oddane na nią głosy. Członkowie jury wyjaśnili, że „w sytuacji, w której »Julki« są bite na ulicach [...], nie wygra słowo wyśmiewające czyjeś poglądy”.

Pomimo wielu protestów i zarzutów o politycznie poprawną cenzurę kapituła pozostała nieugięta i najpopularniejsze słowo tego roku nie zostało uwzględnione w plebiscycie, choć jeszcze kilka lat temu organizatorzy konkursu nie mieli żadnych skrupułów, aby uhonorować całkowicie wydumane słowo „odjaniepawlić” oznaczające tyle, ile „odp...lić

się”. Wtedy jednak nie przejmowano się tym, że może to urażać czyjeś uczucia.

OSKAREK KONTRA SEBIKS

Męskim odpowiednikiem Julki jest Oskarek. To zniewieściał chłopak, skoncentrowany na markowych ciuchach i nienagannym wyglądzie. Jest niedojrzały i wiele wskazuje, że taki pozostanie w dorosłym życiu – „samo-realizujący się” młody egoista, wiecznie utrzymywany przez bogatych rodziców lub sponsorów. Oskarkom, podobnie jak Julkom, także przypisuje się lewicowe poglądy.

Głównym wrogiem Oskarka jest jego karykaturalne przeciwieństwo, czyli Seba (lub Sebiks) – będący odpowiednikiem dawnego dresiarza – agresywny, samolubny prostak, najczęściej z wygolonym karkiem, zgodnie ze stereotypem marzący o sportowej bryce i taśmowej kopulacji z mało wyrafinowanymi dziewczętami (określanymi niekiedy jako Żanety). Taki Sebiks wywodzi się zazwyczaj z niższych warstw, nie toleruje obyczajowych nowinek i gardzi Oskarkami, dlatego w ich oczach uchodzi za odpychającego naziola, czyli – w domyśle – sympatyka prawicy.

W rzeczywistości Sebiks nie jest wcale prawicowy (w każdym razie nie musi taki być), bo oś podziału między nim i Oskarkiem wyznaczają kryteria kulturowe i ekonomiczne, a nie ideologiczne. Co z tego jednak, skoro w oczach zniewieściałego Oskarka i wojowniczej Julki Sebiks wyrasta na archetyp ideowego przeciwnika – męskiego macho niezdolnego intelektualnie do wyjścia poza swój zacofany, patriarchalny świat. Marginalizacja Sebiksa i utożsamianie z nim każdego młodego mężczyzny, który niekoniecznie w karykaturalnej i zwulgaryzowanej formie trwa w swojej tradycyjnie męskiej roli, staje się więc niemalże warunkiem zbawienia ludzkości.

Zarysowany podział jest do pewnego stopnia odzwierciedleniem znacznie szerszego zjawiska. Julki i Oskarki to przecież najczęściej dzieci wielkomiejskich lemingów, z kolei Sebiks i Żaneta prezentują nowe pokolenie wykluczonych kulturowo i ekonomicznie. Wrogość, zawiść i wzajemna pogarda między tymi grupami są więc po części dziedziczne. Nic w tym zresztą nowego: już kiedyś mieliśmy przecież „bananową młodzież”, którą za komuny cynicznie przeciwstawiano dzieciom proletariatu. I dziś dzieje się podobnie, z tą tylko różnicą, że dziś stygmatyzuje się nie „bananową młodzież” (czyli Julki i Oskarków), lecz „proletariackich synów” (czyli Sebiksów).

ŚWIAT Z TIKTOKA

Między tymi skrajnościami jest jeszcze trzecia, zapewne najszersza kategoria, czyli tzw. normalsi. Jednak wraz z pogłębiającą się radykalizacją niemal całego życia społecznego i – co za tym idzie – kurczeniem się umiarkowanego środka, na młodych normalsów będzie wywierana coraz silniejsza presja ideologiczna.

Zresztą tę presję już widać. I nie potrzeba do tego żadnych szkolnych agitatorów, wystarczy zajrzeć do internetu, do popularnych wśród nastolatków mediów społecznościowych (Facebook w ich opinii jest dla starych dziadów), aby się przekonać, że są nieustannie faszerowani propagandowymi treściami. Nie powinno zatem nikogo dziwić, że nagle pojawia się na demonstracjach proaborcyjnych wysyp nastoletnich Julek plecących androny na każdy temat: od tzw. praw reprodukcyjnych po Donalda Trumpa. Ten ostatni stał się zresztą w oczach sporej części wielkomiejskiej młodzieży symbolem wszelkiego zła na świecie, odpowiedzialnym za rasizm, faszyzm, ocieplenie klimatu i nieetyczną dietę mięsną. Łatwo się

w ten sposób zorientować, że głównym źródłem tych „wiadomości” są amerykańskie serwisy społecznościowe, często zresztą czytane w oryginale, bo znajomość języka angielskiego jest wśród dzisiejszej młodzieży powszechna.

Propagandowe banialuki, serwowane bez końca na Instagramie, Tik-Toku i innych wynalazkach, są potem szeroko udostępniane kolegom i koleżankom z klasy. Młodzież kieruje się odruchami stadnymi, kto więc odstaje od stada i nie ekscytuje się rozpowszechnianymi bzdurami, ten bywa – niekiedy bardzo brutalnie – wyśmiewany i stygmatyzowany. Trzeba naprawdę mieć silną wolę i charakter, aby w obliczu tak masowego ogłupiania zachować zdrowy dystans.

IDEALNI KONSUMENTY

Wielkowiejska Julka jest – jak napisał w przytoczonej definicji Bartek Chaciński – „lewicującą fanką K-popu”. Warto się przy tym na chwilę zatrzymać, bo fascynacja koreańską muzyką pop, będącą sztucznym produktem marketingowym, ilustruje znacznie szersze zjawisko.

Koreańskie zespoły, głównie boysbandy składające się ze zniechęcanych chłopaków, są masowo „produkowane” przez tamtejsze firmy muzyczne. Światowa popularność tego produktu (bo trudno to nazwać sztuką), w tym także w Polsce, może być zaskakująca dla starszego pokolenia, przyzwyczajonego raczej – zwłaszcza w inteligenckich kręgach – do samodzielnego wyszukiwania wartościowej muzyki i jej późniejszego przeżywania.

Tymczasem sporo młodych ludzi nie ma dzisiaj takich odruchów. Wychowani w skomercjalizowanej rzeczywistości, najchętniej łapią to, co im zareklamują i podsuną inni. Są konsumentem idealnym, bo podatnym na manipulację. Jeżeli nie ma nikogo, kto mógłby nauczyć ich odróżniania rzeczy wartościowych od bezwartościowych, dobrych od złych, prawdziwych od fałszywych – czyli, inaczej mówiąc, kogoś, kto wpoi im kulturę i wiedzę – będą chwycić bezwiednie każdą błyskotkę

i każdą brednię. Niezależnie od tego, czy będzie to K-pop, walka o prawa jednostek, czy swoboda wyboru własnej płci.

Kiedyś młodych ludzi stopniowo wprowadzano w dorosłe życie, starano się ich chronić przed światem zewnętrznym (może to dlatego niektórym z nas wychowanym jeszcze w PRL tamta epoka wydaje się znacznie mniej ponura, niż była w rzeczywistości). Dziś

Julki i Oskarki to najczęściej dzieci wielkowiejskich lemingów, z kolei Sebiks i Żaneta reprezentują nowe pokolenie wykluczonych kulturowo i ekonomicznie. Wrogość, zawiść i wzajemna pogarda między tymi grupami są więc po części dziedziczne

jest przeciwnie, młodzi są brutalnie wchłaniani przez świat, a ich emocje są bardzo wcześnie poddawane ciężkim próbom. Tydzień temu pisałem, że wielu młodych ludzi, wychowywanych w kulcie kariery i pieniądza oraz zaganianych, często wbrew swojej woli, do wyścigu szczurów, nie jest w stanie zaspokoić swoich roszczeń i buntuje się przeciwko rzeczywistości, której nie potrafi stawić czoła. Łatwo więc wykorzystać ten bunt, zwłaszcza że radykalna lewica proponuje młodym wywrócenie zastanego świata do góry nogami.

ZAMIANA RÓL

Radykalowie mają ułatwione zadanie, bo instytucje, na których wcześniej opierało się wychowanie młodzieży, znalazły się w kryzysie. Szkoła ogranicza się do egzekwowania coraz bardziej szczegółowego programu nauczania i wyścigu o zdobycie wysokiej

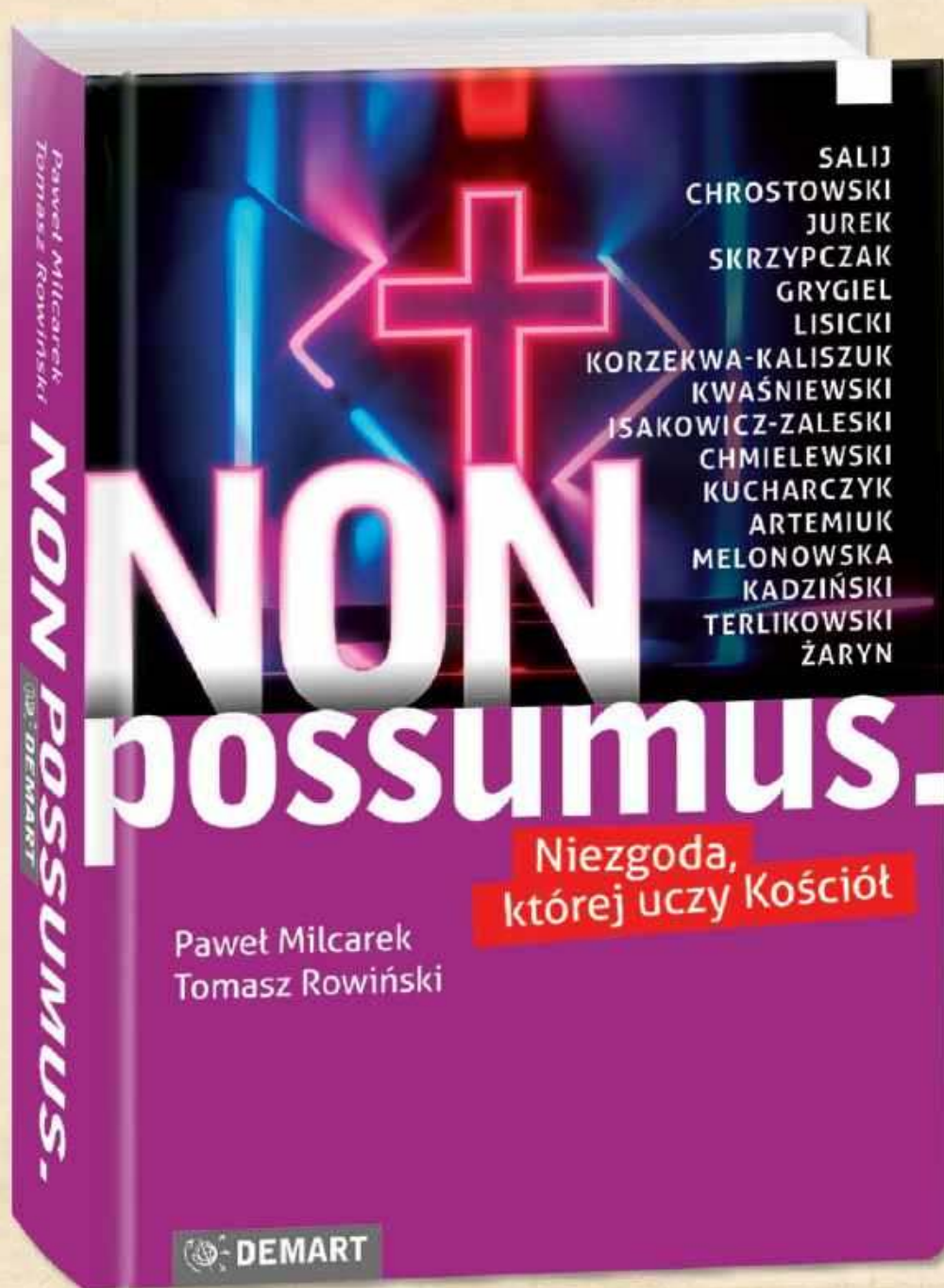
noty w rankingach zdawalności testów przez uczniów. Jest to zresztą zgodne z oczekiwaniami wielu rodziców, widzących szczęśliwą przyszłość swoich dzieci wyłącznie przez pryzmat kariery zawodowej i sukcesu finansowego, a to – jak wiadomo – przynajmniej w Polsce szerokich kompetencji kulturowych nie wymaga. Kościół, sam przeżywający poważne problemy, również nie jest dziś zdolny do walki o dusze mocno zsekularyzowanej młodzieży.

Pozostaje więc rodzina. Ale i ona pogrąży się w zapaści, nie tylko z powodu przemian cywilizacyjnych, lecz także wskutek złych warunków ekonomicznych. W rezultacie młodzi są zagubieni, często zdani na samych siebie, na rówieśników lub rozmaitych obłudnych sprzymierzeńców i fałszywych nauczycieli.

Poczucie bezpieczeństwa młodych ludzi osłabia też kwestionowanie obiektywnych kryteriów oceny rzeczywistości. Weźmy choćby kwestię tożsamości płciowej. Dawny świat wymagał od dziewcząt, aby dobrze się uczyły i dobrze się prowadziły (bo nie znajdą atrakcyjnego męża). Dzisiaj Julka – pozornie wolna od tych wymagań – musi stawić czoła znac-

nie większym wyzwaniom. Musi być jak mężczyzna: nie tylko świetnie się uczyć i znaleźć najlepszą pracę (bo przecież przed nią kariera, pieniądze itd.), ale jednocześnie realizować się jako kobieta i matka – niekoniecznie w stałym związku z mężczyzną. Kobieta ma być przecież niezależna i samowystarczalna. Być może hasła feministycznej lewicy brzmią fajnie, tylko czy naprawdę każda kobieta potrafi i chce to wszystko udźwignąć w pojedynkę? Zwłaszcza że na mężczyzn coraz trudniej liczyć. Oskarek – w przeciwieństwie do Julki – ulega stopniowej feminizacji. Jest skupiony wyłącznie na sobie, nie interesuje go rodzina i nie umie być oparciem dla kobiety, przeciwnie – sam go wymaga. Kobieta pozostaje więc sama.

Nic więc dziwnego, że Julka się buntuje. Jednak nie wie, że jej frustracja jest cynicznie podgrzewana i wykorzystywana przeciwko niej. Ale gdyby o tym wiedziała, nie byłaby przecież Julką. 



W **Non possumus** pokazujemy gdzie znajdują się punkty koniecznego oporu wobec chorób jakie rozmożyły się w społecznym ciele kościelnym. Szukamy określenia postaw, których ćwiczenie powinno być jedną z ważnych sprawności każdego katolika, a mianowicie zdrowej niezgody i posłuszeństwa. W czasie kryzysu to zasadnicza kwestia: komu i czemu winniśmy podległość i uległość, a wobec czego i kogo jesteśmy wręcz zobowiązani do sprzeciwu i niezgody. Chodzi o zdolność do wierności katolickim zasadom zarówno wobec presji światowej jak i presji wewnątrzkościelnej. (Od Autorów)

www.demart.com.pl



Nie ma czasu do stracenia

Ostatnio w Polsce duże zainteresowanie budzi odkrycie Włodzimierza Bodnara, pulmonologa i pediatry z Przemyśla. Lekarz jest przekonany, że chlorowoderek amantadyny leczy COVID-19. O to, skąd takie przekonanie i jakie są naukowe dowody na działanie amantadyny przy leczeniu koronawirusa, **dr. Włodzimierz Bodnara** pyta Dorota Łosiewicz

Skąd pana przekonanie, że chlorowoderek amantadyny leczy?

Włodzimierz Bodnara: Z praktyki lekarskiej. Mamy skuteczny lek, który leczy w 100 proc. Przez 30 lat leczę grypę amantadyną, 2 x 100 mg przez cztery-sześć dni, i nigdy mi się nie zdarzyło, żeby nie zadziałała. Ponieważ w przypadku COVID-19 organizm wytwarza przeciwciała, podobnie jak w przypadku grypy (choć ten wirus to nie grypa), postanowiłem spróbować zastosować ten lek, nie mając innego wyboru. Moje przypuszczenia się potwierdziły. Bezpośrednio chlorowodorkiem amantadyny wyleczyłem blisko 500 osób, pośrednio w sumie prawie 2 tys.

Co to znaczy pośrednio?

Konsultuję lekarzy, którzy także zapisują amantadynę.

I jakie są pana obserwacje?

Blisko 90 proc. pacjentów bardzo dobrze toleruje lek, u ok. 6 proc. występują przejściowe objawy gorszej tolerancji, wymagającej korekcji dawkowania lub wprowadzenia leków dodatkowych, w przypadku ok. 2 proc. pacjentów występują objawy niepożądane (np. wczesna arytmia). Wówczas lek jest odstawiany. Amantadyna szybko się wypłukuje i następuje normalizacja, bez przykrych następstw. To nie jest trucizna, jak donosi wiele osób. Około 2 proc. osób ma bezwzględne przeciwwskazania. W przypadku tolerancji amantadyny zawsze jest efekt terapeutyczny. Nie było ani jednego przypadku, żeby amantadyna nie zadziałała na wirusa.



Jakie dawki pan stosuje?

Początkowo stosowałem dawkowanie jak przy grypie, ale zobaczyłem, że dynamika wirusa jest mocniejsza niż przy grypie, mocniejsze i znacznie silniejsze są powikłania, jednocześnie sam zachorowałem na COVID-19, więc na sobie przetestowałem większe i szybsze dawki leku. Im szybciej lek zadziała, tym lepiej. COVID-19 niszczy płuca, ale daje także wielonarządowe powikłania, dlatego im szybciej podamy lek, tym lepiej.

O ile dobrze rozumiem: przeprowadził pan eksperyment sam na sobie?

Trudno nazwać to eksperymentem. Ja po prostu leczę i dopasowałem dawki do potrzeb. Lecząc, mogę wykorzystać wszelkie środki, które mogą uratować zdrowie i życie. Na sobie się uczyłem skutecznie leczyć tym lekiem.

Problem polega jednak na tym, że amantadyny nie ma w schemacie leczenia COVID-19.

Nie śledziłem wszystkich schematów leczenia COVID-19. Nie wiem, czy jest tam przeciwbólowa pyralgina lub witamina C. Czy możemy podawać tylko tych kilka leków, które są w schemacie, czy może witaminę C także? Ktoś może także powiedzieć, że witaminę C podaje się niezgodnie ze schematem, bo np. w większych dawkach.

Nie tylko pan zauważył, że amantadyna zwalcza koronawirusa. Są także profesorowie Konrad Rejdak czy Cezary Pakulski. Schody zaczynają się jednak w miejscu, w którym słyszymy, że w farmacji nie wystarczą same przekonania poparte nawet listą wyleczonych pacjentów. Trzeba badań naukowych i dowodu. W takim badaniu części chorych podaje się placebo. Czytałam, że to

budzi pana opór, nie chce pan brać bowiem odpowiedzialności za nieleczenie pacjentów.

To po pierwsze. Po drugie, nie jestem klinicystą. Nie mam zaplecza naukowego. Prof. Pakulski przedstawił prosty schemat, dzięki któremu można w dość krótkim czasie lek przebadać. Nie widzę powodu, dla którego takie badanie nie mogłoby się odbyć. Nie powinno być żadnych przeszkód dla takiego badania. Jednak cały polski świat naukowy, wszyscy eksperci zgromadzeni wokół rządu mówią temu badaniu „nie, bo nie”. Prof. Rejdak także starał się o grant i nic. Przecież to wcale nie muszę być ja. Niech ktoś inny przeprowadzi badanie, ja chcę tylko leczyć. Ale – jak widać – nie ma na to zgody. To czego brakuje, to dobra wola, bo środki potrzebne na badania są niewielkie.

Ale dlaczego tej dobrej woli brakuje, przecież to stosunkowo tani lek.

To już nie do mnie pytanie, tylko do decydentów. Ja mogę powiedzieć, że po zastosowaniu tego leku wirus przestaje się rozwijać.

Zna pan dokładny mechanizm działania leku?

Nie. Mogę tylko podejrzewać i spekulować. Dyskutowałem o tym z naukowcami. Może w tej sprawie będzie niebawem naukowa publikacja.

No właśnie, są profesorowie, którzy wzywają pana do publikacji wyników badań, mówią: „Publikuj albo giń”.

Przygotowuję publikację z naukowcami z Meksyku i Hiszpanii na podstawie wiedzy, którą teraz posiadamy. Mamy też grupę naukową w Polsce. Przygotowanie takiej publikacji trwa. Ale brak dobrej woli w Polsce podcina nam skrzydła. Od marca pukam do wszystkich możliwych instytucji państwowych z informacją o tym leku, ale nikt nie chce potraktować mnie poważnie. Nie ma w Polsce chyba takiej instytucji, której nie poinformowałbym, że podejmuję skuteczne leczenie amantadyną. Jednak powtórzę: nie jestem klinicystą, nie poradzę sobie z napisaniem wniosku do komisji bioetycznej, jestem zwykłym lekarzem, który chce leczyć ludzi. I robię to skutecznie.

Prof. Robert Flisiak, prezes Polskiego Towarzystwa Epidemiologów i Lekarzy Chorób Zakaźnych, twierdzi, że nie ma żadnych przesłanek potwierdzających, że amantadyna leczy COVID-19.

Trzeba zapytać prof. Flisiaka, dlaczego tak twierdzi, bo ja mam przesłanki, by twierdzić inaczej. Warto też go zapytać, czy wie, dlaczego w 2009 r. amantadyna została wycofana ze schematu leczenia grypy? Jakie wówczas badania przeprowadzono?

Wskutek tego co pan mówi o tym leku, chlorowoderek amantadyny znika z aptek, z hurtowni. Ludzie zaczynają go kupować na własną rękę. Ktoś może sobie zaszkodzić.

Wielokrotnie apelowałem, by nie leczyć się na własną rękę. Niektórzy próbują to robić. Jeszcze raz podkreślę: nie jest żadnym problemem wyleczyć COVID-19, gorzej gdy zaczynają się powikłania, np. zapalenie płuc, tego nie można w żadnym razie leczyć na własną rękę. Amantadyna nie leczy powikłań. Tuż przed śmiercią nie zadziałała, bo działa na wirusa, a nie na powikłania.

W jakim stadium choroby, według pana obserwacji, chlorowoderek amantadyny działa najskuteczniej?

Chlorowoderek amantadyny działający bezpośrednio na wirusa sprawdza się doskonale w pierwszym etapie choroby, gdzie nie jest wymagany nawet antybiotyk. Co najwyżej leki przeciwbólowe czy przeciwgorączkowe. Choroba cofa się bez jakichkolwiek następstw w ciągu trzech-czterech dni. Bardzo dobrze też działa nawet na etapie rozległego zapalenia płuc. Wówczas wymaga bardzo intensywnego leczenia objawowego, czyli antybiotyków domięśniowych lub dożylnych oraz heparyny drobnocząsteczkowej i innych leków.

Niektórzy lekarze uważają, że stosując amantadynę, działa pan na granicy prawa.

To nie jest prawda i potwierdziło to Ministerstwo Zdrowia, które 26 listopada br. wydało stanowisko, że produkty lecznicze mogą być ordynowane przez lekarza poza wskazaniami rejestracyjnymi.

Ale już 30 listopada w obwieszczeniu MZ pojawił się nakaz ordynowania chlorowodoru amantadyny wyłącznie w przypadku choroby i zespołu Parkinsona oraz w leczeniu dyskinezy późnej u osób dorosłych. Jak pan ocenia rozbieżność stanowisk?

Poinformowałem wszystkich swoich pacjentów i opinię publiczną, że w związku z takim stanowiskiem resortu zdrowia od dzisiaj nie będę leczyć amantadyną nowych pacjentów chorych na COVID-19. Nie będę także konsultować w żaden sposób osób z Polski. Poprosiłem, by nie dzwonić i nie pisać wiadomości, nie będę na nie odpowiadać. Powrócę do leczenia amantadyną wtedy, gdy Ministerstwo Zdrowia zmieni stanowisko w tej sprawie. Wstrzymałem leczenie amantadyną, ponieważ pacjenci stracili równy dostęp do leku. Każdy powinien mieć dostęp do leku, który jest skuteczny. Obecnie znaczna część moich pacjentów nie będzie miała możliwości skorzystania z terapii amantadyną. Tą decyzją odebrano szansę na uratowanie zdrowia i życia wielu chorym. Zasady etyki nie pozwalają mi na nierówne traktowanie pacjentów. Prosiłem o zabezpieczenie większej ilości leku już miesiąc temu (9 listopada). Ten apel trafił wówczas do resortu zdrowia i pozostał bez odzewu. Również wcześniej informowałem, że w przypadku braku dostępu do leku nie będę kontynuować leczenia.

Czyli do leczenia wróci pan wtedy, gdy ktoś przeprowadzi eksperyment naukowy w tej sprawie i koło się zamknie?

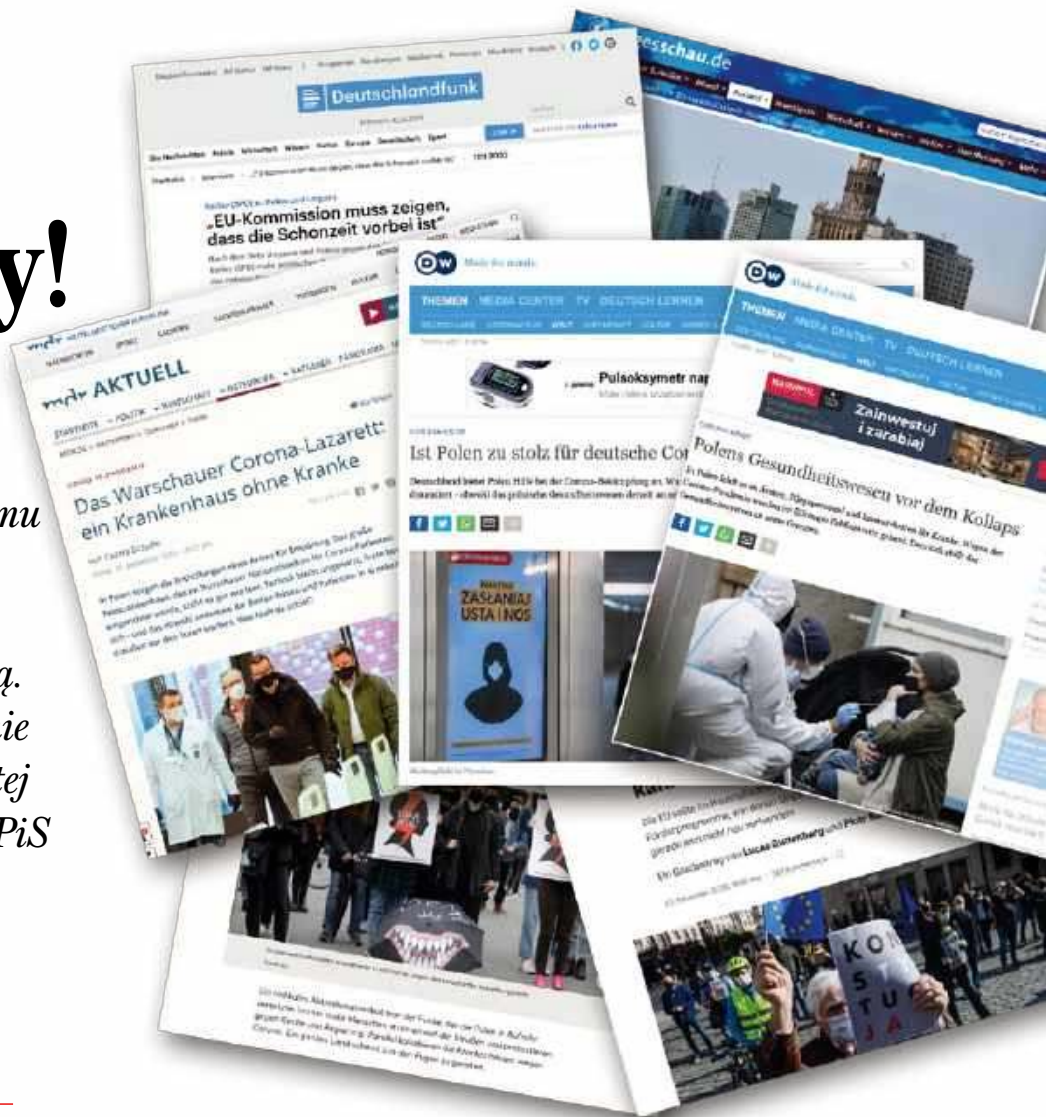
Mogę tylko potwierdzić apel, który opublikowałem na stronie przychodni w Przemyślu, czyli, że wzywam wszystkich profesorów i osoby odpowiedzialne w Polsce za leczenie COVID-19 (w tym Ministerstwo Zdrowia) do przeprowadzenia badania skuteczności amantadyny. Wystarczą zaledwie dwa tygodnie, by wprowadzić leczenie amantadyną w Polsce. Z mojej perspektywy leczenie jest skuteczne, tanie, a lek jest już przebadany i znany od dekad.

Ach, ci Polacy!

*Niemieckie media
krytykują Polskę za
weto wobec mechanizmu
praworządności
oraz działania
związane z pandemią.
Cel: stworzyć wrażenie
izolacji oraz całkowitej
niekompetencji rządu PiS*



ALEKSANDRA RYBIŃSKA



Grudzień pełen atrakcji

z tygodnikiem **SIECI**

8.12 WTOREK	9.12 ŚRODA	10.12 CZWARTEK	11.12 PIĄTEK	12.12 SOBOTA	13.12 NIEDZIELA	14.12 PONIEDZIAŁEK	15.12 WTOREK	16.12 ŚRODA	17.12 CZWARTEK
Zamówić prenumeratę SIECI na prezent!	2 tygodnie do świąt!	SIECI + HISTORIA + wPolityce.pl Zamówić e-prenumeratę – tylko 89,99 zł za rok! www.SiecPrzyjaciol.pl	Zrobić listę prezentów	Zrobić świąteczne porządki	Rodzinne lukrowanie pierniczków	Kupić świąteczne wydanie SIECI w kiosku Świąteczna kuchnia płyta tylko dla prenumeratorów	Kupić prezenty	1 tydzień do świąt!	Kupić SIECI HISTORIA w kiosku
tel. 22 616 36 00									

Komisja Europejska musi pokazać, że czas ochronny się skończył. Ta sytuacja na Węgrzech trwa już od 10 lat. Od 2010 r. rządzi tam Fidesz z Viktorom Orbánem na czele. W Polsce trwa to od pięciu lat. Szczególnie Komisja Europejska zrobiła tu za mało! Przyglądała się temu beczynnie. To jest sygnał, że te czasy się skończyły, bo to jest choroba zakaźna. Widzimy to w innych krajach, w Bułgarii, Słowenii, na Słowacji, także w Czechach, gdzie rządzi liberal, że wkładło się przekonanie, iż możemy łamać reguły i nie ma to konsekwencji. Teraz nadszedł czas, gdy to się skończy. A konsekwencje będą i będą one finansowe. O to właśnie chodzi. Musimy to przeforsować – tak wiceprzewodnicząca Parlamentu Europejskiego, polityk niemieckiej SPD, Katarina Barley zareagowała w wywiadzie z niemiecką rozgłośnią publiczną Deutschlandfunk na zapowiedź polskiego i węgierskiego weta wobec nowych ram finansowych UE na lata 2021–2027 oraz funduszu odbudowy dla państw dotkniętych pandemią COVID-19.

Nie powinno to nikogo dziwić. W toku dyskusji nad stworzeniem tzw. mechanizmu praworządności pani Barley przekonywała, że trzeba Węgry „wygłodzić finansowo”, a w kwietniu wezwała Komisję Europejską do podjęcia kroków prawnych przeciwko państwom członkowskim Unii, takim jak Polska i Węgry, które „pod pretekstem zwalczania pandemii ograniczają demokrację i rządy prawa”. Wiceszefowa PE jest wojowniczką na rzecz „jedynej słusznej linii”, która jej zdaniem „została jasno zdefiniowana przez Unię Europejską”. Koniec więc z gadaniem „o różnych systemach, kulturze i tradycji politycznej”. A weto to szantaż, który nie przejdzie, bo Polska i Węgry

potrzebują pieniędzy z UE. „Problem z Węgrami i Polską czy tamtejszymi rządami polega na tym, że chcą wyrzucić porządek w Unii do góry nogami. Chcą egzekwować te swoje tzw. nieliberalne demokracje” – wyjaśniła Barley. Ale UE im na to nie pozwoli. Koniec, basta!

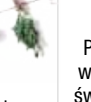
SZANTAŻ, IZOLACJA, ZBĘDNI KLIENCI

Podobnie do wiceszefowej PE na zapowiedź weta Polski i Węgier zareagowała większość niemieckich mediów. Tygodnik „Die Zeit” posunął się do Warszawy i Budapesztu nazwał „szantażem” szkodliwym dla UE oraz dla nich samych. „Unia Europejska powinna zachować spokój i nie dać się szantażować. Posiada ona w końcu instrumenty, by temu przeciwdziałać” – czytamy. Jednym z tych instrumentów jest wstrzymanie zgody na pojedyncze programy wydatkowe. Albo cały pakiet budżetowy, albo nic. „W ten sposób zostałby wysłany sygnał do wewnętrznej debaty w tych krajach, że działania ich rządów mają konkretne gospodarcze konsekwencje” – przekonują autorzy Piotr Buras i Lucas Guttenberg. A Barbara Wesel pisze na portalu Deutsche Welle, że zachowanie Warszawy i Budapesztu jest „oburzające”, polski rząd „bredzi”, gdy mówi o „zniewoleniu przez UE”, mechanizm praworządności powinien obowiązywać od dawna, a Polska i Węgry biorą pozostałe 25 krajów Unii jako zakładników. „Kto ma takich partnerów, ten nie potrzebuje wrogów. To, czego najbardziej potrzebowałyby teraz Unia Europejska, to klauzula, jak się takich klientów pozbyć” – czytamy na Deutsche Welle.

Polska w roli „klienta” bogatszych państw UE, wisząca na unijnej kropłownicy, ciągnie się zresztą niczym czerwona nić przez komentarze w nie-

mieckiej prasie. Na stronach internetowych telewizji publicznej ARD czytamy w komentarzu warszawskiego korespondenta Jana Pallokata, że „ponad 120 mld euro popłynęło od upadku komunizmu nad Wisłę”. Skok cywilizacyjny dokonany dzięki hojności partnerów z UE, przekonuje Pallokata, jest widoczny wszędzie w Polsce – są to drogi, mosty, place zabaw. „To paradoks” – czytamy, że kraj, który marzy o „doświadczeniu bogatego Zachodu”, jest gotów zakręcić sobie kurek z pieniędzmi. „Może to kosztować Polskę spadek PKB w wysokości 1 do 2 proc.” – uważa Pallokata. Telewizja nt-v przekonuje na swoich stronach internetowych w podobnym duchu, by „szantażystom nie dać ani grosza”, że powinni oni wylecieć z kretelem z Unii, a skoro się nie da tego zrobić, to „trzeba dokonać podziału pieniędzy tak, aby one nic nie dostały”. „Jest to trudne, ale możliwe” – przekonuje autor komentarza Carsten Mierke. „Uleganie szantażystom, aby uniknąć zwłoki w sprawie budżetu, nie jest żadną opcją. W ten sposób UE pożegnałaby się z ambicją, by być wspólnotą wartości. Jednocześnie byłaby to beczelność wobec podatników tych państw, z których pochodzi większość funduszy, np. Niemiec czy Holandii” – uważa także monachijski dziennik „Sueddeutsche Zeitung”. Zdaniem autora tekstu Bjoerna Finke Polska i Węgry w końcu i tak skapitulują.

Z kolei Thomas Gutschker we „Frankfurter Allgemeine Zeitung” oburza się, że Polska i Węgry dbają o swoje interesy. „W minionych latach udowodniły, iż bezwzględnie forsują swoje interesy, nie dbając o poważanie” – napisał. Przy czym także on namawia, aby państwa popierające mechanizm powiązania budżetu Unii z praworządnością trzymały się swojego stanowiska. „Dla państw UE oznacza to, że muszą

18.12 PIĄTEK	19.12 SOBOTA	20.12 NIEDZIELA	21.12 PONIEDZIAŁEK	22.12 WTÓREK	23.12 ŚRODA	24.12 CZWARTEK	25.12 PIĄTEK	26.12 SOBOTA	27.12 NIEDZIELA	28.12 PONIEDZIAŁEK
   Zamówić e-prenumeratę – tylko 89,99 zł za rok!	 Ubrać choinkę	Założyć konto na  W poniedziałek do pobrania bezpłatne świąteczne e-wydanie 	Wejść na  i pobrać bezpłatne świąteczne e-wydanie 	 Ostatnie świąteczne zakupy	Przygotowania do wigilii 	 Wigilia Bożego Narodzenia	 Boże Narodzenie	 Boże Narodzenie	Poczytać w spokoju świąteczne  i e-wydanie 	Kupić noworoczne wydanie  w kiosku

Wydanie świąteczne przez dwa tygodnie w kiosku

pozostać konsekwentnie na swoim kursie. Wynegocjowany kompromis w sprawie praworządności jest słuszny. Utrzymanie go jest ważniejsze niż szybkie wypłaty środków. Węgry i Polska mogą wyjaśnić swoje zastrzeżenia przed Trybunałem Sprawiedliwości UE – po to on jest. Jeśli szykują się na wielki konflikt, to Bruksela musi znaleźć sposób, by inaczej pomóc potrzebującym państwom. Jest jednak bardziej prawdopodobne, że Budapesztowi i Warszawie zabraknie powietrza” – stwierdził. Polska i Węgry są zupełnie same w sporze z Unią, pod presją z wszystkich stron. Ugna się, bo potrzebują pieniędzy, nie może być inaczej. Inaczej obywatele im pokażą, co o nich sądzą. A o to w tym całym mechanizmie praworządności przecież chodzi.

NIEDZIĘCZNA POLSKA

Spór o praworządność był nawet przedmiotem programu satyrycznego „Heute-show” telewizji publicznej ZDF. Artystka kabaretowa Carolin Kebekus denerwowała się z powodu weta Węgier i Polski w sprawie budżetu UE. Nazwała Orbána „węgierskim gulaszem z uszami” i zasugerowała, że wszystkie kraje Unii oprócz Węgier i Polski powinny opuścić UE i założyć następnie EUODBUUP. To niemiecki skrót od słów „Unia Europejska bez skutniętych Węgrów i Polaków”.

Węgry zresztą w tym sporze o mechanizm praworządności obrywają w niemieckich mediach o wiele bardziej niż Polska. Tyle że niemiecka prasa znalazła kolejny powód, by uderzyć w niepopularny rząd PiS. Jest to pandemia. Można powiedzieć, że jest to strategia dwutorowa: Polska udaje, że nie potrzebuje środków unijnych, że radzi sobie dobrze z pandemią, tymczasem polski system ochrony zdrowia jest na skraju załamania. Taki straszny los PiS funduje Polakom. Zaczęło się od listu, który prezydent Niemiec Frank-Walter Steinmeier napisał do prezydenta Andrzeja Dudy. Życzył mu w nim zdrowia oraz zaofiarował pomoc w walce z pandemią koronawirusa. Prezydent RP grzecznie odmówił, podziękował za „gest solidarności” i zapewnił, że „również Niemcy mogą

liczyć na Polskę”. Niby nic nadzwyczajnego, jednak stało się to zarzewiem całej serii negatywnych publikacji o Polsce.

Dwie gazety koncernu Axel Springer jako pierwsze postawiły tezę o „bliskim załamaniu polskiego systemu opieki zdrowotnej” – dziennik „Die Welt” oraz brukowiec „Bild”. Warszawski korespondent „Die Welt” Philipp Fritz (to ten od sporu z prezydentem Dudą) już

Polska w roli „klienta” bogatszych państw UE, wisząca na unijnej kropłownicy, ciągnie się niczym czerwona nić przez komentarze w niemieckiej prasie

pod koniec października pisał o wielkim kryzysie politycznym i zdrowotnym nad Wisłą, spowodowanym protestami przeciwko zmianom w prawie aborcyjnym, oraz o „szpitalach załamujących się pod napływem pacjentów zarażonych koronawirusem”. „Wydaje się, że kraj się rozpada” – czytamy na łamach gazety. Liczba infekcji jest o wiele wyższa, niż podaje polski rząd, bo testów przeprowadza się mało, system zdrowia mimo tego jest już u granic wytrzymałości. Strach pomyśleć, co będzie dalej. Kraj popada w poważny kryzys państwowy. Izolacja na zewnątrz, w Unii Europejskiej, zgnilizna wewnątrz, zaufanie Polaków do państwa prawa w Polsce jest na „tak niskim poziomie jak nigdy wcześniej”. Mimo tego Niemcy wyciągają do Polski pomocną rękę, ale Polska ją odrzuciła, bo „jest zbyt dumna”, jak pisze Magdalena Gwóźdź-Palokat na portalu Deutsche Welle, i zastanawia się, dokąd „te wszystkie karetki zawożą pacjentów, w końcu polskie szpitale są „zupełnie przepełnione, brakuje respiratorów”. Według niej Czesi i Francuzi są mądrzejsi i przyjęli niemiecką pomoc, czyli wysłali tam swoich pacjentów. A polski rząd w swojej dumie woli skazywać

obywateli na śmierć. Straszny ten rząd PiS: szantażuje Unię, skazuje państwa południa Europy na brak tak potrzebnych pieniędzy z funduszu odbudowy i jeszcze zostawia własnych obywateli na pastwę losu. Z takim rządem się nie współpracuje, to nie jest rząd normalny. Mechanizm praworządności jest więc całkowicie uzasadniony, na nic innego władze w Warszawie nie zasługują.

POTIOMKINOWSKA WIOSKA

W tym duchu utrzymany jest także artykuł w „Sueddeutsche Zeitung” sugerujący, że polski rząd ukrywa rzeczywisty wymiar pandemii, a Polska jest „hot spotem COVID-19 w Europie”, oraz równie pogardliwy tekst na portalu niemieckiej telewizji publicznej MDR o Szpitalu Narodowym, który ma być „potiomkinowską wioską” stworzoną wyłącznie „w celach propagandowych”. Ambasador RP w Berlinie prof. Andrzej Przyłębski usiłował prosto-

wać część tych kłamstw, pisząc m.in. list do redaktora naczelnego „Bild’a”, gdzie ukazał się artykuł o niewdzięcznym polskim rządzie, podparty wypowiedziami polityków opozycji, przekonujących, że to od Niemców właśnie Polska powinna się uczyć, jak skutecznie walczyć z pandemią. Oraz pretensjami, że posłanka PiS Joanna Lichocka odważyła się wspomnieć o tym, iż wielu polskich lekarzy od razu po studiach wyjechało do Niemiec, a więc brakuje ich w Polsce.

Wydźwięk tych wszystkich doniesień jest jasny: jeśli Polska jako tako radzi sobie z pandemią, to dlatego, że rząd kłamie, zaniża sztucznie liczbę infekcji. I nie chce, jak pisała pod koniec października Monika Sieradzka na łamach Deutsche Welle, zadzwonić do pani kanclerz i „poprosić o pomoc”. Niemcy radzą sobie w końcu znakomicie z pandemią, a uczyć się od Niemców, to uczyć się zwyciężać, czy jakoś tak, parafrazując stare enerdownskie hasło. Najwyraźniej Niemcy na dobre utknęły w schemacie nauczyciel–uczeń, Berlin oczywiście w roli nauczyciela, który grozi, strofuje, wychowuje niesforne dziecko. A czasem, jak w Warszawie rządzi ci, co trzeba, nawet pochwali. 

Ten wybór wciąż stoi przed Polakami

Nareszcie! Opozycja zdobyła się na odrobinę szczerości i przyznała, że walczy nie tyle z polityką obecnych władz polskich, ile z nauką św. Jana Pawła II, jednej z najwybitniejszych osobistości w historii świata.

Przynajmniej teraz wszystko jest jasne

W istocie nauka polskiego papieża nie tylko nie daje się pogodzić z poglądami opozycji w tym kraju, lecz jest na ich antypodach. Obecna opozycja neoliberalów, dbających przede wszystkim o własną kieszeń, i pseudosocjalistów, wywodzących się z innej epoki, nie ma nic wspólnego z Solidarnością Sierpnia '80 – wywodzi się ona w prostej linii z układu „okrągłego stołu”. Oni nawet nie rozumieli i nie rozumieją, ile znaczył wybór polskiego papieża. Pisałem często o tych „trzech członach rakiety ku wolności”: 1978 r. – wybór papieża, rok później jego przyjazd do ojczyzny i w 1980 r. strajki w stoczniach gdańskich i narodzenie Solidarności. Już 20 października 1978 r. pisałem w „Le Figaro” artykuł pod tytułem „Un peuple qui renait à lui-même” (Naród, który się odradza). Po wyborze papieża Polacy odnaleźli swoją dumę; rok później, podczas jego pielgrzymki, stwierdzili z zdumieniem, iż to oni są siłą, a nie PZPR, SB, Kreml czy Układ Warszawski i w następnym roku strajkowali w Gdańsku. Byłem tam wśród tych wspaniałych młodych robotników. Spałem w stoczniach. Godzinami rozmawiałem z nimi. Oni robili rewolucję, ale jak? Na kolanach, modląc się! Bardzo szybko ich postulaty nie dotyczyły już tylko płacy, powrotu Anny Walentynowicz do pracy czy nawet utworzenia wolnych związków zawodowych. Z nauką Jana Pawła II w sercu walczyli o dużo więcej. Chcieli budować, na gruzach komuny, nową cywilizację – cywilizację miłości, cywilizację opartą na szacunku dla godności człowieka pod każdym względem, cywilizację sprawiedliwości społecznej, jak i afirmacji wartości moralnych i duchowych. Walcząc



teraz z tą najpiękniejszą tradycją polską, z postacią i nauką Jana Pawła II, ludzie Koalicji Obywatelskiej i lewicy pokazują – dla tych, którzy jeszcze nie rozumieli – kim oni są: zdrajcami tego, co najbardziej wartościowe w narodzie polskim.

Jak mogli nie walczyć z naszym świętym? Przecież walczą z godnością osoby ludzkiej. Chcą i w Polsce budować istniejącą już na Zachodzie pseudocywilizację merkantylną i zdemoralizowaną, gdzie tylko „elicie” żyje się coraz lepiej, choć bez sensu. Aby to osiągnąć, muszą walczyć z filarami cywilizacji chrześcijańskiej, a więc z Kościołem i z rodziną, dzięki którym Polska przetrwała 123 lat niewoli.

Fot. Andrzej Wiktor

ZDRADA IDEAŁÓW SOLIDARNOŚCI I NAUKI JP II

Właściwie zdrada ideałów Sierpnia '80 i nauki JP II zaczęła się dużo wcześniej. W pierwszych latach po odzyskaniu niepodległości. „Liberalna” polityka zaciskania pasa (niektórym) Balcerowicza, wraz z wyprzedząją majątku narodowego, była tego namacalnym dowodem. Czy można się dziwić, że w tym dziele pracowali razem liberałowie i byli komuniści. Bynajmniej. Już Prymas Tysiąclecia, kard. Wyszyński, pisał, że kapitalizm i komunizm są „po tej samej stronie barykady” jako dwa systemy „pogańskie i materialistyczne”. Jan Paweł II twierdził („Centesimus annus”), że nauka społeczna Kościoła nie akceptując zarówno „liberalnego kapitalizmu i marksistowskiego kolektywizmu”, zwalcza „nie tak radykalnie

przeciwstawne wobec siebie rozwiązania”. I bardzo szybko papież Polak widział, gdzie jest zagrożenie. W 1996 r. w Lublanie ostrzegł Słoweńców, aby po uwolnieniu się od ideologii komunistycznej „nie zastąpili jej inną, nie mniej niebezpieczną, ideologią niepohamowanego liberalizmu”, a dwa lata później życzył Kubańczykom, aby zaznali „wolności w odpowiedzialności”, odrzucając „kapitalistyczny neoliberalizm, który podporządkowuje osobę ludzką i rozwój społeczeństw ślepyemu siłom rynku”.

Podczas rozmowy z Ojcem Świętym (25 maja 1999 r.) w jego gabinecie, co pozostaje wzruszającym momentem w moim życiu, mogłem bezpośrednio stwierdzić, jak bardzo papież Polak jest zaniepokojony sytuacją w swoim kraju. Po pytaniach o to, co staram się czynić, i udzieleniu błogosławieństwa „dla mojej działalności” Jan Paweł II zaczął rozmawiać o niepokojących zjawiskach już widocznych w Polsce. Bardzo był tym dotknięty.

W rzeczy samej, kiedy Zjednoczona Prawica doszła do władzy w 2015 r., znalazła Polskę osłabioną i zdemoralizowaną po okresie szeroko zakrojonej korupcji i licznych afer, z częścią wymiaru sprawiedliwości ochraniającej działalność mafii różnych typów, z rodzinami żyjącymi coraz trudniej, kiedy inni zdobywali wszelkimi sposobami szybkie fortuny, z iluzoryczną niepodległością w kraju de facto feudalnym, gdzie 80 proc. banków, mediów i większość przemysłu były w rękach kapitału zagranicznego. Mieliśmy Polskę na antypodach tego, o czym marzył dla niej Jan Paweł II! Nie powinno więc nikogo dziwić to, że ci, którzy przy pomocy urzędników i aparatczyków brukselskich pragną teraz wrócić do tego dla nich „złotego” okresu, walczą też otwarcie z naszym świętym.

Działalność polskiej piątej kolumny, współczesnej targowicy, musi mieć za cel zdradę Polski, zdradę ideałów Sierpnia, zdradę nauki JP II. Nie można było inaczej.

OPOZYCJA NA ANTYPODACH MYŚLI JP II

W tym, co głosi opozycja, nie ma ani jednego punktu stycznego z nauką Jana Pawła II.

Weźmy sprawę globalizacji. I tu liberalny kapitalizm i kolektywizm marksistowski się zgadzają. Dla jednego i dla drugiego regułą jest kosmopolityzm. Nasze koncepcje mają zwyciężyć wszędzie i należy bezwzględnie być posłusznym wobec „centrum”, czy znajduje się ono w Moskwie, czy w Brukseli. I aparatczycy, tu czy tam, mają egzekwować „jedyną słuszną ideologię”. Zupełnie inaczej u naszego świętego. Kościół, owszem, jest powołany do globalizacji, ale nie do globalizacji



li tylko biznesu, globalizacji pieniądza i niesprawiedliwości, lecz przede wszystkim do globalizacji serc, do globalizacji wartości etycznych i duchowych. „Tak – powiedział papież we Wrocławiu 1 czerwca 1997 r. – prawdziwa wolność wymaga ładu. Ale o jaki ład tutaj chodzi? Chodzi przede wszystkim o ład moralny, ład w sferze wartości, ład prawdy i dobra. W sytuacji pustki w dziedzinie wartości, gdy w sferze moralnej panuje chaos i zamęt – wolność umiera, człowiek z wolnego staje się niewolnikiem”. Jak stwierdził Jan Paweł II (Watykan, 27 kwietnia 2001 r.), „globalizacja nie jest a priori dobra czy zła”. Ale jeśli globalizacja nie jest moralna, nie może ona być akceptowana. Więcej, „globalizacja nie może być nową postacią kolonializmu”. Niestety, to właśnie do tego dążą aparatczyści brukselscy i ich klienci piątej kolumny w Polsce, w pełni akceptując feudalizację Polski. Nie uznają piękna patriotyzmu szanującego wartości własnego narodu, który – w odróżnieniu od nacjonalizmu – jest otwarty na innych.

Z jednej strony mamy propagandę śmierci, przerywania życia poczętego, ideologię LGBT i wraz z nią, daleko od normalnego prawa kochania, kogo każda osoba pragnie, parodię małżeństwa, mamy trywialność i wulgaryzm, odrzucenie wszelkich wartości moralnych i duchowych. Z drugiej zaś strony nauka Jana Pawła II jest afirmacją cywilizacji miłości, szacunku dla rodziny, która jest „tą pierwszą i najważniejszą wspólnotą”, godności osoby ludzkiej pod każdym względem – społecznym, ekonomicznym, ale też etycznym i duchowym. Czy można się więc dziwić, że nienawidzą św. Jana Pawła II?

POLSKA A DECYDUJĄCE ZMAGANIE O PRZYSZŁOŚĆ EUROPY

Weźmy wreszcie stosunek do polskości. Nieszczęśni przedstawiciele opozycyjnej targowicy odrzucają polskość, wstydzają się, że są Polakami, wołają się sprzedawać komukolwiek. Jan Paweł II kochał każdego człowieka, ze wszystkich zakątków świata, ale był dumny z tego, że jest Polakiem. Więcej, z jednej strony nie mógł patrzeć na niszczenie ideałów Sierpnia w swojej kochanej ojczyźnie, a z drugiej wciąż liczył na to, że to Polska właśnie będzie przykładem i inspiracją dla odnowy Europy. I wyjaśniał: „Może dlatego mówię, tak jak mówię, ponieważ to jest moja Matka, ta Ojczyzna! To są moi bracia i siostry! I zrozumcie, wy wszyscy, którzy lekkomyślnie podchodzicie do tych spraw, zrozumcie, że te sprawy nie mogą mnie nie obchodzić, nie mogą mnie nie boleć. Was też powinny boleć!” (Kielce, 3 czerwca 1991 r.). A kilka dni później na Zamku Królewskim w Warszawie stawiał sprawy jasno: „Polacy mogą albo wejść po prostu do społeczeństwa konsumpcyjnego, albo też przyczynić się do ponownego odkrycia wielkiej, głębokiej autentycznej tradycji Europy, proponując jej jednocześnie przymierze: wolnego rynku i solidarności”. Wciąż ten wybór stoi przed Polakami. Nasz święty wiedział doskonale, że to dla wielu nie będzie wybór łatwy. W książce „Pamięć i tożsamość” (2005 r.) papież wskazał na największe ryzyko dla Polaków: „Polega ono na bezkrytycznym uleganiu wpływom negatywnych wzorców kulturowych rozpowszechnionych na Zachodzie”, co jest tym bardziej bezsensowne, iż kraje Europy Zachodniej zagubiły

swoją tożsamość, kiedy kraje Europy Środkowo-Wschodniej, a przede wszystkim Polska, ją zachowały i umocniły w walce z komuną. I papież konkluduje: „Myślę, że właśnie z tego punktu widzenia toczy się tutaj jakieś wielkie duchowe zmaganie, od którego zależeć będzie oblicze Europy”.

Nie wątpię, że znowu Polska
– mając wciąż w sercu naukę św. Jana
Pawła II – uratuje Europę. Europę
ducha, Europę wartości, Europę
wierną chrześcijańskim korzeniom

Prorocze słowa! To zmaganie jest teraz. I nie wątpię, że znowu Polska – mając wciąż w sercu naukę św. Jana Pawła II – uratuje Europę. Europę ducha, Europę wartości, Europę wierną chrześcijańskim korzeniom, Europę, o której skądinąd marzyli ojcowie założyciele Unii Europejskiej.

Bernard Margueritte

REKLAMA

**RADIO
warszawa
106,2 FM**

**DOBRE SŁOWO
NA FALI**

**SŁUCHAJ NAS
ONLINE**

www.radiowarszawa.com.pl

44/1120/F

Kiedy 19 listopada br. Charles Michel zwołał telekonferencję Rady Europejskiej, aby wyjaśnić stanowiska co do powiązania budżetu z praworządnością, jedynym przywódcą, który zdecydował się otwarcie wystąpić z poparciem dla Budapesztu i Warszawy, okazał się premier Słowenii Janez Janša (na zdj.)

Niespodziewany sojusznik



JAN ROKITA

Na pozór mogłoby się zdać, że to sojusznik dość niespodziewany, jeśli zważyć na (delikatnie mówiąc) dotychczasową mało podmiotową rolę Słowenii w we-

wnątrznijnej polityce. Z politycznym wyczuciem Janša nie sformułował wprawdzie jakichkolwiek zarzutów wobec projektu niemieckiej prezydencji, uzgodnionego z Parlamentem Europejskim, ale zarówno jego występ, jak i to, co powiedział, nie zostawiało żadnych wątpliwości co do jego intencji. Janša bowiem przekonywał, że cała Europa potrzebuje „sprawiedliwego i zbalansowanego kompromisu” z Polską i Węgrami zamiast prób narzucenia dwóm krajom woli większości. Czyli postulował dokładnie to, czego chcia-

łyby zwłaszcza Polska, nastawiona w tym sporze nie tyle na obalenie tzw. klauzuli praworządności, ile raczej na kompromis, o którym otwarcie mówili Morawiecki i Orbán podczas ostatniej nagłej wizyty węgierskiego premiera w Warszawie. Jednak jeśli bliżej przyjrzeć się słabo znanym w Polsce zawiłościom słoweńskiej polityki, a zwłaszcza politycznej drodze obecnego premiera tego niewielkiego kraju, to okazuje się, że obecny akces Janšy do węgiersko-polskiego sojuszu nie jest wcale aż taką wielką niespodzianką.



Fot. KPV

OPOZYCJONISTA

O Janšy światowe media zaczęły pisać po raz pierwszy na przełomie października i listopada, gdy najpierw na Twitterze życzył Trumpowi zwycięstwa w wyborach, dodając, że gdyby jednak wygrał Biden, to byłoby to dla sojuszników Ameryki rozczarowujące, gdyż „byłby on jednym z najsłabszych prezydentów w historii”. Potem zaś, gdy wynik amerykańskich wyborów wisiał jeszcze na włosku, jako jedyny europejski przywódca pogratulował zwycięstwa... Trumpowi.

W Polsce, co oczywiste, Janša zaczął się stawać politykiem rozpoznawalnym dopiero ostatnio, właśnie na skutek owego „sojuszu”, jaki w dość trudnej dla nich sytuacji zaoferował Orbánowi i Morawieckiemu. Wydaje się jednak, że Polska jest dla Janšy sojusznikiem

– by tak rzec – „wtórnym”, zgodnie z maksymą, iż „aliant mojego alianta jest moim aliantem”. Janša nie od dziś bowiem blisko współpracuje z Orbánem, a węgierski przywódca wyraźnie wywarł także wpływ na ideową ewolucję obecnego słoweńskiego premiera. Lewicowa opozycja w obu krajach twierdzi zresztą, iż owa bliskość polityczna obu mężów stanu ma też swój finansowy aspekt. Orbán bowiem miał pośrednio wesprzeć słoweńskiego kolegę, pomagając mu w paru ważnych dlań przedsięwzięciach gospodarczych, m.in. w założeniu w 2015 r. telewizji Nova24, faktycznie kontrolowanej przez Janšę. O tym finansowym zapleczu powiązań węgierskiego Fideszu i Słoweńskiej Partii Demokratycznej (SDS) wspomina także ekspert polskiego rządowego Ośrodka Studiów Wschodnich Mateusz Seroka.

Jednak 62-letni Janša to (obok wieloletniego byłego prezydenta Milana Kučana) bodaj najważniejsza i najbardziej stabilna figura polityczna na słoweńskiej scenie. Młody aktywista komunistyczny i absolwent jugosłowiańskiej szkoły partyjnej stał się nagle u początku lat 80. XX w. jednym z najbardziej nienawidzonych wrogów ówczesnego reżimu, gdyż rozpoczął publicystyczną wojnę z armią jugosłowiańską. W liberalizującej się wówczas Słowenii mógł przez pewien czas publikować swe krytyki komunistycznych porządków w wojsku w koncesjonowanym piśmie „Mladina”, będącym organem Ligi Młodzieży Socjalistycznej, czyli odpowiednika polskiego ZMS. Wtedy zresztą Janšę, jako odważnego młodego pacyfistę, mieli okazję poznać działacze polskiego Ruchu „Wolność i Pokój”. Ale w 1988 r. armia jugosłowiańska wzięła na nim odwet. Aresztowano go pod zarzutem ujawnienia wojskowych tajemnic i skazano na półtora roku więzienia. Guru dzisiejszej rewolucyjnej lewicy, a podówczas współpracownik Janšy z „Mladiny”, Sławoj Žižek wspomina, że przyczyną uwięzienia młodego pacyfisty była głównie jego próba ubiegania się w wyborach o szefostwo Ligi Młodzieży Socjalistycznej. Tak czy owak Janša wyszedł z kryminału dopiero dwa lata później, prosto, aby objąć urząd... ministra obrony rodzącej się właśnie niepodległej Słowenii. I z marszu wziąć odpowiedzialność za stworzenie strategii walki z armią jugosłowiańską w toku dziesięciodniowej wojny o niepodległość.

Nie dziw zatem, że wkrótce potem Janša współtworzył partię socjalistyczną, a w 1993 r. został jej szefem. To fakt kluczowy w jego politycznej biografii, gdyż od tamtego czasu jest jednym z najdłużej urzędujących w Europie liderów partyjnych, który w międzyczasie „socjalizm” zmienił na „demokrację”, przekształcając swoją partię w dzisiejszą SDS i zyskując w niej pozycję lidera niekwestionowanego i charyzmatycznego. Dwukrotnie był z jej ramienia premierem (w latach 2004–2008 oraz 2012–2013), za każdym razem popychając nieco bardziej partię w stronę prawicy. Na dobrą sprawę był to proces dla SDS naturalny.

KONTESTATOR

W niepodległej Słowenii dominację kulturową, medialną i ekonomiczną zyskała bowiem postkomunistyczna lewica, której symbolem był prezydent Kučan, przyjaciel, a w pewnym sensie polityczna kopia Aleksandra Kwaśniewskiego. Janša przyjął zaś niemal od początku rolę kontestatora owego słoweńskiego „mainstreamu”, a jego opozycyjny życiorys i rola w wojnie o niepodległość dały mu po temu silny mandat. A trzeba pamiętać o tym, że w Słowenii ów spór „czerwonych” z „białymi” ma korzenie nie tylko ideologiczne i kulturowe, ale mocno zakorzeniony jest w XX-wiecznej historii kraju.

„Czerwoni” Kučana to ci, którzy na wysokich górach otaczających Lublanę, ustawiali świecące napisy z nazwiskiem przywódcy komunistycznej Jugosławii Tity, podczas gdy „biali” Janšy w tym samym czasie walczyli w parlamencie o oświectanie zabytkowych katolickich świątyń, tak licznych na wzniesieniach w Alpach Julijskich. Tito, Jugosławia, komunizm to bardzo mocne historyczne linie tego podziału.

Tak więc Janša i jego partia stali się wyrazicielami tej części słoweńskiej opinii, która historycznie nie identyfikuje się z komunistycznym dziedzictwem, politycznie zaś pozostaje niechętna wielkomiejskiej postkomunistycznej elicie, często o nomenklaturowej proveniencji. Nic więc dziwnego, że SDS ma zwolenników przede wszystkim na alpejskiej prowincji, często pośród tamtejszych górali. Jak niemal w całej Europie, stolica kraju należy do liberalnej lewicy, a samo nazwisko Janšy wywołuje tam wrogie emocje, całkiem podobne do tych, które znamy z Warszawy wobec Kaczyńskiego.

W 2013 r. drugi rząd Janšy upadł w wyniku oskarżeń korupcyjnych wobec premiera, których istotą było ukrywanie części majątku w złożonej deklaracji majątkowej oraz łapówka od fińskiego koncernu zbrojeniowego za dostarczenie transporterów dla armii słoweńskiej. Po raz drugi w swoim życiu Janša znalazł się w kryminale, a jego marsz do więzienia Dob z 24 czerwca 2014 r., w asyście

trzech tysięcy zwolenników, był zapewne jednym z bardziej spektakularnych widowisk w słoweńskiej polityce. Skazany najpierw na dwa lata, po zawilej i wieloetapowej procedurze sądowej został w końcu oczyszczony z zarzutów karnych i uwolniony po pół roku odsiadki. I to

Polska jest dla Janšy sojusznikiem – by tak rzec – „wtórnym”, zgodnie z maksymą, iż „aliant mojego alianta jest moim aliantem”

wtedy rozpoczął długi marsz po władzę, którą udało mu się odzyskać dopiero po sześciu latach, w marcu 2020 r.

TRADYCJONALISTA

Co prawda SDS wygrywała wybory zarówno w 2014, jak i 2018 r., jednak to centrolewica potrafiła stworzyć koalicje, których celem było zablokowanie rządów Janšy. Na powrót odzyskał władzę dopiero wtedy, gdy na tle reform i finansowania służby zdrowia skłóciła się sklejona trochę na siłę centrolewicowa koalicja, która wysunęła na premiera aktora i komika Mariana Šarca. Kiedy rozmawiam ostatnio ze znajomymi Słoweniami, należącymi do lublańskiego establishmentu, mówią mi, że dotąd miasto nie może uwierzyć, jak coś takiego mogło się naprawdę wydarzyć. Dla tych środowisk punktem odniesienia jest polityczna sylwetka byłego prezydenta Kučana, szanowanego w świecie członka Klubu Madryckiego i Europejskiej Rady Tolerancji. Tymczasem Janša nieustannie oskarża Kučana, iż przewodzi on „wujkom z tylnego siedzenia”, którzy po cichu próbują rządzić słoweńską polityką, kulturą i gospodarką. To oskarżenie jest przewodnim wątkiem najbardziej znanej książki Janšy „Okopy”, wydanej w 1994 r., a w 2014 r. rozbudowanej o doświadczenia dwóch dekad niepodległości.

Czy sprzymierzona z Orbánem prawica wraca teraz na dłuższą do władzy w Słowenii? Na rzecz takiej tezy może przemawiać to, że Janša zdołał tym razem przeciągnąć do swojego rydwanu kilka mniejszych partii centrum, które tym samym porzuciły współpracę z lewicą. Od tego, jak będzie wyglądać ta nowa polityczna współpraca, zależy będzie w znacznym stopniu to, jak ukształtuje się słoweński obóz władzy po wyborach 2022 r. Ale istotnym czynnikiem działającym na rzecz Janšy może się okazać odczuwalne w Słowenii rozczarowanie niedostatkiem dbałości o narodowe interesy kraju w ciągu poprzednich lat. Słowenicy, nieco podobnie jak Czesi, to naród nie tylko ceniący własną lokalność i swojskość, ale nadto nie bez powodu przekonany, że to, co słoweńskie i wywodzące

się z tamtejszej tradycji, jest dobre, albo i nawet lepsze niż za granicą. To poczucie zostało w poprzednich latach wystawione na próbę, zwłaszcza gdy upadały albo były sprzedawane za granicę słoweńskie firmy, takie choćby jak narodowe linie lotnicze czy cenione od dawien dawna firmy farmaceutyczne. Z dość powszechnym zafrasowaniem Słowenicy przyjmują np. odczuwalny spadek jakości największej sieci handlowej Mercator, którą przejęli Chorwaci, a teraz (jak wieść gminna niesie w Lublanie) ponoć od Chorwatów biorą Rosjanie.

Janša stał się politycznym rzecznikiem owej tęsknoty sporej części Słowenców za tym, co narodowe, tradycyjne i lokalne, nie tylko w gospodarce, ale i w kulturze. Jednak z tego samego powodu jako nacjonalista i „trumpista” jest z ogromną namiętnością odrzucany przez większość tamtejszej stołecznej elity. Specyficznie słoweński, historyczny konflikt „białych” z „czerwonymi” teraz wpisuje się więc w rozdzierający cały świat demokratyczny spór między globalizmem i lokalnością, w którym stawką jest pytanie o wartość narodowego patriotyzmu. Na tym tle dopiero jasno widać, że obecny akces Lublany do przymierza Budapesztu i Warszawy, blokującego wzmacnianie globalnych mechanizmów nadzorczych nad niepodległymi krajami, nie ma bynajmniej li tylko koniunkturalnego wymiaru.

Co nam pozostanie po nauce zdalnej?

Przyspieszony kurs cyfryzacji

Zgodnie z przysłowiem potrzeba jest matką wynalazku, ale rok 2020 przyniósł doświadczenia, które pozwalają dostrzec, że nie tylko wynalazku, ale i nauki, jak z tego wynalazku korzystać.

Obecnie nauczyciele, rodzice i uczniowie przechodzą bowiem przyspieszony, intensywny kurs wykorzystywania najnowszych narzędzi cyfrowych w komunikacji międzyludzkiej

Warto z każdej trudnej i komplikującej życie sytuacji wyciągać jak najwięcej korzyści i doświadczeń na przyszłość. Właśnie w ten sposób warto spojrzeć na szkolną naukę zdalną, której drugi etap przeżywamy.

NIE LUBIMY ZDALNEJ NAUKI

Dzięki pracy badawczej podjętej przez Polskie Towarzystwo Edukacji Medialnej oraz Fundację Dbam o Mój Zasięg przy wsparciu Fundacji Orange wiemy całkiem sporo o wpływie edukacji zdalnej na nauczycieli, uczniów i rodziców. Badanie naukowe „Zdalne nauczanie a adaptacja do warunków społecznych w czasie epidemii koronawirusa” zostało zrealizowane przez ekspertów ww. podmiotów już podczas pierwszej fali pandemii. Ogólne wnioski, jakie płyną z badania, wskazują jasno, że na dłuższą metę edukacja na odległość w znanej nam obecnie formie nie jest systemem pożądanym przez uczniów i rodziców, a zwłaszcza nauczycieli. Jak czytamy w opracowaniu badania: „Uczniowie, rodzice oraz nauczyciele twierdzą, że ich aktualne samopoczucie psychiczne oraz fizyczne jest gorsze w porównaniu z czasem sprzed pandemii. Obniżenie samopoczucia psychicznego oraz fizycznego dotyka przede wszystkim nauczycieli, w drugiej kolejności rodziców. Jedynie 17,2 proc. badanych uczniów twierdzi, że ich zdrowie psychiczne i fizyczne poprawiło się”.

Badanie wykazało, że czas edukacji zdalnej jest trudny nie tylko ze względu na nową formułę prowadzonych zajęć, lecz przede wszystkim z powodu cyfrowego przemęczenia. Wydłużony czas ekranowy, przeładowanie informacjami, jak również izolacja od kolegów i koleżanek mogą obniżać samopoczucie psychiczne i fizyczne badanych osób.

Problemy ze zdalną nauką cyfrową wynikają głównie z dwóch obszarów – braków technicznych oraz kompetencyjnych. Ten pierwszy dotyczy głównie mieszkańców małych ośrodków miejskich oraz ośrodków wiejskich, a także rodzin z większą liczbą dzieci, na co zwracał uwagę prezes dr nauk społecznych Maciej Dębski, prezes Fundacji Dbam o Mój Zasięg, w rozmowie na antenie telewizji wPolsce.pl.



– Oceniając zdalną edukację z perspektywy ośrodka wielkomiejskiego, łatwo przeoczyć problemy, jakie ta sytuacja generuje w miejscach, gdzie nie ma szybkich łączy internetowych, albo w rodzinach tak licznych, że dzieciom brakuje sprzętu elektronicznego. To tam jest najtrudniej wykorzystać potencjał nowych technologii – mówił Maciej Dębski.

KOMPETENCJI NABYWA SIĘ, MAJĄC SPRZĘT

Rzeczywiście, z cytowanego wyżej badania wynika, że prawie co czwarty rodzic i co trzeci nauczyciel musiał zakupić nowy sprzęt oraz dokupić dodatkowy transfer danych internetowych. Blisko 3/4 badanych rodziców i ok. 86 proc. nauczycieli musiało zainstalować dodatkowe oprogramowanie. Jeśli chodzi o nauczanie się obsługi nowych narzędzi komunikacyjnych, takich jak: wideo, chat, grupy dyskusyjne, platforma e-learningowa, musiał to zrobić sam lub nauczyć swoje dziecko co drugi badany rodzic (56,7 proc.) i prawie każdy nauczyciel (87,2 proc.). Na podstawie tych wyników należy wysnuć wniosek, że nowe kompetencje dzięki nauce zdalnej w pandemii zdobędą jedynie te osoby, które mają dostęp do sprzętu i dobrego łącza internetowego. Pandemia uświadomiła nam zatem także i to, że warto przyspieszyć proces cyfryzacji Polski. 

Nowe technologie: tak, ale z umiarem. Orange jako największy operator telefonii komórkowej i technologii szybkiego internetu w Polsce dostarcza sieć do wielu polskich szkół. Warto podkreślić, że Orange Polska stawia na edukację cyfrowych kompetencji, a także na świadome korzystanie z urządzeń cyfrowych. Fundacja Orange prowadzi programy edukacyjne, których celem jest podnoszenie kompetencji cyfrowych dzieci, młodzieży, nauczycieli oraz rodziców. W praktyce oznacza to, że pokazuje nie tylko, jak korzystać z technologii, ale też jak robić to mądrze, bezpiecznie i z zachowaniem zdrowego umiaru.

Jak utrzymać skuteczność NATO

Co zawiera raport dotyczący przyszłości Sojuszu Północnoatlantyckiego w perspektywie roku 2030, opublikowany 1 grudnia? W pracach nad nim brała udział Anna Fotyga, eurodeputowana. – To było chyba najtrudniejsze doświadczenie w moim życiu zawodowym – mówi o pracy grupy ekspertów była minister spraw zagranicznych

Z Anną Fotyga rozmawia Marek Budzisz

Jakie są pani zdaniem podstawowe i najgroźniejsze z polskiej perspektywy podziały w NATO? Czego one dotyczą?

Anna Fotyga: Decyzja o powołaniu Grupy Refleksyjnej była przejawem troski sojuszników o spójność polityczną NATO. Impulsem stało się słynne stwierdzenie prezydenta Macrona o śmierci mózgowej sojuszu. Analiza przeszłości i wnioski na przyszłość, które zostały przedstawione w raporcie, wskazują, że NATO żyje, działa, jest zdolne do adaptacji do niezwykle skomplikowanego środowiska bezpieczeństwa w obszarze euroatlantyckim i poza nim, pomimo występujących rozbieżności. Prezydent Macron odnosił się nieco prowokująco do spraw bieżących. Nasza optyka skierowana jest ku przyszłości. Ponieważ dokument jest jawny, nie skupialiśmy się na wymienianiu konkretnych problemów, ale na stworzeniu mechanizmów ich rozładowywania, budowy zdolności do takiej adaptacji, która pozwoli zachować spójność i utrzymać skuteczność sojuszu. Żeby rzetelnie sprostac postawionemu

przed nami zadaniu, zdecydowaliśmy się zarekomendować zmianę nieaktualnej koncepcji strategicznej. Podkreślam jednak, że NATO było i jest najsukuteczniejszym sojuszem obronnym w historii, zapewniającym bezpieczeństwo ponad miliardowi obywateli 30 państw sojuszniczych.

Ale wydaje się, że już sama konstrukcja raportu i tego, o czym pani słusznie powiedziała, czyli potrzeby przemyślenia i przeformułowania koncepcji strategicznej, wskazuje na pewne różnice perspektyw sojuszników. Z jednej strony piszą państwo na przykład o nowych realiach prowadzących się do zaostrzającej się rywalizacji mocarstw i zagrożenia związanego z postawą Rosji, a z drugiej znajdują się w raporcie zapisy na temat konieczności utrzymania otwartości i dialogu z Rosją, co wielokrotnie podkreślała w ostatnim czasie na przykład dyplomacja francuska.

Przed wszystkim chciałabym podkreślić, iż w dokumencie przygotowanym przez grupę refleksyjną w 2010 r., a więc dwa lata po agresji na Gruzję, po Smoleńsku, i przyjętej wówczas koncepcji strategicznej, Rosja określona została jako strategiczny partner. W naszych rekomendacjach określiliśmy Rosję jako największe zagrożenie militarne dla sojuszu, także w perspektywie roku 2030. Pomimo że byłam jedynym członkiem



w tym gremium z naszego regionu, takie spojrzenie zaakceptowała cała grupa. W naszych rekomendacjach podkreśliliśmy, że nie ma w relacjach z Rosją powrotu do polityki „business as usual”, chyba że Rosja całkowicie zmieni swą politykę i powróci do stosowania prawa międzynarodowego, co oznacza chociażby wycofanie się z terytorium Ukrainy i Gruzji.

Chciałabym przypomnieć, że decyzję o powrocie do dialogu z Rosją NATO podjęło jednomyślnie podczas szczytu w Warszawie w 2016 r., słusznie uznawanego przez nas za sukces. Dialog odbywa się według ścisłych parametrów i taki jest też nasz postulat. Oczywiście potrzebne są kanały porozumiewania, które pozwalają unikać incydentów i zagrożeń na wschodniej flance i znacznie szerzej, bo aktywność Rosji daje się zauważyć obecnie praktycznie w całej przestrzeni euroatlantyckiej. My poszliśmy jeszcze dalej, rekomendując, by sojusznicy skoordynowali swoje narodowe polityki bezpieczeństwa wobec Rosji i dostosowali je do wspólnych wytycznych NATO. Podkreślamy niepodzielność bezpieczeństwa obszaru euroatlantyckiego i afirmujemy zdecydowaną politykę sojuszu wobec Rosji. Nasz dokument odnosi się do perspektywy roku 2030. Otwarcie na dyskusję na temat pokojowego współistnienia wskazujemy jako opcję przyszłości, w której Rosja wypełniłaby wszystkie zobowiązania wynikające z prawa międzynarodowego i zaprzestała agresywnych działań. Jasno stwierdzamy, że rozmowy z Rosją muszą się odbywać w oparciu o przyjęte przez nas pryncypia i powinny być prowadzone z pozycji jedności i siły. Z zapisów dotyczących Rosji, które pojawiają się także w wielu innych rozdziałach, w tym o odstraszaniu nuklearnym, działaniach hybrydowych czy bezpieczeństwie energetycznym, jestem zadowolona. Z tego, co wiem, także polskie władze są zadowolone. Mam liczne sygnały z regionu, że raport także tam został przyjęty z satysfakcją.

W toku prac nad raportem odbyli państwo mnóstwo rozmów, spotkań i konsultacji z reprezentantami również tych krajów, które nie miały swego przedstawiciela w grupie refleksyjnej. Czy można na tej podstawie powiedzieć, że pogląd państw naszego regionu czy – ujmując szerzej – Europy Środkowo-Wschodniej i Bałkanów na kwestie bezpieczeństwa jest zbliżony?

Faktycznie w trakcie prac nad przygotowaniem raportu oprócz ponad stu oficjalnych spotkań odbyłam wiele indywidualnych rozmów, przede wszystkim w naszej części Europy. Na Litwie na przykład praktycznie konsultowałam się z większością najważniejszych polityków. Jeśli cho-

W naszych rekomendacjach określiliśmy Rosję jako największe zagrożenie militarne dla sojuszu, także w perspektywie roku 2030. Pomimo że byłam jedynym członkiem w tym gremium z naszego regionu, takie spojrzenie zaakceptowała cała grupa

dzi o kontakty z innymi państwami regionu, to wielokrotnie rozmawiałam z przedstawicielami wszystkich państw, ale również z think tankami i ekspertami. Wartością tego raportu jest jego konsensualny charakter, ale myślę, że interesy państw naszego regionu są w nim dobrze zarówno opisane, jak i zagwarantowane. Zdaję sobie sprawę, że tak jak w całym NATO, także u nas w regionie występują różne niuanse w podejściu do problemów bezpieczeństwa. Nasz region jest jednak świetnym przykładem ujednolicania działań w tej dziedzinie. Bezpośrednie zagrożenie ze strony Rosji nas zbliża. Niepodziel-

ność bezpieczeństwa w obszarze euroatlantyckim jest dla nas kwestią fundamentalną.

Czy z rozmów i konsultacji, które pani prowadziła, wyłania się jakiś obraz pożądanego kształtu polityki Paktu Północnoatlantyckiego w naszej części Europy, który pozwoli utrzymać politykę otwartych drzwi w kontaktach z Ukrainą, co jest istotne, choćby w kontekście tarć między Kijowem a Budapesztem. Czy istnieje perspektywa przezwyciężenia tych blokad? Czy Polska może tu odegrać jakąś rolę?

Polityka otwartych drzwi i rola partnerów to ważna część naszych rekomendacji. Jeżeli chodzi o Ukrainę i Gruzję, to jasno wskazujemy na potrzebę kontynuacji wsparcia oraz podtrzymania postanowień ze szczytu w Bukareszcie. W kwestii sporu pomiędzy Budapesztem a Kijowem, w moim przekonaniu, ważną rolę stara się odegrać sekretarz generalny. Moim zdaniem, jeśli któryś z sojuszników ma takie możliwości, to powinien starać się ten konflikt załagodzić, co oczywiście zawsze oznacza dobrą wolę i zgodę na mediację ze strony obydwu stron konfliktu.

Odnosząc się w raporcie do blokad, będących skutkiem weta jednego państwa – a nie dotyczy to wyłączenie Węgier – proponujemy stworzenie rozwiązania systemowego – przeniesienia tego rodzaju dyskusji na poziom ministerialny, który gwarantuje nie tylko szerszą perspektywę, lecz również bierze pod uwagę, iż taka decyzja polityczna niesie z sobą poważne konsekwencje. Polska całkiem niedawno doświadczyła takiej blokady. Inną kwestią jest blokowanie na poziomie technicznym wdrażania przyjętej już polityki NATO. Nasze rekomendacje mają więc bronić konsensu i zarazem zapewniać skuteczne i szybkie procedury w przypadku konfliktu. Jeszcze raz podkreślę: wszystkie nasze rekomendacje mają za cel wzmocnić spójność i jedność sojuszu, a zasada jednomyślności jest uważana za fundament NATO. Dokładnie taki zapis



Fot. Andrzej Wiktor

znajduje się w naszym raporcie, w którym słowo konsens pada dziewiciokrotnie, a te doniesienia medialne, które mówiły o tym, że Sojusz Północnoatlantycki ma zamiar odejść od tej zasady, są niezgodne z treścią raportu. Inną kwestią, przy zachowaniu nadrzędnego znaczenia zasady konsensu, jest konieczność adaptacji sojuszu do nowej rzeczywistości, przyspieszenie procesu decyzyjnego w czasie kryzysu. To leży w interesie Polski.

Czy pani zdaniem, biorąc pod uwagę wielość zadań i wyzwań stojących przed paktem, ale też ich geograficzny rozrzut, przyszłością NATO nie jest pewnego rodzaju regionalizacja czy koncentracja zainteresowania państw na obszarach z ich perspektywy najistotniejszych?

Staraliśmy się tego rodzaju zapisów, a ja starałam się o to osobiście, unikać. Regionalizację bezpieczeństwa uznaję zresztą za zagrożenie. Nie bez powodu o Rosji w raporcie wspomina się zawsze w kategoriach zagrożenia dla całego sojuszu, dla całej przestrzeni euroatlantyckiej, a nie wyłącznie dla wschodniej flanki NATO. Wskazujemy na niepodzielność bezpieczeństwa w obszarze euroatlantyckim, na to, że Sojusz musi oceniać zagrożenia ze wszystkich stron. Dlatego też wschodniej flanki NATO bronią żołnierze chociażby z Hiszpanii czy Włoch. My zaś musimy obserwować sytuację na południu, nie tylko w kontekście fal migracyjnych, lecz także terroryzmu. Trudno o geograficzne rozróżnienie, jeżeli chodzi np. o przestrzeń kosmiczną. Niezbędne jest usilne działanie na rzecz niwelo-

wania różnic w postrzeganiu zagrożeń dla obszaru euroatlantyckiego. Dostrzegamy konieczność powrotu do strategicznego planowania. Sądzę, że w raporcie udało się nam to osiągnąć.

Czytając reakcje prasy amerykańskiej już po opublikowaniu raportu grupy refleksyjnej, można zauważyć, że największą uwagę wzbudziły fragmenty dotyczące Chin, zarówno oceny polityki chińskiej, jak i rekomendacje mówiące o potrzebie zacieśniania przez NATO relacji z państwami regionu Azji i Oceanii, takimi jak Japonia, Korea Płd., Australia i Nowa Zelandia. Czy to zacieśnienie współpracy będzie miało swój wymiar wojskowy i będzie się sprowadzało do obecności żołnierzy NATO w Azji?

Z paliwem Dynamic zima Cię nie zaskoczy.
Ciesz się pewnym rozruchem silnika
i efektywną jazdą w każdych warunkach.

PrzeSKOCZ na zimowe paliwo

Dynamic



LOTOS



Generalny Sponsor Polskiego Narciarstwa

W raporcie dostrzegamy wzrost znaczenia Chin. To wyraźna różnica w porównaniu z raportem sprzed dekady. Rozróżniamy jednak bezpośrednie zagrożenie militarne ze strony Rosji od wyzwań, z jakimi będziemy musieli się zmierzyć w najbliższej dekadzie ze strony Chin. Zresztą działania Chin obserwuję z niepokojem od dłuższego czasu. Zmiana polityki chińskiej, rozbudowa armii, fuzja cywilno-wojskowa, działania na morzach Wschodnio- i Południowochińskim czy wreszcie decyzja o zostaniu globalnym graczem są wyraźnie widoczne. W podejściu poszczególnych sojuszników do Chin widzę sporo różnic. Zgadzam się z poglądem, że sojusz powinien stać się głównym forum wymiany poglądów i współpraca z partnerami w obszarze Indo-Pacyfiku, co powinno służyć zbliżeniu stanowisk. Jesteśmy też świadomi wyzwań, zwłaszcza jeśli chodzi o infrastrukturę krytyczną, taką jak sieci 5G. Moim celem w negocjacjach prowadzonych przy okazji powstawania raportu było reprezentowanie interesów Europy Środkowej i Wschodniej w taki sposób, abyśmy my nie byli obszarem, który, biorąc pod uwagę zwrot polityki głównych sojuszników wobec Chin, polegający na zaostrzeniu, byłby wskazywany jako ten region, który odstaje. Pamiętajmy także o współpracy Chin z Rosją, nie tylko tej politycznej czy gospodarczej. Przypomnę chociaż wspólne chińsko-rosyjskie manewry na Bałtyku czy niedawno podpisaną umowę o współpracy w zakresie komunikacji strategicznej. Wspomniane przez pana państwa Azji i Oceanii są sprawdzonymi partnerami sojuszu chociażby w Afganistanie, współpracujemy w takich obszarach jak swoboda żegluga. Australia i Nowa Zelandia jako członkowie sojuszu pięciorga oczu wymieniają się z nami informacjami wywiadowczymi, są bardzo ważnymi demokratycznymi partnerami, z którymi współpracę należy rozwijać.

W części raportu, która traktuje o bezpieczeństwie energetycznym znalazł się zapis, który podkreśla konieczność przeglądu przez państwa członkowskie własnej polityki w zakresie bezpieczeństwa energetycznego pod kątem jej wpływu na bezpieczeństwo energetyczne sąsiadów i sojuszników. Czy to pani zdaniem można uznać za optymistyczny zwiastun refleksji na temat choćby wpływu gazociągu Nord Stream 2 na bezpieczeństwo naszego regionu?

Zarówno na gruncie tych zapisów, które udało się umieścić w raporcie,

Obserwując zaangażowanie Stanów Zjednoczonych, które zaczęły stawiać sprawę Nord Stream 2 bardzo jasno, argumentując, że jest to projekt szkodliwy, jestem umiarkowaną optymistką. Uważam, że powiększa się szansa, iż nie zostanie on uruchomiony

które pan przywołuje, ale przede wszystkim na podstawie obserwacji zaangażowania Stanów Zjednoczonych, które zaczęły stawiać sprawę Nord Stream 2 bardzo jasno, argumentując, że jest to projekt szkodliwy, jestem umiarkowaną optymistką. Uważam, że powiększa się szansa, iż nie zostanie on uruchomiony. Zakładam, że nawet po zmianie administracji amerykańskiej ten pogląd zostanie utrzymany, tym bardziej że w raporcie znalazł się też zapis, na co warto zwrócić uwagę, że bezpieczeństwo energetyczne jest elementem szerszej rozumianego bezpieczeństwa. Cieszę się, że kwestiom energetycznym udało się poświęcić tyle uwagi. To bardzo istotny sygnał.

Czy pani zdaniem zasadniczym wyzwaniem, przed którym stoi NATO, nie jest próba rozstrzygnięcia przez członków paktu kontrowersji, takich jak np. między Francją a Turcją, czy różnicy poglądów na kwestie szczegółowe na innych płaszczyznach niż forum Sojuszu Północnoatlantyckiego, gdzie nadal ma rządzić zasada konsensu?

Miedzy innymi właśnie z tego powodu, aby uniknąć zagrożeń tego rodzaju, włożyliśmy wiele wysiłku w to, aby zaproponować pewien mechanizm porozumiewania się, zbliżania stanowisk, co zresztą bliskie jest kulturze politycznej Zachodu. I muszę powiedzieć, że zwłaszcza po doświadczeniach pracy nad raportem w ramach grupy refleksyjnej jestem w tym zakresie optymistką. Możliwość szczerzej dyskusji i unikania sytuacji dominacji jednego poglądu, a miewamy przecież czasem z tym do czynienia na poziomie choćby Unii Europejskiej, zwiększa szanse osiągnięcia porozumienia. Pod tym względem NATO wydaje się znajdować w lepszej sytuacji. Zresztą w naszej grupie, w której skład wchodził przecież zarówno niezwykle profesjonalny przedstawiciel Francji, były minister spraw zagranicznych Hubert Védrine, jak i równie wytrawny dyplomata z Turcji Tacan Ildem, mimo pewnych różnic na początku udało się wypracować wspólne stanowisko i przyjąć końcowy dokument w drodze konsensu. Tak więc myślę, że nasze kilkumiesięczne prace – trzeba uczciwie powiedzieć niezwykle trudne, bo różnice stanowisk na początku były naprawdę duże i zdarzało się, że każdy z nas musiał pewne sprawy stawiać na ostrzu noża – zakończyły się sukcesem. Dla mnie osobiście, to było chyba najtrudniejsze doświadczenie pracy na forum międzynarodowym. Tym bardziej cieszę się z rezultatu, choć na początku naszych prac nikt z nas nie był pewien, jak się one potoczą i czy w ogóle dojdziemy do wspólnego stanowiska. Osiągnięty konsens jest moim zdaniem dobrym prognostykiem.



Syrena z Morskiego Oka

*Pod koniec listopada na
dnie tatrzańskiego jeziora
odnaleziono wrak łodzi.*

*Czy jest to zaginiona
w latach 30. „Syrena”?
I skąd tam się wzięła?
Na wiele pytań nie ma
odpowiedzi*



WOJCIECH ŁADA

Znaleźli ją podobno przypadkiem. To były rutynowe ćwiczenia z nurkowania, które muszą przejść ratownicy TOPR. Pierwotnie miały się odbywać w jaskiniach, ale ponieważ obowiązują pandemiczne ostrzeżenia, zdecydowano się przeprowa-

dzić je w malowniczej przestrzeni Morskiego Oka. Schodząc na dno, nurkowie dostrzegli całkiem niezłe zachowany wrak sporej łodzi. Znaleźli go sfotografowali, fotografię udostępnili w internecie i niemal natychmiast wybuchła medialna burza. „Na dnie Morskiego Oka odnaleziono słynną »Syrenę«” – brzmiały nagłówki.

W rzeczywistości nie ma stuprocentowej pewności, czy istotnie jest to „Syrena”, a samo odnalezienie wraku na dnie największego z tatrzańskich jezior

nie jest aż tak bardzo zaskakujące. Jeszcze pod koniec XX w. po Morskim Oku pływano bowiem bez większych przeszkód. A i sam wrak odnaleziono pięć lat temu, choć wówczas nie wzbudziło to medialnej sensacji (nie opublikowano zdjęć w sieci).

SPÓR O NIEISTNIEJĄCE GRANICE

Ale legenda o „Syrenie” zdecydowanie warta jest opowiedzenia, z tej choćby racji, że wiąże się z nieco zapomnianym, a dość zaskakującym epizodem w dziejach Polski, a mianowicie sporem granicznym z Węgrami o ten właśnie kawałek Tatr. Sam spór nie byłby może dziwny, bo wspólną granicę mieliśmy wiele razy. Rzecz jednak w tym, że rozgorzał on w okresie, kiedy żadne z tych państw nie istniało jako niezależny byt polityczny – Polska była pod zaborami, Węgry zaś cieszyły się pewną

Foto: East News



Wrak łodzi, która służyła do przewozu turystów. Zdjęcie wykonano podczas ćwiczeń sekcji nurkowej TOPR, listopad 2020 r.

autonomią, jednak również w ramach monarchii habsburskiej.

Konflikt wybuchł pod koniec lat 80. XIX w., kiedy ostatni prywatny właściciel terenów nad Morskim Okiem wystawił je na licytację. W szranki stanęli wówczas książę pruski Christian Hohenlohe – wspierany przez Węgry – i istniejące już wówczas od 15 lat polskie Towarzystwo Tatrzańskie, którego sponsorem w tej kwestii był hrabia Władysław Zamoyski. I choć w 1889 r. wygrał ten ostatni, konflikt tak naprawdę rozgorzał w tym właśnie momencie. Dochodziło do wielu incydentów: pobić, podpaleń, kradzieży... Niektórzy historycy mówią nawet o podjazdowej wojnie partyzanckiej, jednak o bardzo lokalnym charakterze i, o ile też wiadomo, bez wypadków śmiertelnych. Zaczepki i ogólnie napiętą atmosferę potwierdza jednak nawet autorka pierwszego przewodnika tatrzańskiego, Maria Steczkowska, która wybrała się w Tatry chwilę przed eskalacją konfliktu w 1887 r.

Ostatecznie zdecydowano się przedstawić sprawę cesarzowi, który zgodził się powołać stosowny sąd rozjemczy. I chociaż zebranie się tego ciała trwało dobre dziewięć lat, ostatecznie proces w Grazu zadecydował 13 września 1902 r., że sporne tereny należą do Galicji, są więc częścią ziem polskich. W polskiej prasie było to wówczas spore wydarzenie, szeroko komentowane w salonach i przy kawiarnianych stolikach. Jakkolwiek patrzeć, był to

jeden z nielicznych momentów od 1863 r., kiedy sprawa polska znalazła się na forum międzynarodowym. I w takich właśnie okolicznościach (wkrótce potem) na wodach Morskiego Oka pojawiły się dwie pełnomorskie szalupy: „Syrena” i „Świstak” – zakupione dzięki staraniom malarza i wielkiego popularyzatora Tatr Walerego Eljasza-Radzikowskiego. W tym miejscu i czasie miało to znaczenie symboliczne.

NA TRATWIE Z KONEWKĄ MLEKA

Nie były to oczywiście pierwsze jednostki pływające po Morskim Oku. Od zawsze krążyły tu góralskie tratwy,

po części służące do сплаwu drewna, ale z pewnością także do połowów powszechnego tu pstrąga (Morskie Oko zwano kiedyś Rybim Stawem). Nie da się ustalić daty, ale gdzieś w początkach XIX w. na pewno dawało się już wynająć tratwy wraz z załogą w celach turystycznych. W 1837 r. na obrazie Jana Nepomucena Głowackiego widać w każdym razie grupkę ludzi siedzących na tratwie na środku jeziora. Nie wyglądają oni na górali – ich ubiór jest typowo wielkomiejski.

„Pierwszą polską turystką tatrzańską, której nazwisko doszło do naszych czasów, jest Beata z Kościelskich, żona Olbrachta Łaskiego, starosty kieżmarskiego z zastawnej ziemi spiskiej. W liczniejszym towarzystwie odbyła ona wycieczkę w Tatry w 1565 r., powodowana zapewne głównie chęcią zwiedzenia rysujących się z okien jej kasztelu i zaciekawiających ją zębatach grzbietów i dolin tatrzańskich, a może chciała wzbogacić swą apteczkę zasobem sławionych ziół tatrzańskich” – pisał niemal równo 400 lat później prof. Konstanty Stecki.

Precyzyjnych danych nie posiadamy, ale mniej więcej od połowy XIX w. Polacy zaczęli odkrywać Tatry, pojawiły się pierwsze popularyzatorskie wydawnictwa i liczba turystów powoli, ale znacząco rosła. Wcześniej zapuszczali się tu głównie badacze. Stanisław Staszic po swojej podróży opublikował klasyczne



Przystań nad Morskim Okiem, 1931 r.

dzieło „O ziemioródtwie Karpatów”, poeta i powstaniec listopadowy Seweryn Goszczyński spisuje swój „Dziennik podróży do Tatrów”, a Tytus Chałubiński rozszlawił Zakopane jako doskonałe uzdrowisko. A trzeba pamiętać, że była to wciąż nieodkryta dzicz, do której samo dotarcie, choćby ze stosunkowo nieodległego Krakowa, wcale nie było proste. Maria Steczkowska, wspominając swoją podróż, mówiła o konieczności wynajęcia „parokonnego wózka góralskiego”, o co można było postarać się w dniu targowym na krakowskim Kleparzu. Podczas drogi trzeba było się liczyć z noclegiem, gdyż na przejechanie tej trasy jeden dzień w żadnym razie nie wystarczy – ona akurat nocowała w wiosce Lubnia. W dalszą drogę ruszyła o świcie, „by za chłodu przebyć najwięcej trudną część drogi, tzn. grzbiet Lubnia”. Autorka „Obrazków z podróży do Tatrów i Pienin” opisywała dalej trasę: „Przebywszy zaraz za wsią Lubniem kawał przykryj i nudnej drogi po kamieniach, których mnóstwo znoszą w czasie powodzi potoki w lecie sączące się z wolna i cicho, po deszczach jednak wzbierające gwałtownie, jak wszystkie górskie strumienie, jedzie się coraz przykrzej pod górę, okolicą bezludną i nieurodzajną”.

I tak mniej więcej wyglądała dalsza, wielogodzinna jeszcze droga, która poprawiła się w zasadzie dopiero przed samym Zakopanem. Steczkowska była krakowianką. Dla kogoś np. z Warszawy podróż do Zakopanego oznaczałaby zapewne dwa dodatkowe dni, konieczność przekroczenia granicy, a także ryzyko nietrafienia na dzień targowy, a więc brak możliwości wynajęcia jakiegokolwiek środka transportu. Jeśli jednak ktoś już znalazł się na miejscu, z wynajęciem tratwy i ze zorganizowaniem rejsu po Morskim Oku nie miał raczej problemu. Pani Maria wspominała, że schodząc z gór, w pobliskiej wiosce wynajęła górali, którzy zgodzili się ją przewieźć, zakupiła „konewkę kwaśnego mleka”, aby „nasyćwszy oczy nieźrównanym widokiem, zaspokajając zarazem głód i bez poważniejszych już przeszkód, wsiała na sporą i wygodną tratwę. Miała co prawda

szczęście, bo była to wyjątkowa tratwa – zbudowana dla gości zaproszonych tu na odsłonięcie pomnika arcyksięcia Ludwika. „Po bokach miała poręcze i ławki do siedzenia” – jak wspominała. Ale prostsze góralskie tratwy bez podobnych wygod były tu zawsze dostępne. I podobno naprawdę warto było z nich skorzystać. „Dopiero wypłynąwszy na

Od zawsze krążyły po Morskim Oku góralskie tratwy, po części służące do spławu drewna, lecz z pewnością także do połowów powszechnego tu pstrąga. Nie da się ustalić daty, ale gdzieś w początkach XIX w. na pewno dawało się już wynająć tratwy wraz z załogą w celach turystycznych

środek jeziora, poznajemy znaczną jego rozległość, wtenczas dopiero piękno jego w całym występuje blasku” – pisała zachwycona Steczkowska.

ZATŁOCZONE JEZIORO

W odkryciu wraku „Syreny” jedna rzecz wydaje się dziwna. Ratownicy TOPR potwierdzili co prawda, że chodzi o tę właśnie jednostkę, coś tu się jednak nie zgadza. Rzecz w tym, że zarówno ona, jak i „Świstak” już po kilku latach były pełnymi ruinami – tak oceniał je w każdym razie twórca TOPR, Mariusz Zaruski. Tymczasem zalegająca w odmętach jeziora łódź wydaje się w nie najgorszym – jak na zatopiony dziesiątki lat temu wrak – stanie. Informacje o losach obu łodzi są niepewne. Wszyscy są zgodni wyłącznie co do tego, że nie wiadomo, co działo się z nimi w czasie I wojny światowej oraz, że w latach 30. zaginęły w nieznanych okolicznościach.

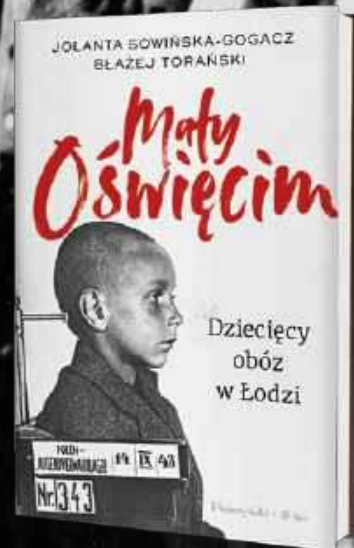
Co nie znaczy, że w dwudziestolecie nie po tafli jeziora nie pływało. Przeciwnie. To właśnie wówczas Zakopane staje się zimową stolicą Polski, ruch jest tak duży, że specjaliści przestrzegają przed dewastacją przyrody i dojrzuje rzucony jeszcze w XIX w. pomysł, by wzorem amerykańskiego Yellowstone stworzyć tu park narodowy. Na wielu zachowanych zdjęciach widać uśmiechniętych turystów sunących w łodziach po tafli jeziora. I nie są to byle tratwy, lecz solidne, wygodne szalupy, zapewne sprowadzone tu właśnie w celach turystycznych. Z całą pewnością pływano też po Morskim Oku po II wojnie światowej. – Osobiście pamiętam raczej tabliczki z zakazem kąpieli, ale znajomi potwierdzali, że jeszcze w latach 70. pływali po jeziorze – mówi znany z naszych łamów Adam Ciesielski, a jego słowa zgadzają się z licznymi komentarzami internautów. „Ojciec oświadczył się mamie na środku Morskiego Oka, jakoś na przełomie lat 60. i 70. Mówił, że jakąś łódką tam płynęli, ale nie wiem czy wiosłowali” – pisał jeden z nich. W Tatrzańskim Parku Narodowym potwierdzają

tę opinię, choć nawet tu nie są w stanie podać konkretnych dat. – Z tego, co udało się ustalić, decyzję o wprowadzeniu zakazu podjęto w latach 60. XX w., ale kiedy konkretnie został on wprowadzony, nie wiemy – tłumaczy jedna z pracownic TPN. Józef Nyka w 1994 r. wspominał na łamach „Tatr”, że pamięta przystań dla łódek jeszcze z 1980 r.

Czy więc na pewno mamy tu do czynienia z wrakiem „Syreny”? Być może. Wybór jednostek, które mogły zatonać w jednym z najpiękniejszych polskich jezior, jest jednak znacznie większy. Patrząc na znaleziony wrak i czytając choćby wspomnienia Steczkowskiej, można jednak wyobrazić sobie, jaką przyjemnością musiała być podobna wycieczka. Dziś po Morskim Oku pływać oczywiście nie można, ale jego posmak można poczuć, przekraczając granicę ze Słowacją. Tam pływanie po tatrzańskim Štrbskim Plesie jest nie tylko możliwe, ale też bardzo popularne.

Do ostatniego dnia trwało tam zło

„Od grudnia 1942 r. aż do wyzwolenia miasta w styczniu 1945 r. funkcjonował w Łodzi obóz koncentracyjny dla polskich dzieci. Gehenna zgotowana najmłodszym Polakom. O której prawie nikt nie wie” – piszą Jolanta Sowińska-Gogacz i Błażej Torański w książce „Mały Oświęcim”. Autorzy postawili sobie za cel, „by łódzki obóz na Przemysłowej, biała plama na mapie drugiej wojny światowej, trafił do świadomości tysięcy czytelników, do całego świata”. Publikujemy fragmenty pierwszego rozdziału tej niezwykle ciekawej monografii



Córeńko, ja bym cię wołała zobaczyć w trumnie niż w tym obozie! – tak do sześciolatniej Grażynki mówiła jej mama, gdy z okien domu przy Przemysłowej 13 patrzyły na chybotałki, warczące ciężarówki, które co rano wozily do pracy w mieście wychudzone, zziębnięte postacie. „Te biedne spojrzenia, te szare, brudne dreluchy nie dawały mi spokoju przez całe życie. Jak myśmy się bali, że Niemcy i mnie złapią i tam wsadzą! Mieliliśmy w domu obraz Świętej Rodziny i moja mama, gdy widziała te dzieci, zawsze klękała i się modliła”, wspomina pani Grażyna Morek-Romanowska. [...]

Pomysł utworzenia na ziemiach polskich obozu dla młodocianych Polaków pojawił się już w 1941 r., kiedy Niemcy



drastycznie spotęgowali represje i byli zmuszeni rozważyć problem losu dzieci przylapanych na drobnych kradzieżach, szmuglu i ulicznym handlu, a także rozwiązać sprawę rosnącej lawinowo grupy dzieci osieroconych.

„Na naszych wschodnich terenach Niemiec zaniedbanie młodzieży polskiej rozwinęło się poważnie i stanowi groźne niebezpieczeństwo dla młodzieży niemieckiej. [...] Wojna rozbiła wiele rodzin, a uprawnieni do wychowywania nie są w stanie spełniać swych obowiązków, polskie zaś szkoły zamknięto. Dzieci polskie, walęśające się bez jakiegokolwiek nadzoru i zajęcia, handlują, żebrzą, kradną, stając się źródłem moralnego zagrożenia dla młodzieży niemieckiej” – tak Reichsführer SS Heinrich Himmler uzasadniał koncepcję utworzenia obozu, który powołał 28 listopada 1941 r. podpisanym przez siebie rozkazem.

W centrum ziem Polski wcielonych do Rzeszy powstał lager, dający Niemcom pełną kontrolę nad najmłodszymi i stopniowo, poprzez pracę ponad siły, przemoc i głód, prowadził ich do zagłady. Rzeczywistym celem powstania obozu było odebranie polskim dzieciom środków do życia, wyrwanie ich z gniazd rodzinnych, łatwość ustalenia aryjskich domieszek, pomysł na wykorzystanie ich rąk do darmowej pracy na chwałę III Rzeszy i cyniczna sugestia, że ta oto Rzesza potrafi – po rasowej selekcji i odrzuceniu „nieużytków” – wychować młodzież. Niemcy zamknęli szkoły, zabrali dzieciom rodziców i karali za drobny handel. Najmłodszych wtrącono w otchłań cierpienia.

Polen-Jugendverwahrlager der Sicherheitspolizei in Litzmannstadt – już sama nazwa brzmi jak jakiś potwór. Miano tego zbrodniczego miejsca i zamysłu w dosłownym tłumaczeniu oznacza obóz przechowawczy dla polskiej młodzieży pod kierownictwem Policji Bezpieczeństwa w Łodzi. Przeanalizowawszy tę nazwę, łatwo wskazać znaczeniowe niezgodności. Jugend to młodzież, a przecież w obozie więziono małeńkie dzieci, niespełna trzyletnie, z niustalonym do dziś czasowo epizodem obecności w nim niemowląt. Człon verwehr anonsuje „depozytowy”, przechowawczy charakter tego miejsca, a nie o to wszak okupantom chodziło. Niektórzy tłumacze stosują określenie „prewencyjny”, ale to kolejny nonsens, bo wbrew propagandzie do obozu trafiały dzieci, których autorament nie wskazywał na żadne zepsucie ani wybór złej drogi.

Litzmannstadt to twór wymyślony przez szalonych nadludzi, którzy zanektowali polskie miasto o nazwie Łódź z aż trzema na cztery polskimi literami. Niemiecka nazwa obozu była więc czymś w rodzaju kłamstwa założycielskiego. Bo przecież był to obóz o innych założeniach, funkcjach, innej rzeczywistości. Niemcy nie mogli go nazwać obozem pracy ani obozem koncentracyjnym, bo więzili w nim dzieci i łamali ich prawa, więc Czerwony Krzyż odwiedzałby to miejsce co tydzień. Gdyby ułożyć nazwę wedle obecnego stanu wiedzy, zeznań świadków i własnego sumienia, byłby to NS-Polen-Kindlerlager Litzmannstadt – Hitlerowski Obóz dla Polskich Dzieci w Łodzi.

Polen-Jugendverwahrlager z rozmysłem usytuowano na terenie żydowskiego getta – w czworokącie ulic Brackiej, Emilii Plater, Górniczej i muru żydowskiego cmentarza – przez co ucieczka stamtąd była przejściem z więzienia do więzienia, bez szans na powodzenie. Obóz był otoczony wysokim drewnianym płotem o bezszczelinowej konstrukcji sztachet, a z jego rogów sterczały strażnicze wieże. Nazwę „na Przemysło-

wej” nadali obozowi mali więźniowie, dla których ta ulica była ostatnim orientacyjnym hasłem mijanym w wolnym świecie. Ulicą wpijającą się w obszar niewoli. Komendanturę, czyli Verwaltung, najważniejszy obiekt obozu, Niemcy urządzili sobie w willi przy Przemysłowej 34. Bracka w krzyżu z Przemysławą – tam stała brama obozu.

Ulica Przemysłowa stanowiła granicę strony aryjskiej i terenu wyznaczonego dla mieszkańców pochodzenia żydowskiego. Obóz znajdował się nie w sercu getta, ale raczej na jego ramieniu. Takie usytuowanie znacznie upraszczało pokonywanie trasy między lagrem a resztą świata, gdzie nie wymagano przepustek. Kąt Brackiej i Przemysłowej nie należał już do getta. Dziś wzdłuż chodników obu tych ulic wypisane są białą farbą graniczne litery – Litzmannstadt Ghetto. [...]

Zarządzenie Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy mówiło, iż do łódzkiego obozu mają być kierowani „przestępcy lub dzieci zaniedbane od 8 do 16 lat”. Skończywszy 16 lat, dzieci trafiały do obozów dla dorosłych. Fikcją natomiast okazała się dolna granica wieku.

Pierwszych małoletnich więźniów przywieziono na początku grudnia 1942 r., a 11 grudnia lager został oficjalnie otwarty – dla łódzkiej kultury historycznej to data symboliczna. Był piątek, na termometrach plus cztery stopnie. A za dwa tygodnie pierwsze wojenne Boże Narodzenie bez śniegu. Styczeń to już niestety zima w pełni. Czas pierwszych przemarznięć. A potem wyjątkowo chłodna wiosna.



Fot. materiały prasowe

Pierwotny zamysł mówił jedynie o polskich chłopcach, ale już w pierwszym transporcie znalazły się dziewczynki. Numer pierwszy otrzymał Zdzisio Włoszczyński, numer drugi – Halinka Szturma, trzeci – Miecio Wlazło... Po przekroczeniu bramy obozu dzieci traciły kontakt z rodziną, osobiste przedmioty, ubrania, tożsamość. Imiona i nazwiska wymieniano na numery, odzież na szare drelichowe mundurki, robiono zdjęcia en face i z profilu, pobierano odciski palców. Numer, flesz, daktyloskopia, uniform, barak, piętrowa prycza. Poza tatuowaniem – procedura oświęcimska.

„Dostaję drelichowe ubranie, koszulę, kalesony, furażerkę, trepy, stary, wytarty płaszcz, koc, blaszaną miskę, łyżkę i garnuszek. Widać, że wszystko to było już używane. [...] Sechshundertvierundzwanzig. Na polecenie Niemca zawieszam numer na szyi. Od tej chwili nie jestem już dzieckiem”, pisze we wspomnieniach ośmioletni wówczas Tadeusz Rażniewski.

Obóz podzielono na dwie części – Jungelager i Mädchenlager. Obszar dla dziewczynek stanowił jedną czwartą całości i był usytuowany w obrębie Górniczej, Mostowskiego i Plater. Chłopców było znacznie więcej. Obszar obozu to w przybliżeniu 68 tys. metrów kwadratowych.

Od zamysłu, od pierwszego dnia do ostatniego, trwało tam zło, zło upostaciowione, umundurowane i uzbrojone.

Obóz na Przemysłowej był obozem pracy, ponieważ wbrew prawu, także niemieckiemu, uwięzione dzieci musiały pracować od rana do wieczora i wykonywać ustalone normy. Chłopcy wyrabiali buty ze słomy, słomiane maty pod czołgi, koszyki z wikliny, paski do masek gazowych oraz skórzane części do plecaków, naprawiali buty, pracowali w ogrodzie i przy prostowaniu przemysłowych igieł. „Być albo nie być” zależało od dorosłego, który dowodził warsztatem. Dziewczynki szyły, prały, pomagały w kuchni, porządkowały teren i pomieszczenia. Najmłodsi kleili torebki, robili doniczki i sztuczne kwiaty. Przekleństwem było równanie terenu potwornie ciężkim walcem. Dzieci były małe i osłabione głodem, a poganiano je batem. Pracowały niezależnie od aury.

Był to również obóz koncentracyjny, bo więziono tam bardzo dużą grupę osób – każdego dnia przebywało średnio ponad tysiąc dzieci, a zatem nie był to lager mały. Obergruppenführer SS Oswald Pohl, jako główny zarządca gospodarczo-administracyjny hitlerowskich obozów koncentracyjnych, w raporcie z 30 kwietnia 1942 r. zameldował o przejściu pod swoje władanie piętnastu obozów koncentracyjnych, wymieniając między innymi Dachau, Sachsenhausen, Buchenwald, Ravensbrück,

Pierwotny zamysł mówił jedynie o polskich chłopcach, ale już w pierwszym transporcie znalazły się dziewczynki. Numer pierwszy otrzymał Zdzisio Włoszczyński, numer drugi – Halinka Szturma, trzeci – Miecio Wlazło

Mauthausen, Auschwitz oraz cztery obozy specjalne dla młodzieży, a wśród nich Jugendschutzlager Litzmannstadt, czyli obóz na Przemysłowej. Według współczesnego prawa niemieckiego obóz łódzki jednak nie kwalifikuje się do miana obozu koncentracyjnego.

Był to także obóz śmierci, gdyż mimo kompetencji ówczesnej medycyny nie ratowano w nim dzieci chorych, a stosowane tam środki represji nieuchronnie prowadziły do utraty życia. „Nie było gazu i krematorium, bo nie były potrzebne. Zabijano nas głodem, pracą, biciem i mrozem”, twierdzi ocalały Jerzy Jeżewicz.

Na Przemysłową kierowano chłopców i dziewczęta głównie ze Śląska, Wielkopolski, Pomorza, Mazowsza, z Łodzi i okolic, dzieci bezdomne zatrzymane na ulicach, drogach i dworcach. Osobną, liczną grupę stanowiła młodzież z ru-

chu oporu, dzieci członków organizacji podziemnych, w większości z Poznania i Mosiny. W niemieckich zapisach sądowych widnieją uzasadnienia: „przerzucał chleb do getta”, „zaniedbane dziecko polskie” lub tylko „dziecko polskie”, „sierota, włóczy się, bez środków do życia”, „córnka polskiego profesora”, „zachodzi obawa, że wywodzi się z Cyganów”, „przeszkadza otoczeniu i wywiera ujemny wpływ na dzieci niemieckie”, „nielegalnie nabył karty żywnościowe”, „ojciec na robotach w Rzeszy, matka w Oświęcimiu”, „kradnie z innymi dziećmi owoce w ogrodach, zwłaszcza obywateli niemieckich, ojciec nie żyje”, „znalezione w wieku trzech lat, jest kaleką, trudne do wychowania, trzęsie głową, moczy łóżko”, „bezcelowość dalszego wychowania”, „wskutek swego duchowego nastawienia i swej przynależności do narodu polskiego nie nadaje się do wychowania domowego w ramach opieki społecznej i należy go stosownie do zarządzenia ministra spraw wewnętrznych Rzeszy przekazać do obozu dla zaniedbanej młodzieży polskiej w Łodzi”, „syn polskiego oficera”, „rodzice nie żyją, żebrze, włóczy się”, „żebrze, starał się wzbudzić współczucie u ludności, bo brak mu jednej ręki i nogi”, „zarabia, odnosząc walizki z dworca kolejowego w Katowicach”, „użebране rzeczy przynosi do domu”, „miał przy sobie zapalki”, „rodzice nie przyjęli volkslisty”.

Wszędzie jak niesłabnące echo powtarza się jedna fraza – dziecko polskie, dziecko polskie, dziecko polskie. To polskość była głównym powodem osadzenia. Obóz na Przemysłowej był więc obozem karnym, lagrem wyrokiem, bez daty powrotu na wolność, do życia. Do domu.

Piątą funkcją łódzkiego potwora była rola przetaka. Zgromadzone w jednym miejscu polskie dzieci bez trudu można było obejrzeć, zbadać, zmierzyć, stanowiły łatwy cel. Wyłapane przez niemieckich fachowców cechy aryjskie kwalifikowały je do wywozu i germanizacji. Ośrodek zniewczający mieścił się osiemset metrów dalej. Jedenaście minut spacerkiem. Alles nachgedacht. Wszystko przemysłane. [...]

**Jolanta Sowińska-Gogacz,
Błażej Torański**

K

ULTURY

Film „Sweat”, w którym
zagrała główną rolę,
powalczy o tegoroczne
Złote Lwy. 45. Festiwal
Polskich Filmów
Fabularnych – wyłącznie
online – potrwa od
8 do 12 grudnia.
Magdalena Koleśnik
ma szansę stać się
jego gwiazdą

Talent w kolorze blue

Fot. Podlewski/AKPA, Shutterstock

JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

W historii najważniejszego z polskich festiwali filmowych tylko dwa razy – i to w stanie wojennym – doszło do wstrzymania imprezy. Tegorocznej, 45. edycji, nie udało się przeprowadzić we wrześniowym terminie. Niemal rzutem na taśmę do rywalizacji o Złote Lwy 14 najlepszych pełnometrażowych produkcji wystartuje w ostatnim miesiącu tego roku.

LWY W REŻIMIE

Święto polskiego filmu odbędzie się w reżimie sanitarnym. Bez publiczności i pokazów w kinach. Bez spotkań z gwiazdami i czerwonego dywanu. Nietypową galę zamknięcia, podczas której przedstawieni zostaną zwycięzcy w konkursie głównym, a także w konkursach filmów mikrobudżetowych i krótkometrażowych, będzie można obejrzeć 12 grudnia w TVP Kultura. W jaki sposób wezmą w niej udział laureaci tegorocznych Platynowych Lwów – Andrzej Barański i Feliks Falk? Zobaczmy.

Wiemy już, że na czele jurorskich składów staną: Lech Majewski (konkurs główny), Filip Bajon (produkcje mikrobudżetowe) i Aneta Hickinbotham (krótkie metraże). Wśród 14 tytułów rywalizujących o Grand Prix aż 10 to debiuty i filmy drugie. Jest wśród nich „Sweat” w reż. Magnusa von Horna – wykształconego w łódzkiej Filmówce Szweda, który pięć lat temu na festiwalu w Gdyni został uhonorowany nagrodami za reżyserię i scenariusz. Co ważne, jury doceniło w ten sposób jego debiutancką pełnometrażową fabułę pt. „Intruz”.

Tam Magnus von Horn przyglądał się osaczonemu przez rzeczywistość nastolatki. W tym roku w konkursie głównym festiwalu znalazł się obraz „Sweat”, w którym reżyser i scenarzysta w jednej osobie pokazał kulisy świata social mediów.

OBJAWIENIE I LAJKI

Główna bohaterka – trenerka fitness, influencerka i celebrytka Sylwia Zając – choć obserwowana i lajkowana przez tysiące obserwatorów, poza wirtualną rzeczywistością pozostaje samotna i niegotowa na realne ciosy.

„Sweat”, jako jedyny polski tytuł, trafił do oficjalnej selekcji tegorocznego festiwalu w Cannes. W rolę Sylwii brawurowo wcieliła się w nim Magdalena Kolesnik. Zagraniczni dziennikarze okrzyknęli ją „objawieniem polskiego kina”. Warto przyjrzeć się tej aktorce.

Od jesieni tego roku buduje szeroką rozpoznawalność dzięki serialowi „BrzydUla”. Jako perfekcyjna i chłodna Nadia; jedyna postać, której motywów działania scenarzyści nie odsłaniają – intryguje.

Styliści produkcji wydobyli wszystkie atuty urody aktorki. Eksponując figurę i dynamikę ruchu, podkreślili też jej „szwedzki” chłód. Na otoczonej gładko zaczesanymi włosami, nieruchomej twarzy Nadii, ale przede wszystkim w niesamowitych błękitnych oczach, trudno dostrzec emocje. Te oczy budzą pewne skojarzenia... ale o tym za chwilę.

KLAPS NA POCZĄTEK

Magdalena Kolesnik pochodzi z Białegostoku. 27 lutego świętowała 30. urodziny. 12 lat wcześniej w wypełnionej po brzegi sali Białostockiego Teatru Lalek, gdzie 25-lecie działalności Młodzieżowego Domu Kultury w Białymstoku uświetnił występ Teatru Klaps, 18-letnia Magda zapewniała dziennikarza: „Nasz teatr zrze-

sza wspaniałe osoby, które są prawdziwymi pasjonatami”. 16-letni Bartosz Bielenia dodał: „Przychodzę dla Klapsa, ponieważ mogę robić to, co najbardziej w życiu kocham, czyli występować na scenie”.

Amatorski Klaps zaprowadził Magdalенę Kolesnik na białostocki Wydział Sztuki Łalkarskiej (filia warszawskiej Akademii Teatralnej), gdzie studiowała przez rok. Dyplom uzyskała na Wydziale Aktorskim PWST w Krakowie. Od pięciu lat jest związana z Teatrem Powszechnym (za stworzoną tu postać Jagny w „Chłopach” w reż. Krzysztofa Garbaczewskiego była nagradzana w latach 2017–2018). Współpracowała też z teatrami Ateneum, Ochoty i Żydowskim w Warszawie oraz Bagatela w Krakowie. W Teatrze Wielkim – Operze Narodowej można ją było oglądać w roli Widma Marii w „Umarłym mieście” w reż. Mariusza Trelińskiego.

NIEZAPOMNIANE SPOJRZENIE

Postaci, które tworzy – nawet gdy tak dynamiczne jak w filmie „Sweat” – są trochę „w kolorze blue”, niosą niedopowiedzenie, tajemnicę, smutek. Taka też była rockowa wokalistka Emilia z „Ondyny” (2019). Na planie tej krótkometrażowej produkcji Magdalena Kolesnik zagrała z Bartoszem Bielenią. Jeden z najważniejszych (nie tylko za sprawą roli w filmie „Boże ciało”) aktorów młodego pokolenia, hipnotyzujący spojrzeniem niezwykle błękitnych oczu, jest... jej przyrodnim bratem.

W którymś z wywiadów wspomniał: „Pamiętam naszą rozmowę, kiedy byłem w klasie maturalnej, a ona już studiowała w Krakowie: staliśmy na pustym korytarzu liceum w Białymstoku i opowiadała mi o szkole”. Starsza o dwa lata Magda, która „była szybciej w Krakowie, szybciej w Warszawie”, oswajała, badała nowy teren, także dla niego.

O wielkości Ewy Dałkowskiej

Andrzej Barański wrócił po 13 latach do Teatru Telewizji. Ostatnią rzecz dla kina nakręcił przed siedmioma. Jeśli ktoś lubi jego twórczość, poetycką, kameralną, nienastawioną na natychmiastowy efekt (może poza filmem „Horror na Wesołych Bagniskach”), ten się ucieszy. Ja się ucieszyłem.

„Badyle” to więcej niż udana premiera telewizyjnego teatru. Choć euforię zastępuje jako reakcja pierwsza – gorycz, zasmęcenie, smutek. No i podziw dla roboty najwyższej klasy.

Kręci to Barański metodą filmową – w plenerach. Ale takich nieefektywnych: łąka, pole, szosa, podwórze, okolice starego budynku, trochę bardziej reprezentacyjnego niż reszta. Tylko scenki retrospektywne, właściwie migawki, powstały w studiu. Mamy dwa opowiadanka Tadeusza Różewicza (którego reżyser był artystycznym wychowankiem) – „Ta stara cholera” i „Na placówce dyplomatycznej”, pokazywane na przemian. Oba są opowieściami starych kobiet mających poczucie, że nie są potrzebne swoim rodzinom. W pierwszej syn narratorki jest prymitywem, w drugiej – człowiekiem wykształconym, ale efekt jest mniej więcej ten sam, choć matki unikają patosu, są konkretne, nawet męczące w swoich żalach.

Zwieńczeniem okazuje się trzecia fabuła – tekst Marka Gajdzińskiego, młodszego o ponad jedno pokolenie od Różewicza, tłumacza i pisarza, napisany pierwotnie dla radia. O ile Różewicz zostawił nam obrazki realistyczne, o tyle ta historia będzie miała w sobie rys irracjonalny, symboliczny, choć wszystko zacznie się od podwożenia starej kobiety przez parę w średnim wieku – przyjezdnych z Ameryki. Ta wiązanka, do której Barański przymierzał się od 20 lat, to w sumie triumf prostoty nad wymyślnością, życia nad rzeczywistością kreowaną, ozdobną. Teatry od dawna takich rzeczy nie grają – prawie. Tu znalazło się miejsce.

Jest w tych historiach jakaś nieubłagana, posępna kolej rzeczy. Człowiek zastanawia się nad morałem. Czy to opowieść o gubieniu starych rodziców

przez ludzi doznających awansu. Ale przecież w pierwszej, a po części i trzeciej historii, tak nie jest. I przypominają się wątki jeszcze z „Chłopów” Reymonta – tam dzieci, proste i wiejskie, potrafiły wygnać rodziców z domu.

Nie dla łatwej publicystyki takie teksty powstają. Barański jest mistrzem budowania nastroju z drobnych sytuacji, z codzienności. On nam uświadamia, ile się w tej codzienności kryje grozy, krzywdy, poczucia zmarnowanego życia, daremnego trudu. Poczucia ludzi, którzy nawet opowiedzieć o tym nie umieją, jak trzeba. A jednak mówią.

Nie byłoby wielkości tego przedstawienia, gdyby nie wielcy aktorzy. Ewa Dałkowska w roli trzech matek po kolei mówi jakby z wysiłkiem, nie próbuje technicznych sztuczek, a przecież mamy wrażenie, jakbyśmy dostawali od niej gigantyczną, ostateczną lekcję życia. To samo czułem, kiedy oglądałem ją jako Marię Magdalenę w „Wieczerniku” Ernesta Brylla. Na tym polega aktorska charyzma. Na końcu, w roli zabranej z pobocza szosy Babiny, staje się Dałkowska wielkim uogólnieniem ludzkiego losu. Jak to osiąga?



Pozostała trójka aktorów gra postaci bardziej zróżnicowane, w każdej z historii odmienne. Edyta Olszówka w roli dwóch synowych oraz „córkę marnotrawnej”, Radosław Pazura w roli dwóch synów i przypadkowego słuchacza opowieści, oraz Andrzej Mastalerz jako syn, słuchacz i ekscentryczny Amerykanin – mój Boże, cóż to za ucztą! Mastalerz twierdzi, że to zasługa reżysera. O tyle ma rację, że Barański potrafi wytworzyć

na planie atmosferę poszukiwania dobra. Ale też znalazł do tego odpowiednich partnerów.

Piotr Zaremba

Naukowy irracjonalizm

Profesor Andrzej Jaczewski: nie każdy seks z dziećmi od świętego roku życia powinien być karany. Szokujące? Zmanipulowane? Więc przeczytajmy: „Jeżeli rozważamy zjawisko zachowań seksualnych wobec nieletnich, to wydaje się, że należy dokonać istotnych różnicowań. Podzieliłbym okres rozwoju na trzy grupy: grupa I – małe dzieci do lat trzech, grupa II – średnia od 3 do 8 lat, grupa III – młodzież od 9 lat do pełnoletniości”. „Kontakty dobrowolne i świadome nie powinny być karane przynajmniej w najstarszej grupie”. Jak profesor może pisać tak zbrodnicze bzdury? Może, bo nauka zdradziła dziś człowieka. Nie szuka prawdy. Uzasadnia interesy i pożądlivości.

Prof. Andrzej Jaczewski jest pediatrą i jednym z najbardziej znanych i utytułowanych seksuologów w Polsce. Powyższy cytat pochodzi z książki „Seksualność dzieci i młodzieży. Pół wieku badań i refleksji”, z rozdziału „Problem pedofilii”.

Naukowiec, autorytet, głosi, że seks dorosłych z niepełnoletnimi nie powinien być penalizowany, gdy jest on „dobrowolny i świadomy”. Grupą przyzwolenia jest młodzież „od 9 lat do pełnoletniości”. Przynajmniej. Czyli być może młodsze też.

W środę komisja ds. narkotyków Organizacji Narodów Zjednoczonych przegłosowała usunięcie marihuany z listy środków objętych specjalną kontrolą. Narkotykowe lobby zrobiło kolejny krok w kierunku legalizacji THC na całym świecie.

Legalizacja marihuany jest od ponad 50 lat jednym z postulatów skrajnej lewicy. Pod koniec lat 80. o legalizację twardych narkotyków walczyła partia Ciccioliny. Dziś o legalizację narkotyków walczy ONZ. Dbają o to lobbysci z orga-

nizacji International Drug Policy Consortium oraz „grupy consultingowej” Global C. Marsz przez instytucje udał się rewolucjonistom '68 roku znakomicie.

IDPC jest globalną siecią ponad 170 organizacji pozarządowych, które promują „obiektywną i otwartą debatę na temat polityki narkotykowej na poziomie krajowym, regionalnym i międzynarodowym”. I oczywiście powołują się na badania naukowe. „Pierwotna decyzja o prohibicji konopi nie miała podstaw naukowych i była zakorzeniona w kolonialnych uprzedzeniach i rasizmie”.

Na głoszące nawet skrajne poglądy lewicowe organizacje lobbystyczne idą kolosalne pieniądze. Może więc łatwiej zrozumieć krowie „szaleństwo” doktor nauk prawnych Sylwii Spurek.

Mamy dziś naukowe przyzwolenie dla pedofilii i narkotyków. Szokujące? Wszystkie nowożytnie herezje i ideologie miały naukowe oparcie. Opierały się na twierdzeniach współczesnej im nauki, która z definicji jest w ciągłej fazie rozwoju i ulega przeterminowaniu niemal natychmiast.

Naukowy irracjonalizm ma długą tradycję. Wygłaszający zbrodnicze brednie prof. Jaczewski i naukowcy na usługach przemysłu narkotykowego nie są wyjątkami. Oto architekci zachodniej współczesności kulturowej: seksuolog Kinsey – oszust, antropolog Maed – oszustka, twórca pojęcia gender Money – zbrodniczy oszust, tak samo Wilhelm Reich, uczeń Freuda. Na naukę powoływała się Margaret Sanger, założycielka Planned Parenthood, która opowiadała się za sterylizacją oraz przymusową aborcją ze względu na rasę i pochwalała tezy nazistowskiego programu eugenicznego: „Chcemy, aby w świat poszła wieść, że chcemy eksterminacji murzyńskiej populacji...” (List do doktora Clarence’a J. Gamble’a, 10 grudnia 1939, s. 2).



ROBERT TEKIELI

Naukowcami byli lobotomiści i lewicujący szwedzcy lekarze mordujący jeszcze przed Hitlerem chorych psychicznie, oczyszczając w ten sposób białą rasę. Rasizm był naukowy, naukowa była frenologia. Efektem naukowego badania spirytyzmu była traktowana długo jako nauka parapsychologia.

A dziś? Nauki przyrodnicze nie stosują od kilku dekad metody naukowej, co dopiero mówić o tak zwanych naukach humanistycznych. Julien Benda opisał w 1927 r. w „Zdradzie klerków” tylko początek końca procesu degeneracji zachodniej kultury. We wcześniejszych stuleciach – pisał – prawdziwi myśliciele, Kant czy Goethe, głosili, iż postępować należy w myśl zasad takich jak prawda, sprawiedliwość czy dobro. W XX w. intelektualści i artyści dali się ponieść namiętnościom narodowym, społecznym oraz politycznym. Sprzedali się ideologiom. Potem zrobili to naukowcy – humaniści. Ale zdrada klerków to były igraszki. Prawdę zdradzili również przyrodnicy.

Nauka zrezygnowała dziś z empirii, zastąpiły ją modele komputerowe, które dadzą taki wynik, jaki został zawarty w przedzałożeniach. Wizytując dzisiejsze zachodnie uniwersytety, Arystoteles czy Popper dostaliby zawału.

Nauka zdradziła ludzkość. Zdradziła naszą budowaną na racjonalności cywilizację. Zdradzono nie tylko świętego Tomasza, perfidnie zdradza się dziś także Kartezjusza. Zamiast prawdy, dobra i piękna: gruzi.

Nad pierwszym polskim filmem oryginalnym na Netflixie „*Erotica 2022*” pracowało pięć reżyserów i pięć pisarek. Krytyczki szykowały się na feministyczną bombę. Mie-



⊗ **Niewarte**

liśmy zobaczyć „kobiety jako produkty”, „świat represjonowanego seksu”, „macierzyństwa będące obowiązkiem”, rzeczywistość „emocjonalnej represji i patriarchalnej dominacji”. A mamy miejscami obelśny zlepek papierowych historii, przesiąkniętych nienawiścią do mężczyzn, plus sceny erotyczne przekraczające granice soft porno. Mieliliśmy mieć gwarantowany przez nazwiska Olgi Tokarczuk i Agaty Buzek rozstrzygający cios w patriarchalny terror kaczynizmu. A tu: pff, kapiszon, pardon, bomba „Wyborczej”. Miał być apel do Polek: taka będzie Polska w 2022 r., jeśli nadal PiS będzie rządziło z Kościołem ręką w rękę, a kobiety się nie zbuntują. A tu na Temat napisał o tym filmie: „szmira”, a nota na FilmWebie o 0,2 punktu wyższa niż „Kac Vegas”. Niektóre stalinowskie produkcyjniaki były finezyjniej opowiedzianą propagandą. Wniosek końcowy po obejrzeniu „całości”? Zabić mężczyzn! Producent napisał: „Świat przedstawiony w filmie nie jest prawdziwy, lecz bardzo wiarygodny”. Dodajmy: i wyrafinowany jak Marta Lempart.

reż. *Olga Chajdas, Anna Jadowska, Kasia Adamik, Jagoda Szalc, Anna Kazejak, nowele filmowe, sci-fi, dramat społeczny, Polska / USA, premiera 25 listopada 2020*

A w TVN film „*Alicja i żabka*”. Kolejna „szalona, kolorowa i rozśpiewana” opowieść o 14-latkę, która zachodzi w niechcianą ciążę i chce dokonać aborcji. Reżyserka filmu, aktorka Olga Bołądź, powiedziała „Gazecie Wyborczej”:



⊗ **Niewarte**

„Dziewczyny (członkinie fundacji Gerlsey) uświadomiły mi, że jeśli mówię: »nie jestem przeciwna aborcji, ale sama bym jej nie zrobiła«, to moje stwierdzenie po przecinku kogoś wyklucza, piętnuje kobiety, które to przeszły. Wcześniej nie zdawałam sobie z tego sprawy”. Cytuję, bo pranie mózgu weszło na wyższy level. Lepiej zabić, niż wykluczyć. Czy tak trudno jest zobaczyć, że źródłem takich dramatów jest kultura wmawiająca dzieciom, że nimi nie są, a którą promują i TVN, i „Gazeta Wyborcza”?

reż. *Olga Bołądź, dramat/krótkometrażowy, Polska, premiera 31 maja 2020*

⊕ **Warte**

Dziś ze świadectwa życia celebrytów i pop-kulturowych idoli, którzy we współczesnej odmianie cywilizacji liberalnej odgrywają rolę autorytetów, wynika proste przesłanie: kradnij, zabijaj, cudzołóż, ciesz się grzechem i publicznie chwal się aborcją, bo mieszkanie było za małe. A Czesław Ryszek mówi swą książką o interwencjach Matki Bożej: Polsce potrzebne jest dziś mocne nadprzyrodzone wsparcie.

W Portugalii narodowa krucjata różańcowa zapoczątkowana została wiosną 1974 r. przez czołowe portugalskie intelektualistki z błogosławieństwem biskupa Fatimy, w chwili gdy kraj był zagrożony marksistowską dyktaturą. Po półtora roku, 23 listopada 1975 r., liczba uczestników krucjaty przekroczyła milion, czyli 10 proc. ludności Portugalii. Dwa dni później zdarzył się cud. Zamach stanu przygotowywany od kilkunastu miesięcy przez komunistów został zdławiony. W Portugalii rozpoczęła się prawdziwa demokracja.



Cztery lata trwało na Węgrzech, by na apel prymasa w krucjacie różańcowej w intencji ojczyzny wzięło udział 2 mln wiernych. Ochrona życia poczętego, obrona małżeństwa kobiety i mężczyzny, obrona suwerenności – na Węgrzech gołym okiem widać dziś duchowe odrodzenie narodu.

Podobnie było w przypadku innych wielkich krucjat różańcowych: Krucjata Różańca Rodzinnego o. Peytona, krucjata austriackiej czy brazylijskiej. Dziś znów mamy czasy wielkich cudów różańcowych, takich jak Lepanto czy Wiedeń. „Przybyłem, zobaczyłem, Bóg zwyciężył”. Bóg, bo w różańcu najważniejsza nie jest Maryja. Ta modlitwa jest rozważaniem tajemnic życia i dzieła Chrystusa.

Na fresku Michała Anioła „Sąd Ostateczny” w kaplicy Sykstyńskiej widzimy w pobliżu Maryi ogromny różaniec, po którym dusze wspinają się do nieba jak po drabinie. I to też moje doświadczenie: jestem pewien, że odmawiany od 24 lat wspólnie różaniec uratował moje małżeństwo. Różaniec: kotwica nadziei, lekarstwo dla chorych na duchu. I książka o świadectwie wiary i życia ludzi modlących się tą prostą modlitwą.

„Polska nie zwycięży bronią, ale modlitwą, pokutą, wielką miłością bliźniego i różańcem” powiedział kardynał August Hlond, modląc się na ruinach katedry we Wrocławiu w najczarniejszych czasach stalinowskiej opresji. 10 proc. Polaków to będzie...

Czesław Ryszek, „*Drabina do nieba. Dzieje różańca*”, Wydawnictwo Biały Kruk, Kraków 2020

Robert Tekieli
Polskie Radio



Wojciech Stanisławski

Lud stoi cichy, czarny, błotny

*Potrzeba napisania historii „oddolnej”, „ludowej”,
oddającej sprawiedliwość i doświadczenia tych
w sukmanach, opończach, fartuchach, chałatach
i drelichach jest oczywista*

Ludowa historia Polski” to tytuł niezwykle. Przygotowywany przez lata, dyskutowany rok temu na IBL-owskiej konferencji, obejmujący bez mała całe polskie tysiąclecie, z ambicją sformułowania „kontrnarracji” lub przynajmniej opowiedzenia tego tysiąclecia w sposób zupełnie inny niż dotychczas. Z ambicją obrazoburczości, z ogromnym potencjałem krytycznym, choć może nie jest to tytuł aż tak rewolucyjny, jak marzyłby autor. Rzecz cierpka, chwilami nieprzyjemna w lekturze, nieprzejednana i niekonwencjonalna. A zarazem jedna z ważniejszych prac historycznych tego roku, wymagająca uważnej lektury w miejsce załatwienia odmownego epitetem „neomarksizm”, nader ostatnio modnym i nadużywanym. Pełna ocena czy polemika wymagałaby – ech, marzenia recenzenta o kolumnach druku, niczym ziemianina o hektarach! – miejsca na kopę przypisów. Na tych łamach warto przynajmniej przywołać założenia i tezy tej „Ludowej historii”, kładącej się ciężko na dworkowy samozachwyt jak tłusta gruda ziemi.

Pierwszej motywacji do pisania takiej historii można by pewnie szukać w potrzebie starej jak świat i wspólnej nie tylko historykom: nazwania tego, co nieopowiedziane. Nieopowiedziane są, naturalnie, przegrani i klęski, miłoszowskie „Miasta bez imienia” – ale, na innym poziomie, przede wszystkim pokolenia homines laboriosi, które zawsze „odchodziły w sukmanach, kurtach i opończach / po dawnemu się męczyć nad nie swoją rolą”. Kto raz zda sobie sprawę, jak dalece historia – nawet solidna, „pozytywistyczna”, niestroniąca od narzędzi socjologii czy statystyki, wolna za to od szkarlatu i złota różnych „Kronik królewskich”, jest historią rządzących, elit, w najlepszym wypadku – państwa, może poczuć lęk albo gniew na myśl o tych milionach, miliardach, które „kończyły się tam, gdzie ich złudzenie”, po których nie zostały ani pomniki, ani imiona. Może to być lęk metafizyczny, ale i gniew historyka – i tak naprawdę dziwić się należy, że dopiero w XX w. na serio postawiony został, przez Luciena Febvre’a, współtwórcę „Annales”, postulat pisania historii „oddolnej”, „ludowej”, oddającej sprawiedliwość i doświadczenia tych w sukmanach i opończach (oraz fartuchach, chałatach i drelichach, dodajmy).

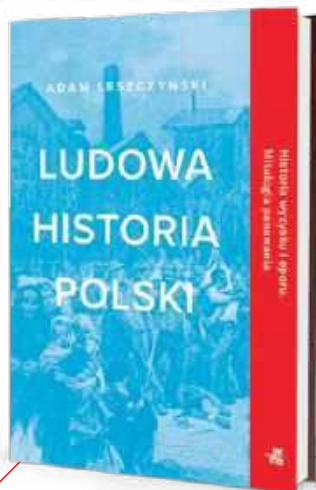
Ten postulat jest tak naprawdę niemożliwy do zrealizowania: nie da się odtworzyć losów tych pokoleń, jeśli ich imię nie zawisło gdzieś, jak chłopa Kwiecika, wspomnianego w XIII-wiecznej „Księdze

henrykowskiej”, na marginesie traktującego o innych sprawach źródła. A i później zostają po nich w najlepszym razie supliki, wykazy dniówek, postulaty. Analfabeci nie piszą pamiętników i nie mają biografów. To nienaprawialne – ale rodzi gniew i impuls, by opowiedzieć przynajmniej „całe dzieje” z ich perspektywy. Pokazać np. – jak zrobił to Howard Zinn, autor „Ludowej historii Stanów Zjednoczonych” (wyd. polskie 2016), książki przewrotnej, w pewnym sensie wzorcowej dla Leszczyńskiego – „piękny wiek XIX”, czas postępu, pokoju i dobrobytu, jako „wiek podbojów, przemocy, głodu i wyzysku”.

Tak można, tak trzeba opowiedzieć również historię Polski – jako perspektywę, której brakuje, jako, pozwólmy sobie na to kulawe porównanie, jej lewą nogę. Akademicy historycy próbują tego od stu lat, i być może Adam Leszczyński mógłby w większej mierze oddać sprawiedliwość Franciszkowi Bujakowi, Janowi Rutkowskiemu czy Marianowi Małowistowi (by wymienić tylko zmarłych klasyków). Nie da się jednak ukryć, że był to zawsze tylko jeden z wielu nurtów badawczych: trochę przyczynkarski, trochę nieefektywny, trochę skompromitowany w czasach PRL, kiedy opisy ucisku ludu traktowano, niebezpiecznie, jako jedno z narzędzi legitymizacji niechcianej władzy. Perspektywa opisanego doświadczenia „ludu” (który początkowo składał się, to jasne, niemal wyłącznie z włościan, z czasem jednak weszli w jego skład również czeladnicy,

panny służące, Żydzi i robotnicy, z czasem przemawiający najgłośniej), którą obiecuje książka Leszczyńskiego, jest więc fascynująca. Pozwala też w pełni zrozumieć i rozgrzeszyć dykcję, czasem popularyzatorską, czasem publicystyczną: nie da się napisać akademickiej „Ludowej historii Polski” w jednym tomie (choćby miał, jak u Leszczyńskiego, 2060 przypisów!). Siłą tej książki nie jest przywołanie nieznanymi źródeł czy faktów, lecz ich wymowne zestawienie.

Nie potrafię zgodzić się z dwoma jej założeniami – dodajmy, głęboko prześmyślanymi przez autora. Jedno, to prezytystyczne w moich oczach, i zbyt już upraszczające, nałożenie na czas od Kmiećka po strajkujące w 1981 r. prządki z Żyrardowa jednego wzorca relacji: ist-



Adam Leszczyński,
„Ludowa historia Polski. Historia wyszku
i oporu, mitologia panowania”,
W.A.B., 2020

nieją „elity”, które „zabiegają o poparcie warstw ludowych, składając im emancypacyjne obietnice”: w roku 1794 czy 1848, 1989 czy 1905. Tak, można w ten sposób spojrzeć na dynamikę oporu, negocjacji i rządzenia, dostrzec wspólne elementy postawy ziemianina, fabrykanta i biznesmena III RP. To jednak za mało, by odlać z tego sztancę tłumaczącą dzieje. Psuje w moich oczach ten tekst publicystyczny zapal autor, który bardzo chciał napisać „historię krytyczną”, tekst mobilizujący i robi to – bez umiaru stawiając oskarżenia o „nacjonalizm” i wsadzając szpilę za szpilą IPN. Po trzecim... – ale to temat na odrębną polemikę. Żadna z tych wad nie usprawiedliwia tego, by pracę Leszczyńskiego przemilczeć lub odrzucić.

Wiek męski na prowincji

Co starsi – a tym będzie się czytało „Ostatnią okazję” najlepiej, bo odnajdą w niej wiernie odтворzoną końcówkę lat 80. – pamiętają jeszcze pewnie historyjkę obrazkową Andrzeja Mleczki z czasów, kiedy temu sędziwemu rysownikowi przychodziły do głowy koncepcje lepsze niż wyśmiewanie na okrągło „moherów” z haczykowatymi nosami oraz 500+. Historyjka była okrutna i błyskotliwa: kilka sekwencji życia biurowego i towarzyskiego w ich stężonej banalności („Ktoś ukradł mi z szuflady długopis... Upiłem się jak jasna cholera...”) puentowane było przez bohatera w ostatniej kratce minikomiksu: „Tonąłem... Przez głowę przelatywały mi najbardziej dramatyczne doświadczenia mojego życia”.

I tak to zwykle jest, w podobnym czasie, choć w innym stylu, napisał o tym zjawisku Mrozek w jednym ze swoich „Małych listów”, traktujących o terrorze najbliższych pięciu minut. Ktoś wstaje, siada, zerka przez okno, zalewa lekko wystygłym wrzątkiem (oksymoron) herbatę, poprawia spodnie. Spiesz do przystanku, kałuża, mokro w półbutach, uciekł, będzie następny. Przetłuszczony papier kanapki, schował się gdzieś paragon z pralni, pomyliłem PIN.

Jak to, i to z takich kaprawych atomów ma się składać moje niepowtarzalne wielkie życie?

Literatura nazwała po raz pierwszy ten fenomen w rozkwicie mieszczaństwa, na progu nowoczesności (czyżby wcześniej ludzie bardziej byli dopasowani do swojej brudy?), i od tego czasu, od kopisty Bartleby’ego i Oblomowa, straszą nas i śmieszą bohaterowie, którzy rozmienili swój los na drobne. Opisanie ich jest jednak nie lada wyzwaniem dla autora: znacznie bowiem łatwiej zainteresować czytelnika przegodami hrabiego Monte Christo, Yossariana czy Antka z „Madame” (lub bodaj Bourne’a) niż losami kogoś, kto poległ w starciu z terrorem pięciu minut, kto rozwlekle nawija („i tego”), jak to kiedyś jechał pociągiem, znał dziewczynę, zmarnował biznes, zrobił pół litra. Od takich banalistów stronimy na przyjęciu i weselu: jak zrobić z ich monologu literaturę?

Zbigniewowi Dmitrocy to się udało, być może dzięki sięgnięciu po wielką prawdę mistrzów pióra: bierzysz temat i go piłujesz do upadłego. Przypadki Krzyśka, narratora (w których jest, zdaje się, spory kęs doświadczeń autora) miotającego się między Gdańskiem,



Zbigniew Dmitroca,
„Ostatnia okazja”,
PIW, 2020

Poznaniem, Lublinem/Wróblinem a rodzinnym miasteczkiem, między Asią a Justyną, między lumpenbeztroską a nadziejami młodego aspirującego literata, rok 1989 z całą jego groteskowością (wolność, niepodległość, hiperinflacja), ogładane w dodatku w mocno łuszczącym się lustrze – minęło 30 lat! – byłyby mocno niestrawne jako monolog, nawet jako nowelka. Skondensowane i przepracowane stanowią zapis „wieku kłęski” ambitnego chłopaka z Polski B, rozczarowania niepowodzeniami na le śmierć polskiej prowincji – piw, pekaesów, prezesów, rozmów o tym, kto był TW, i wiecznych kłopotów z etatem. Zapis sierniężności, proza rodzajowa.

Konfucjusz i Sokrates - jak żywi



**JAKUB AUGUSTYN
MACIEJEWSKI**

Niewielu autorom książek o filozofii czy myśli politycznej udaje się wyrwać dziedzictwo wybitnych postaci z ram abstrakcji czy odległych porównań. Prof. Andrzej Nowak robi to z łatwością

Jeden z najdziwniejszych wykładów prof. Nowaka odbył się 10 lat temu w piwnicach krakowskiej kamienicy przy ul. św. Tomasza, tuż przed Bożym Narodzeniem, kiedy po tragedii smoleńskiej pozostała w nocnych Polaków rozmowach jakaś dojmująca pustka.

Tamtego wieczoru było inaczej. Profesor wskazywał, że szydercy obrażający pamięć ofiar 10 kwietnia przegrają, a na dowód przytaczał fragmenty z... „Poetyki” Arystotelesa. Każda struktura tragedii, opowiadał Nowak, ma swój patos, rozpoznanie (anagnorisis) i perypetie, czyli „odwrócenie biegu zdarzeń w kierunku przeciwnym intencjom działania postaci”. Słowem: rzeczywistość miała kpiarzyć jeszcze zaskoczyć. Włączenie w dyskusję o niedawnej tragedii głosu Arystotelesa wydawało się nieco abstrakcyjne, ale ta łatwość, z jaką historyk przekładał na współczesności ślady klasyków filozofii, okazała się trafna.

Z WYKŁADÓW – KSIĄŻKA

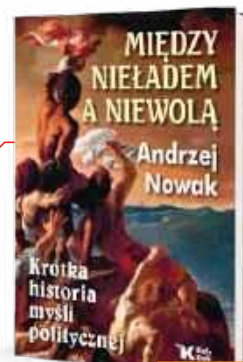
Mając w pamięci celność tamtego wykładu, tym chętniej sięga się po najnowszą książkę prof. Nowaka „Między nieładem a niewolą. Krótka historia myśli politycznej”. Przedstawia ona dzieła filozofów od

pierwszych chińskich mędrców, przez klasyków Grecji, średniowiecza, po nowożytnych i współczesnych twórców systemów ustrojowych. Oprócz jednak 400 stron koncepcji Konfucjusza, Laozi, Platona, Arystotelesa, św. Augustyna, św. Tomasza i innych, autor wplata ich założenia w bardzo konkretne, niedawne wydarzenia. I tak oto w agresywnej polityce Putina odnajdujemy nauki chińskich legistów z IV w. p.n.e., a w przeregulowanej dziesiątkami tysięcy aktów prawnych Unii Europejskiej pokazuje „zaprzeczenie idei zdrowego prawa, o którym mówi św. Tomasz”. Dzięki odnajdywaniu filozoficznych nici we współczesnej polityce traktaty sprzed setek i tysięcy lat nie są już suchą abstrakcją z akademickich podręczników.

Przykład chiński jest o tyle obrazowy, że wydaje się jak najdalszy od europejskich realiów, a jednak prof. Nowak pokazuje jego aktualność: „Uczniowie Han Feizi i pana Shang są między nami do dziś. Uczniów z WSI albo po kursach GRU »odziedziczyliśmy« po czasach panowania Moskwy. »Szkoła legistów« była wysoko ceniona w Rosji. Kiedy zacząłem się nią interesować na początku lat 1980., teksty te nie były dostępne po polsku, za to wszystkie były tłumaczone na rosyjski. Mogłem dzięki temu – bo chińskiego przecież nie znam – poznawać owe arcana władzy totalitarnej w rosyjskim przekładzie”.

NA CZAS KRYZYSU

Co ważne ciągłość myśli politycznej jest pokazana także wśród filozofów wspólnoty Zachodu, którzy – tak jak to się działo w przypadku Sokratesa – potrafili odnaleźć pierwiastek duszy i Boga na kilka wieków przed chrześcijaństwem, a w dyskusjach Platona i Arystotelesa chęć odkrywania prawdy. W tej „Historii myśli...” rozważania św. Augustyna ukła-



DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

„Między nieładem a niewolą. Krótka historia myśli politycznej”,
Andrzej Nowak,
Biały Kruk

dające w hierarchii państwo Boże z ziemskim pozwalają nam nie tylko rozeznaczyć okres schyłkowego Rzymu, lecz i odnaleźć dzisiejsze państwa narodowe. „Po państwie lub mieście następne z kolei miejsce zajmuje świat. W nim upatrują trzeci stopień społeczności ludzkiej ci, którzy zaczynając od domu rodzinnego, przechodzą potem do miasta, by w końcu pójść jeszcze dalej i dojść aż do świata”.

Zwłaszcza w okresie światowego przesilenia opowiadanie raz jeszcze o korzeniach liberalizmu i marzeniach oświeconych mistrzów o totalnej kontroli nad społeczeństwem pozwalają świeżym spojrzeniem objąć tarcia w świecie Zachodu.

Osobnym wkładem tej książki jest blisko 100-stronicowy rozdział o polskiej myśli politycznej, która w swoim złotym okresie (zwłaszcza XVI w.) obejmowała obszar większy niż granice Rzeczypospolitej.

Poczucie bliskości myśli politycznej, które towarzyszyło słuchaczom prof. Nowaka w grudniu 2010 r., nie wzięło się znikąd – autor wyznaje, że książka jest przepracowaną wersją jego licznych wykładów – wygłaszanych przez ostatnie trzy dekady. Myśl polityczna w niej zawarta to coś więcej niż czysta teoria.

Czy uda się przywrócić szacunek dla prawa i zdrowego rozsądku na polskich uczelniach

Walczmy o polskie uniwersytety

„Nie ma nic gorszego niż człowiek wykształcony ponad własną inteligencję” – to słynne zdanie nieodżałowanego polskiego satyryka, dramaturga i aktora Jerzego Dobrowolskiego odnosiło się do wielu przedstawicieli tzw. elit naukowych PRL, w których mniemaniu sam fakt posiadania tytułu naukowego stanowił nobilitację dla każdego zdania i poglądu głoszonego przez jego posiadacza bez względu na to, jak idiotyczny i oderwany od rzeczywistości byłby ów pogląd. W dzisiejszych czasach ta słynna teza Dobrowolskiego znów jest niestety aktualna za sprawą lewackiej rewolucji, jaką obserwujemy w całym zachodnim świecie akademickim, w tym niestety i w Polsce

Jerzy Dobrowolski był osobą wykształconą, ukończył warszawską PWST, natomiast rozpoznawalność zdobył głównie dzięki aparycji „cwaniaczka”, kutego na cztery nogi spryciarza, które to cechy najpełniej można zobaczyć w komedii „Nie ma róży bez ognia” Stanisława Barei, gdzie Dobrowolski zagrał Jerzego Dąbczaka, czarującego prześladowcę głównego bohatera. Dobrowolski nie wyglądał więc wcale na naukowca, nie budował swojego autorytetu na posiadanym wykształceniu zawodowym, ale na zdrowym rozsądku, znajomości świata, trafnej ocenie rzeczywistości. Po zacytowanym na początku zdaniu można się domyślać, że w swoim życiu spotkał aż nadto wiele osób, które był w stanie zdemaskować jako zdecydowanie mało rozgarnięte, a które starały się nieudolnie ukrywać swoją nędzę intelektualną za fasadą tytułów naukowych chętnie rozdzielanych przez katedry upstrzone portretami Marksa czy Lenina.

„ARGUMENT” SIŁY, BO SIŁY ARGUMENTÓW BRAK

Jerzy Dobrowolski zmarł w 1987 r., nie doczekawszy roku 1989, kiedy polski świat akademicki został wreszcie uwolniony z krępujących go oków tzw. naukowego socjalizmu, tak samo utopijnego jak każdy inny. Niestety po dwóch dekadach względnej uczciwości i wolności w świecie naukowym na polskie uczelnie zaczął ten nurt powracać, i to w wydaniu bardzo agresywnym, mianowicie lewacko-genderowym. Forma opresji wobec naukowców, którzy nie chcą się podporządkować tej tendencji, jest ze strategicznego punktu widzenia o tyle zrozumiała, że swoją dominację ideologia gender może zdobyć jedynie poprzez poczynania siłowe. Podobnie jak prawdziwa cnota, która krytyki się nie boi, tak i praw-

dziwa nauka nie boi się weryfikacji poprzez narzędzia akademickie i nie musi się uciekać do opresji ani prześladowań wobec swoich przeciwników. Inaczej jest w przypadku pseudonauki, czyli właśnie ideologii, która rości sobie nienależne prawa do uznania za byt wytworzony z racjonalnych, dobrze udokumentowanych przesłanek. Mając pełną świadomość porażki w przypadku podjęcia próby zapanowania owej ideologii na gruncie racjonalnym, jej akolici muszą się uciekać do tworzenia narzędzi opresji, świadomego oszustwa, a wreszcie pewnie, jak działo się to w przypadku wszelkich totalitaryzmów, fizycznej eliminacji przeciwników.

RELEGOWAĆ NIEPOKORNYCH

Jeśli chodzi o świat akademicki, możemy się spodziewać, że za kilka lat nie dopuści on w swoje szeregi nikogo, kto nie zadeklaruje np., że człowiek rodzi się bez płci i dopiero później „nabywa jej” w procesie wychowania i narzucania ról społecznych, że płci jest kilkadziesiąt czy że w parach homoseksualnych także rodzą się dzieci. Oczywiście rozwiązania siłowe, relegowanie ze swoich szeregów niepokornych wykładowców i naukowców nie będzie wcale oficjalnie prezentowanym modus operandi, gdyż wszystko zostanie podlane odpowiednio spreparowanym sosem „naukowym”. Znajdą się odpowiednie badania i opracowania, które wszystkie powyżej wymienione absurdy podniosą do rangi odkryć naukowych godnych XXI w. Jedynie istnienie odważnych, rozsądnych ludzi, którzy będą potrafili stawiać opór temu zjawisku tak długo, jak się da, nie zważając na obelgi czy groźby kierowane pod ich adresem, może ten proces opóźnić.

Czy jest to jeszcze możliwe i da się odzyskać polskie uczelnie dla uczciwego i rzetelnego kształcenia przyszłych pokoleń Polaków? Na razie pytanie to pozostaje bez odpowiedzi. ●



Wojujący feminizm jako wykładnia prawna UE. Kiedy gender studies stało się nauką?

Kto z nas nie czytał w ostatnich latach o „ideologii gender”, „gender studies” czy „gender mainstreaming”? Można chyba zaryzykować tezę, że to najpopularniejsze hasła publicystyki ostatnich lat. Nawet jeśli nie interesuje nas tematyka, to sama tylko liczba tekstów napisanych na temat „gender” zmusza nas do potraktowania tego zjawiska jako czegoś, co stanowi ważny punkt odniesienia w naszym myśleniu o świecie

Skoro tak wiele wszyscy mówimy, piszemy i czytamy, to czy wiemy, co oznacza to pojęcie? Czy na pewno wszyscy używający tego słowa wskazywałiby na tę samą definicję? Przeanalizujmy ten fenomen i zastanówmy się, z czego wynika jego niezwykła kariera.

GENDER JAKO POJĘCIE

Już na początku należy poczynić zastrzeżenie, że nie ma takiej definicji, która wyczerpywałaby mnogość znaczeniową i kontekstową, w jakich współcześnie używane jest pojęcie „gender”. W swoim najbardziej pierwotnym znaczeniu (choć niepozbawionym kontrowersji i sporów) słowo to odsyła nas do „płci kulturowej” rozumianej głównie jako „rola społeczna”. Leksykalnie zaś „gender” oznacza taką sumę zachowań i cech jednostki, która nie wynika z bezpośrednio z biologicznych uwarunkowań płciowych. Czy po tej definicji wszystko jest już jasne? Cóż, ciężko oprzeć się wrażeniu, że nieszczególnie.

Spróbujmy zatem odwołać się do definicji zaproponowanej przez Światową Organizację Zdrowia (WHO), wg której „gender” odnosi się do społecznych konstruktorów cech kobiet, mężczyzn, dziewcząt i chłopców, takich jak normy, zachowania, role związane z byciem kobietą, mężczyzną, dziewczynką i chłopcem, a także do relacji między sobą. Jako konstrukt społeczny gender różni się w za-

leżności od społeczeństwa i może zmieniać się w czasie. Gender jest hierarchiczne i powoduje nierówności, które przecinają się z innymi nierównościami społecznymi i ekonomicznymi”.

Dobrze, próbowaliśmy. Wciąż nie do końca wiemy, czym jest „gender”, choć chyba rozumiemy już, iż jest to kulturowe uzupełnienie pojęcia „sex” (płeć biologiczna). Wiemy też, że mamy do czynienia z terminem, któremu treść nadaje nie tyle natura, ile kultura i społeczeństwo. Jednocześnie widzimy, że nie trzeba być filozofem analitycznym, by odczuwać, że definicja omawianego tu pojęcia jest w wysokim stopniu niejasna i nieprecyzyjna. Pozwala w zasadzie na pełną uznaniowość, co jest oczywiście niezwykle wygodne dla urzędników, polityków i aktywistów, którzy używają „gender” jako oręża do prowadzonej przez siebie walki.

GENDER A PRAWO, CZYLI KTO W UE JEST KOBIETĄ?

Dla humanistyki niejasna definicja „płci kulturowej” byłaby problem tylko i wyłącznie akademickim. Jest jednak „gender” także pojęciem prawnym, a to już rodzi wiele poważnych konsekwencji dla nas wszystkich. Mówiąc o aspektach prawnych, wspomnieć trzeba przede wszystkim, iż w 1999 r. wszedł w życie podpisany dwa lata wcześniej traktat amsterdamski, który w artykule drugim

odwołuje się do „gender mainstreaming” jako... strategii politycznej Unii Europejskiej.

Czym jest „gender mainstreaming”? Najprościej byłoby wytłumaczyć, iż jest to taka polityczna agenda, która za swój cel obiera w pełni równe traktowanie kobiet i mężczyzn na wszelkich możliwych do pomyślenia płaszczyznach. To jednak nie wystarczy nam do zobrazowania przełomowych zmian, które przyniósł traktat amsterdamski w unijnym prawodawstwie.

Przede wszystkim twórcy traktatu uznali, że dotychczasowa walka o równouprawnienie kobiet i mężczyzn była nieskuteczna z powodu braku wystarczająco dobrego prawa. Między innymi dlatego w miejsce pojęcia „równouprawnienie płci” traktat amsterdamski wprowadził pojęcie „równości płci”. Drugą kluczową zmianą stało się

„Płeć kulturowa” jest produktem tak szerokim, że można zapakować w niego niemal wszystko i dowodzić, że robi się to dla czyjegoś dobra.

zastąpienie „płci biologicznej” (sex) pojęciem „płci kulturowej” (gender). Wprowadzenie tego pojęcia do prawa międzynarodowego zaowocowało istnieniem kategorii prawnej płci niezależnej od płci biologicznej. Jednocześnie stało się jasne, że kategoria płci biologicznej nie może być, w świetle europejskiego traktatu, podstawą instytucji społecznej takiej jak np. rodzicielstwo czy małżeństwo. A jeśli nie jest tą podstawą płeć biologiczna, to jest nią... Oczywiście.

Warto podkreślić, że traktat amsterdamski uznał „gender mainstreaming” za centralne pojęcie całej polityki społecznej Unii Europejskiej. Zmiana definicji płci z biologicznej na kulturową obowiązuje „we wszystkich dziedzinach życia i na wszystkich jego płaszczyznach”. Wyjaśnijmy zatem raz jeszcze. Do bardzo ważnego aktu normatywnego wprowadzono definicję, której konsekwencje widoczne są w życiu społecznym, kulturalnym, prywatnym, rodzinnym a nawet intymnym. Ponadto uznano, że jednym z podstawowych celów wspólnoty i jej polityki jest obowiązek kontrolowania wszystkich dziedzin życia społecznego i prywatnego w celu „implementacji” polityki równościowej i nadzoru nad jej skutecznością.

DLACZEGO NA TO POZWOLILIŚMY, CZYLI GENDER A HISTORIA

Jak powszechnie wiadomo, ruchy feministyczne tzw. pierwszej fali, które szczególnie aktywne stały się w XIX w., nie podejmowały zagadnień związanych z życiem seksualnym. Obiektem troski ówczesnych feministek była walka o podmiotowość prawną i polityczną kobiet. Druga fala

feminizmu, czyli pokolenie roku 1968, skupiła się na zrównaniu kobiet i mężczyzn na płaszczyźnie zawodowej i edukacyjnej. Pojawiły się postulaty odrzucające aktywność domową kobiet, które miały się rozwijać poza macierzyństwem, rodziną i domem, a na sztandarach po raz pierwszy niesiono hasła prawa do aborcji i wolności seksualnej.

Simone de Beauvoir, której książka „Druga płeć” uznana jest za jedną z klasycznych prac feminizmu, pisała wówczas, iż kultura zniewala kobiety, bo przystosowuje je do bierności i uległości. Jeszcze dalej poszła Betty Friedan, czołowa amerykańska przedstawicielka drugiej fali feminizmu, która pisała: „Kobiety, które dopasowują się do roli gospodyni domowej, które dorastając, chcą być po prostu gospodynią domową, są w takim samym niebezpieczeństwie jak miliony ludzi, które szły na śmierć w obozach koncentracyjnych”.

Próbę wyjścia z tego „obozu” przyniosła kobietom trzecia fala feminizmu, w której pojawia się feminizm gender, według którego role społeczne zostały wyznaczone przez męską dominację.

Feministki takie jak np. Judith Butler postulują, by „skończyć z podziałami” i zatrzeć różnice poprzez zmianę zwyczajów i ról społecznych. Butler pisała wprost, że płeć biologiczna nie może być wiążąca i nie powinna narzucać zachowań społecznych. Zdaniem amerykańskiej feministki naszą płeć kulturową definiuje nie to, kim biologicznie jesteśmy, ale to, jak się zachowujemy. To dlatego płeć biologiczna nie może być podstawą niczyjej tożsamości.

Opisane wyżej teorie trzeba zestawić z wyjaśnieniem feminizmu jako takiego. Jedna z najlepszych definicji tego pojęcia pochodzi od polskiej uczoney, Zofii Zdybickiej, która zwróciła uwagę na paralelę pomiędzy feminizmem a marksizmem. Kluczowy dla obu myśli jest rewolucyjnie nastawiony duch walki, w jednym przypadku jest to walka płci, w drugim walka klas. O ile teoretycznym celem marksizmu było stworzenie społeczeństwa równego i bezklasowego, o tyle celem feminizmu jest stworzenie społeczeństwa zrównującego kobiety i mężczyznę poprzez zniesienie pojęcia płci biologicznej na rzecz płci kulturowej.

Warto dodać, że jednocześnie Zdybicka stwierdza, iż feminizm „faktycznie jest [...] uznaniem wyższości mężczyzny i wyrazem kompleksu niższości kobiet, płynącym z uznania wyższości funkcji i zachowań męskich, stąd starania kobiet o wejście na „pozycję męskie” (patrz Zofia J. Zdybicka „Dlaczego kompleks feminizmu?”). Starania, dodajmy, wsparte bardzo silnie wieloma unijnymi instytucjami, traktatami i zorientowanymi na „rewolucję” NGO.

Jednym z pytań, które z pewnością nasuwają się po przeczytaniu powyższych tez, jest to, jak doszło do tego, że normatywne akty wspólnotowe są pisane na podstawie definicji wywodzących się z najbardziej radykalnych odłamów feminizmu? Niełatwo to w prosty sposób pokazać, a odpowiedź możemy udzielić w innym miejscu. Dziś zostawmy czytelnika z innym pytaniem: czy mamy do czynienia z walką o równość płci wobec prawa, czy może raczej z rewolucyjną narracją, której celem jest usankcjonowanie – trudno uciec od tego sformułowania – ideologii? ●



*Rak lewackiej poprawności politycznej
toczy polskie uniwersytety*

Kto nauczy młode pokolenia samodzielnie myśleć?



Ograniczanie wolności słowa poprzez wykluczanie z akademickiej przestrzeni poglądów konserwatywnych jest stosowane niestety także w Polsce, gdzie są na to coraz liczniejsze dowody. Wykładowcy, którzy nie chcą się poddać lewicowej dyktaturze tzw. politycznej poprawności muszą się liczyć z szykanami ze strony władz uczelni, a także donosami ze strony studentów

Otym, jak łatwo zyskać łatkę siewcy „mowy nienawiści”, którego należy relegować z uczelni, przekonało się już w Polsce kilka zasłużonych dla świata akademickiego osób, które z pewnością mogły liczyć na to, że czasy komunizmu, który systemowo krępował wolność głosu własnych poglądów nigdy nie wróci. Niestety identyczna cenzura, powiązana z wyciąganiem bardzo dotkliwych konsekwencji służbowych, z próbą usunięcia z uczelni włącznie, wraca na nasze uniwersytety. Warto przypomnieć najgłośniejsze tego rodza-

ju przypadki. Należy także zwrócić uwagę, że wymienione niżej historie trafiły do przestrzeni medialnej, bo dotyczyły znanych naukowców, można tylko domniemywać, że wiele osób mniej rozpoznawalnych padło ofiarą podobnych nagonek.

KS. PROF. FRANCISZEK LONGCHAMPS DE BÉRIER

Ksiądz profesor jest znanym i szanowanym prawnikiem i bioetykiem. Kilka lat temu udzielił wywiadu, w którym wskazał na medyczne zagrożenia, jakie związane są z procedurą tzw. zapłodnienia pozaustrojowego, czyli in vitro. Zamiast pochylić się nad przywołanymi przez naukowca zjawiskami wylano na niego falę publicznej krytyki za rzekome „szerzenie katolickich bredni”. Gdyby skończyło się na samej krytyce, i to nawet mało merytorycznej, pewnie casus księdza nie byłby godny uwagi. Natomiast zaczęto się głośno domagać konsekwencji, a przedstawiciele Ruchu Palikota wystosowali nawet apel do MEN o wyrzucenie Longchamps de Bériera z uniwersytetów: Warszawskiego i Jagiellońskiego. Na gorzką ironię zakrawa to, że osoby, które nie podjęły trudu jakiegokolwiek merytorycznej polemiki z księdzem

profesorem, argumentowały swój apel tym, że „przedkłada on swoją własną ideologię oraz jakieś zabobony ponad prawdziwą, racjonalną i niepodważalną naukę”. Na szczęście apel ten nie został wówczas przez władze uczelni wysłuchany.

PROF. EWA BUDZYŃSKA

Przykład pani profesor pokazuje, jak zastraszeni dziś potrafią być wykładowcy przez własnych studentów, którym skutecznie sformatowano już mózgi lewacką ideologią i którzy mając usta pełne frazesów o tolerancji i wolności, w praktyce postępują zupełnie odwrotnie. Prof. Budzyńska została pomówiona przez swoich studentów z Uniwersytetu Śląskiego o „homofobię, niechęć do aborcji, radykalny katolicyzm”. Powodem tych oskarżeń było to, że Ewa Budzyńska przedstawiała na swoich wykładach klasyczny model rodziny oraz – jak donosiły media – prezentowała studentom badania o negatywnym wpływie żłobków na rozwój dzieci. Można stwierdzić, że jej poglądy nie szokowałyby nikogo jeszcze 20 czy 15 lat temu. Dziś jednak konserwatywne poglądy czy wizja rodziny, której fundamentem jest związek kobiety i mężczyzny, nie tylko nie znajdują uznania w świecie akademickim, lecz są wręcz piętnowane. W sprawie prof. Budzyńskiej powołano więc na Uniwersytecie Śląskim komisję dyscyplinarną, a jej przedstawiciel prof. Wojciech Popiołek stwierdził, co następuje: „[Prof. Ewa Budzyńska] formułowała wypowiedzi w oparciu o własny, narzucający studentom światopogląd o charakterze wartościującym, stanowiący przejaw braku tolerancji wobec grup społecznych i ludzi o odmiennym światopoglądzie, nacechowane wobec nich co najmniej niechęcią, w szczególności wypowiedzi homofobiczne, wyrażające dyskryminację wyznaniową, krytyczne wobec wyborów życiowych kobiet dotyczących m.in. przerwania ciąży”. Prof. Ewa Budzyńska nie czekała na werdykt komisji, miała ten komfort, że była już w wieku emerytalnym i po 28 latach pracy na chwałę UŚ opuściła tę uczelnię.

PROF. ALEKSANDER NALASKOWSKI, PROF. JACEK BARTYZEL

Ciężkie boje nie tyle o swoje poglądy, ile o wolność publicznego wyrażania opinii muszą toczyć profesorowie z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika. Przekonał się o tym prof. Aleksander Nalaskowski, który ośmielił się użyć mocnych słów w felietonie prasowym dotyczącym nachełnej propagandy środowisk LGBT. Profesor został za wspomniany felieton odsądzony od czci i wiary przez swoich kolegów z UMK, a następnie zawieszony w obowiązkach przez rektora. Inny profesor tej toruńskiej uczelni – Jacek Bartyzel – ośmielił się mocno skrytykować Izrael w czasie dyplomatycznej zawieruchy, jaka nastąpiła między tym państwem a Polską. Za to rektor UMK doniósł na prof. Bartyzela do prokuratury, gdyż doszukał się antysemityzmu, którego to zdania jednak nie podzielili śledczy i umorzyli sprawę.

TYLKO LEWICOWE WYDARZENIA SĄ MILE WIDZIANE

Oprócz restrykcji takich jak próba wywołania środowiskowego ostracyzmu lub wydalenie z uczelni, które skierowane są wprost przeciwko tym naukowcom, którzy nie zamierzają naginać swoich zasad i poglądów pod pręgierzem politycznej poprawności, istnieje wiele przykładów ograniczania debaty poprzez usuwanie z niej „politycznie niepoprawnych” aktywności. Gościnne wykłady, wystawy czy debaty, które mogłyby stanowić merytoryczne zagrożenie dla lewackich tez, nie są dziś mile widziane w świecie uniwersyteckim. Promowane są za to wszelkie inicjatywy związane ze środowiskiem LGBT, ideologią gender czy tezami rewolucyjnymi wobec tradycyjnego światopoglądu. Wśród wielu przykładów przytoczmy chociażby cofnięcie zgody na wykład dr. Tymoteusza Zycha z Ordo Iuris. Zych miał wygłosić wykład zatytułowany „Prawne aspekty ochrony rodziny w szkołach, urzędach i instytucjach

kultury”, a pierwotnym miejscem wydarzenia był Wydział Prawa Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Jednak zgodę szybko wycofano i przeniesiono wykład na Wydział Teologii UAM, choć przecież dotyczył on kwestii prawnych, a nie teologicznych. W ten sposób próbowano jednak osiągnąć wrażenie, że kwestie ochrony życia mają jedynie religijne inklinacje. Wspomniane Ordo Iuris alarmowało także o odwołanych wykładach holenderki Irene van der Wende oraz dr Wiesławy Stefan, które miały dotyczyć badań na zjawiskiem syndromu poaborcyjnego. Jak informowało Ordo Iuris, wykłady obu pań odwołały aż dwie polskie uczelnie, jako powód wskazując... protesty studentów.

Na przeciwnym biegunie widzimy przykłady z ostatnich dni, kiedy młodzież akademicka była często wręcz zachęcana przez większość kadry akademickiej do udziału w wulgarnych protestach proaborcyjnych. Na tych wykładowców, którzy nie życzyli sobie, by podczas prowadzonych zajęć online manifestowano poglądy proaborcyjne, zazwyczaj poprzez umiejscowienie w widocznym miejscu czerwonej błyskawicy, natychmiast wylewała się fala hejtu. Powyższe przykłady dowodzą, że wolność głoszenia poglądów, uczciwa nieskrępowana debata czy możliwość poznania argumentów wszystkich stron najbardziej zapiekłych sporów nie są dziś niestety obecne w akademickiej przestrzeni w Polsce. Walkę o przywrócenie tych wolności zapowiedział nowy minister edukacji Przemysław Czarnek, za co już spotkała go gigantyczna krytyka i żądanie odwołania formułowane przez organizatorów ostatnich protestów. ●

Będziemy dążyć do tego, żeby na uczelniach bardzo szybko zapanowała wolność nauki i by również konserwatywny i chrześcijański punkt widzenia na świat, poparty argumentacją wielowiekową i zawartą w tomach opracowań, mógł być również obecny.

Prof. Przemysław Czarnek,
minister edukacji i nauki



„Szkola ciemności” – nauka dla wszystkich pokoleń

Maria Assunta Isabella Visono, znacznie lepiej znana jako Bella Dodd, na świat przysłała w 1904 r. w Picemo, położonym na południu Włoch. Italię opuściła jako pięcioletnie dziecko, gdy jej rodzina wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych. To w nowej ojczyźnie Maria stała się jedną z najbardziej wpływowych osób w Komunistycznej Partii Stanów Zjednoczonych. Jak ta dobrze wykształcona nauczycielka, filozof i prawnik związała się z komunistami? Zanim o tym opowiemy – zaznaczmy bardzo wyraźnie – wiedza, która w czasie swojej politycznej działalności zdobyła Dodd, okazała się bezcenna

JAK SIĘ ZOSTAJE KOMUNISTĄ?

Tu zadecydowały tzw. powody ideowe. Visono, a w zasadzie Bella Dodd, wierzyła, że partia walczy z faszystami o pokój i szczęście ludzkości. Ona sama, jako szefowa związku zawodowego, zabiegała o poprawę warunków pracy i godne wynagrodzenie dla nauczycieli. Z lewicowymi aktywistami zetknęła się po raz pierwszy w czasie studiów pedagogicznych na Uniwersytecie Columbia. Była już zaangażowaną lewicową aktywistką, gdy studiowała prawo na Uniwersytecie Nowojorskim. Równocześnie pracowała jak nauczyciel historii w wielu szkołach. Podróżowała także po Europie, gdzie obserwowała stale rosnące wpływy socjalistów i komunistów.

Podczas pracy w szkole wstąpiła do związku nauczycieli i bardzo szybko pięła się po szczeblach związkowej

kariery. Była członkiem Literackiego Komitetu Antyfaszystowskiego, a wkrótce pełnoetatowym politykiem Partii Komunistycznej. Jej zadaniem było wzmacnianie wpływów komunistów w związkach zawodowych. Dodd zakładała komórki związkowe na uniwersytecie w Nowym Jorku, angażowała się także wiele nowych projektów, z których dużo było oczywiście wspieranych przez Moskwę. Nikt nie ukrywał, że celem partii komunistycznej – także w USA – było stworzenie nowego wspaniałego świata na wzór sowiecki. Przynajmniej tak jak go sobie wówczas w Stanach wyobrażano.

Po podpisaniu paktu Ribbentrop-Mołotow i napaści Sowieców na Polskę rozpoczęły się problemy Belli Dodd. W Stanach trwała antykomunistyczna krucjata, a Partia Komunistyczna była na celowniku wielu wpływowych polityków. Aktywiści przeszli do konspiracji, przenika-

jąc jednocześnie do wielu central związkowych. Uzyskali ogromne wpływy w ówczesnych intelektualnych elitach, na uczelniach, w szkołach średnich, a także w Hollywood. Bella Dodd była zaangażowana głównie w związkach funkcjonujących na uczelniach, ale – jak później przyznała – traciła swój zapał i idealizm, widząc, że jej towarzysze walki są często gotowi do kompromisów dla karier i pieniędzy.

Szczyt jej kariery przypadł na lata 1944–1945, kiedy Dodd została członkiem Komitetu Narodowego Partii Komunistycznej. Pracowała wówczas w centrali ugrupowania w Nowym Jorku, skąd komuniści kontrolowali centrale związkowe artystów, naukowców i wielu innych branż. Jednocześnie – na skutek walk wewnętrznych – po 1945 r. rozpoczął się gorszy okres dla Dodd. Zaczęła być spychana na margines przez swoich współtowarzyszy walki, traciła wpływy w partii, z której ostatecznie wyrzucono ją w 1949 r. Pomocną dłoń wyciągnął wówczas do niej arcybiskup Nowego Jorku Fulton Sheen, dzięki któremu Dodd przyjęła sakrament chrztu świętego 7 kwietnia 1952 r.

ZEZNANIA KOMUNISTKI

Przed komisję amerykańskiego Senatu była aktywistka trafiła w 1953 r., gdy zeznawała przed Komisją Śledczą ds. Działalności Antyamerykańskiej. Wyznała wówczas m.in.: „W latach 30. wprowadziliśmy tysiąc stu mężczyzn do kapłaństwa, aby zniszczyć Kościół od wewnątrz. Chodziło o to, aby ci ludzie zostali wyświęceni, a następnie wspieł się po drabinie wpływów i władzy jako pralaci i biskupi”. Wśród nich mieli być m.in. homoseksualiści.

O szczegółach tych procesów więcej napisała w swojej książce, która w Polsce ukazała się pt. „Szkoła ciemności”. Obraz po obrazie, scena po scenie, krok po kroku obserwujemy budowanie nowego porządku: „W pochodzie pierwszomajowym w 1936 r. razem z komunistami maszerowało więcej niż pięciuset nauczycieli. Było wśród nich wielu nauczycieli college’ów. Ja byłam jedną z nich. Wybrano mnie do przewodzenia oddziałowi nauczycielskiemu. Czułam podniecenie, maszerując z oddziałami zorganizowanego ruchu związkowego. Był to mój gest oporu względem chciwości i korupcji. Była to też afirmacja przekonania, że lepszy świat da się stworzyć” – pisała Dodd.

Polski podtytuł książki nawróconej komunistki to: „Wspomnienie życia i konfliktu dwóch wiar”. To zestawienie nie jest przypadkowe, widać w nim istotę komunizmu, który dla wielu miał być nową, fałszywą religią, prowadzącą do stworzenia raju na ziemi. „Odeszło gdzieś cierpienie, które przeżywałam na początku dekady, widząc tłumy błądzących ludzi przed zamkniętymi drzwiami banku oszczędnościowego Bowery. Minął wstyd przeżywany, gdy patrzyłam na panów o dobrych manierach, jak ukradkiem zbierają niedopałki z ulic miasta, albo gdy widziałam kolejkę po zupe w misjach dobroczynnych” – tak Dodd opisuje swoje przeżycia.

Pojawia się też opis „oferty”, którą kierowała do związkowców partia komunistyczna: „W 1936 r. ludzie

mieli odrobinę więcej pieniędzy niż w strasznych latach 1932–1934. Ogólnie rzecz biorąc, w Ameryce zaszła ogromna zmiana. Miliony mieszkańców uprzednio uważanych za klasę średnią znalazły się na garnuszku administracji robót publicznych i spadły do poziomu tych, co nic nie mieli. Tym zaś partia komunistyczna niosła pomoc psychologiczną. Ratowali dumę, oskarżając o swe kłopoty system gospodarczy i mogli czegoś nienawidzić. Partia dawała im też możliwość wyrażania tej nienawiści w aktach oporu”.

Niezwyczajnie są kulisy „bratania się” przedstawicieli związków zawodowych nauczycieli z „proletariackimi towarzyszami”. „Kiedy parada została rozwiązana, my, nauczyciele college’ów, rozradowani zbrataniem z proletariackimi towarzyszami, zebraliśmy się w ogródku piwnym, gdzie piliśmy i śpiewaliśmy znowu robotnicze pieśni. [...] Wczesnym rankiem osiedliśmy w zacisznym, małym nocnym lokalu finansowanym przez partię. [...] Grupa była mieszana: robotnicy wyszkoleni przez partię na liderów związkowych, intelektualiści, mężczyźni i kobiety z klasy średniej, którzy zaczęli utożsamiać się z proletariatem. Tylko emocje mogły nas związać, nasza grupa bowiem obejmowała pracowników z popłatnymi zawodami, ale też pomyślników, psychopatów i życiowych nieudaczników” – czytamy.

Dodd opisuje też, z jak ogromnym wysiłkiem Partia Komunistyczna wspierała od 1936 r. hiszpańską wojnę domową: „Żadna być może działalność nie porywała tak amerykańskich intelektualistów” – zauważa autorka. Poznajemy też, jak świetnie zorganizowana była komórka do spraw propagandy.

„Emocjonalnego zawołania antyfaszystowskiego używała, aby przyciągnąć jak najwięcej ludzi do komunizmu, przeciwstawiając komunizm i faszyzm jako alternatywy. Partyjna machina propagandowa mełła monstrualne ilości słów, wypływała obrazy i rysunki. Grała na uczuciach intelektualnych, humanitarnych, rasowych i religijnych, aż jej się udało w zdumiewającym stopniu wywołać u Amerykanów odruchową odragę na samo słowo »faszysta«, nawet jeśli nawet nie wiedzieli, co to znaczy. Dzisiaj dziwię się, że światowy ruch komunistyczny zdolny był bić na trwogę przed Niemcami i nie puścić pary z gęby o tym, co partia wewnętrzna wiedziała doskonale. A mianowicie, że niektóre z sił lansujących Hitlera pomogły także Leninowi i jego ekipie rewolucjonistów udać się ze Szwajcarii do Petersburga, żeby tam wszcząć rewolucję, z której wyrosło sowieckie państwo totalitarne” – opisuje Dodd.

Książka Belli Dodd dokonuje swoistej wiwisekcji komunistycznej maszyny niszczenia jednostki. Czyta się ją z przerażeniem, bo „Szkoła ciemności” jest lekturą porażającą, pokazującą mroczny system konstruowania „nowego wspaniałego świata”. Czytelnik wyrusza w podróż niczym Condradowski Marlow w „Jądrze ciemności”, by na końcu zetknąć się z prawdziwą grozą, czyli realnym obliczem antyludzkiego systemu komunistycznego. Warto odbyć tę podróż, bo z konsekwencjami działań ludzi takich jak Bella Dodd zmagamy się do dziś, także w Polsce. ●



Korzystaj, gdy nie wiesz, gdzie szukać pomocy

Walka z przedstawionymi w poprzednich tekstach patologiami, które w coraz większym stopniu panoszą się na polskich uczelniach jest bardzo trudna. Wymaga przede wszystkim solidnego wsparcia prawnego, a być może także legislacyjnego, na co zwrócił ostatnio uwagę nowy minister edukacji narodowej Przemysław Czarnek. Każda osoba, która odczuła na własnej skórze, że została poddana represjom z powodu swoich przekonań czy otwarcie głoszonych poglądów, może liczyć na wsparcie realizowane dzięki Funduszowi Sprawiedliwości

Fundusz Sprawiedliwości powstał po to, by wspomagać głównie ofiary przestępstw. Przez lata jednak był narzędziem mało użytecznym, którego pomoc docierała do niewielkiej liczby poszkodowanych. Dopiero obecne kierownictwo resortu sprawiedliwości spowodowało, że środki Funduszu zostały zwielokrotnione, a pomoc realizowana wobec ofiar przestępstw zaczęła być świadczona na masową skalę. Fundusz dotuje pomoc realizowaną za pośrednictwem placówek – ośrodków pomocy, zlokalizowanych w całej Polsce. Osoby, które znalazły się w trudnej sytuacji życiowej w wyniku przestępstwa, mogą liczyć na tam na wsparcie materialne, psychologiczne oraz prawne.

W przypadkach ograniczania wolności debaty w świecie akademickim i szykan wobec wykładowców i studentów, którzy nie chcą się poddać dominującej neomarksistowskiej i lewackiej agendzie, z pewnością najistotniejsza będzie możliwość pomocy świadczonej przez prawników współpracujących z ośrodkami. Bywa bowiem tak, że w dochodzeniu należnych sobie praw na drodze sądowej, np. za bezpodstawne zwolnienie z pracy, barierą jest brak środków na opłacenie kosztów i usług związanych z wynajęciem pełnomocnika i prowadzeniem naszej sprawy.

Fundusz Sprawiedliwość istnieje i został dofinansowany także w tym celu, by żadna osoba, której nie stać na obronę swoich spraw przed sądem, nie została właśnie takiej możliwości pozbawiona z przyczyn materialnych.

EDUKACYJNA ROLA FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI

Wśród wielu zadań realizowanych za pośrednictwem Funduszu Sprawiedliwości są także następujące zobowiązania:

- podejmowanie przedsięwzięć o charakterze edukacyjnym i informacyjnym, w tym dotyczących przyczyn i uwarunkowań przestępczości oraz jej zapobiegania
- pokrywanie kosztów związanych z organizowaniem i prowadzeniem kształcenia, studiów podyplomowych, kursów dokształcających
- podejmowanie, organizowanie i zlecanie badań naukowych, prac rozwojowych, współpracy z innymi jednostkami w tym zakresie, dotyczących sytuacji oraz potrzeb osób pokrzywdzonych przestępstwem, świadków, osób skazanych, a także przyczyn i uwarunkowań przestępczości oraz sposobów jej zapobiegania.

JAK ZNALEŹĆ POMOC W RAMACH FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI

O pomoc w ramach Funduszu Sprawiedliwości najłatwiej zwrócić się, telefonując na całodobową, czynną siedem dni w tygodniu, infolinię obsługiwaną przez Ministerstwo Sprawiedliwości 222 309 900.

Połączenie z tym numerem jest bezpłatne dla ofiar i świadków przestępstw. Jednocześnie więcej sposobów kontaktu można znaleźć na stronie www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl, gdzie m.in. umieszczono wykaz kilkuset placówek i ośrodków pomocowych rozsiadanych po całej Polsce.

Środki, jakie zasilają Fundusz Sprawiedliwości, trafiają do niego m.in. z nawiązek zasądzanych od skazanych przestępców i z części wyplat, jakie otrzymują osoby skazane pracujące podczas odsiadki kary pozbawienia wolności.



STOWARZYSZENIE
AKADEMIA
SPORTU
Artura Siódmiaka

MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI

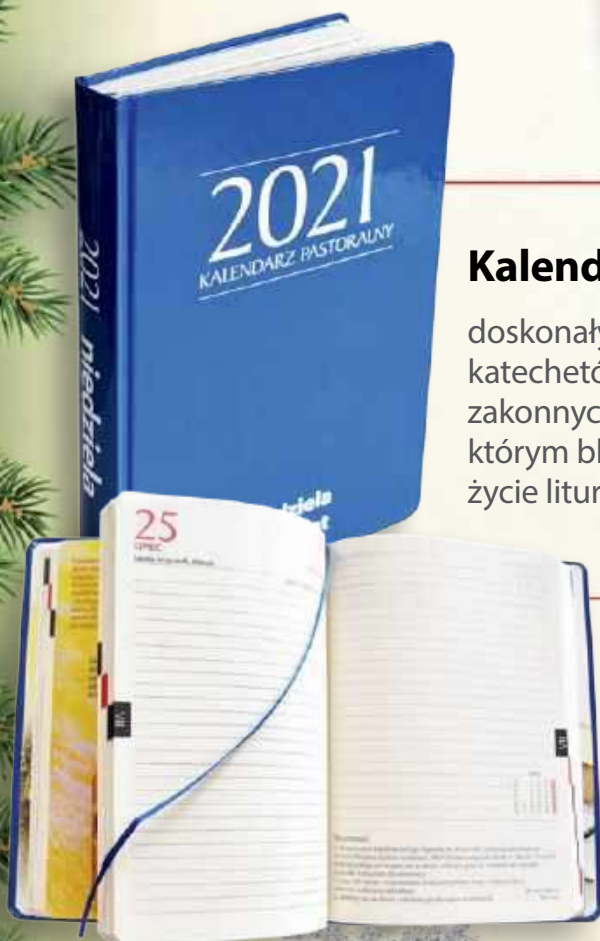


Kalendarz domowy

Życie ma 365 stron,
warto je odkrywać
w 2021 r. – dzień po dniu.
8. edycja bestsellerowego
terminarza!

cena
16,90 zł

+ KOSZT
WYSYŁKI



Kalendarz pastoralny

doskonały dla kapłanów,
katechetów, stowarzyszeń
zakonnych i wszystkich,
którym bliskie jest
życie liturgią Kościoła.

cena
24,99 zł

+ KOSZT
WYSYŁKI

 **księgarnia
niedziela**

KSIĄŻKI MOŻNA ZAMÓWIĆ

pocztą: Redakcja Tygodnika Katolickiego „Niedziela”
ul. 3 Maja 12, 42-200 Częstochowa,
telefonicznie: 34 365 19 17 w godz. 7-15,
pocztą elektroniczną:
kolportaz@niedziela.pl

Słodkie spotkania

Z fantazją i doświadczeniem, profesjonalizmem i pełną słodkości pasją tworzą swoje przepisy. Mieszają składniki, czerpiąc pomysły także z receptur poznanych podczas licznych podróży po świecie.

Agata Stankiewicz, prowadząca kanał Sugarlady, oraz Małgorzata Nagat, właścicielka pracowni cukierniczej, wydały właśnie pysznie energetyczną książkę. Wiosna smakuje w niej m.in. ciasteczkami malinowymi z musem jaśminowym i żelką z rabarbarem na spodzie z liofilizowanych malin. Lato kusi karmelowym frappe albo leśną karpatką walczącą o palmę pierwszeństwa m.in. z musem z herbaty matcha z żelką mango na limonkowym biszkopcie.

Receptą na jesienno-zimowe chłody i chandry są słodkości, w których nie brakuje korzennej nuty, mocy śliwek,

pomarańczy czy wiśni w rumie. Dodatkiem rozgrzewającym serca i podniebienia może być imbirowy karmel (sprawdzony w podanym obok przepisie).

Autorki podsuwają czytelnikom nie tylko, co i jak przygotować. Podpowiadają też, gdzie szukać smakowitych połączeń.

I tak lubią się w słodkościach np. ciemna czekolada, whisky, orzech laskowy, truskawka, malina, słony karmel, banan, chili, wiśnia, mięta, porzeczka, gruszka, kawa, śliwka i rum.

Cytryna nie obrazi się na towarzystwo bazylii, chili, imbiru, kokosa, mango, mięty i białej czekolady.

Jabłko znakomicie „dogaduje się” nie tylko z cynamonem, migdałami, rodzynekami, morelą, żurawiną czy śliwką. Po

drodze mu również z rozmarynem, tymiankiem i imbirem.

Pomarańcza lubi się z maliną, kardamonem, ciemną czekoladą, imbirem, różą i cynamonem.

A dynia? Oczywiście w słodkiej wersji. Dziewczyny z wypiekami łączą ją z karmelem i imbirem.

Jolanta Gajda-Zadworna



Fot. Maciej Stankiewicz

Dyniowe brioski z karmelem imbirowym

Składniki: na ok. 15 porcji.

Japońskie tangzhong: 40 g mąki pszennej typ 650, 200 g wody. Ciasto: schłodzony tangzhong, 600 g mąki pszennej typ 650, 10 g suchych drożdży, 100 g brązowego cukru, 1 jajko wielkości L, ½ łyżeczki soli, 10 g mleka w proszku, 100 g miękkiego masła, 200 ml mleka, 160 g purée z dyni hokkaido – ½ małej dyni, ½ łyżeczki imbiru, ½ łyżeczki cynamonu, szczypta mielonych goździków.

Karmel imbirowy: 150 g cukru, 50 g masła, 80 ml śmietanki 30 proc., 1 łyżeczka imbiru.

Dodatkowo: 1 żółtko i odrobina mleka.

Przygotowanie: To ciasto wymaga ogromnej cierpliwości i miłości. Nie polecamy go osobom, które nie posiadają robota planetarnego z hakiem do wyrabiania ciasta drożdżowego. Przygotuj tangzhong dzień przed podaniem. Do garnuszka wsyp mąkę i wlej wodę. Połącz dokładnie i podgrzewaj, mieszając na małym ogniu do wyraźnego zgęstnienia. Konsystencja ma przypominać gęsty budyń. Przelóż go do plastikowego pojemnika, przykryj i wstaw do lodówki na całą noc. Przygotuj purée z dyni. Dynię przekrój na pół, wydrąż pestki. Pokrój ją na kawałki, razem ze skórką, jeśli używasz hokkaido. Ten rodzaj dyni najlepiej sprawdza się w wypiekach. Dynię przelóż na blachę wyłożoną papierem do pieczenia i piecz w piekarniku nagrzanym do 180°C przez 20–25 minut. Następnie dynię wyciągnij i zblenduj na gładkie purée. Przystudź. Mleko podgrzej tak, aby nie parzyło w palec. Dosyp do niego suche drożdże i wymieszaj. W misie miksera umieść:

mąkę, cukier, jajko, przyprawy, purée z dyni, sól, mleko w proszku oraz tangzhong. Całość zacznij wyrabiać w mikserze za pomocą haka. Polecam tę metodę, bo ciasto jest dość lepiące. Powolnym strumieniem dolewaj mleko z drożdżami i dalej wyrabiaj 10–15 min. Po tym czasie dodaj miękkie masło i wyrabiaj przez kolejne 5 min. Przykryj miskę folią spożywczą i odstaw do wyrośnięcia na 1–1,5 godziny. Po tym czasie podziel ciasto na części, każda ma ważyć ok. 70 g. Uformuj z nich okrągłe bułeczki. Ciasto będzie lepiące, to zupełnie normalne przy tym rodzaju ciasta. Możesz sobie pomóc, mocząc dłonie w rozpuszczonym masle. Przykryj je folią i odstaw na kolejne 15 min. Bułeczki rozplaszcz za pomocą dłoni w kształt prostokąta. Dwa boki złóż do środka i dokładnie na środku zlep. Obróć o 90 stopni i zwiń w rulon, zlepiając na końcu. Bułeczki ułóż w formie o średnicy 30 cm, dosyć blisko siebie. Przykryj ponownie folią i odstaw na 30 minut. W tym czasie rozgrzej piekarnik do 180°C. Bułeczki posmaruj mieszanką żółtka i mleka.

Wstaw do nagrzanego piekarnika i piecz przez 25 min. Cukier umieść na patelni. Podgrzewaj go do momentu uzyskania bursztynowego karmelu. Dodaj masło, dokładnie wymieszaj. Na sam koniec dodaj śmietankę i imbir. Odstaw do wystudzenia. Polej nim przestudzone bułeczki.



Fot. Maciej Stankiewicz

Kotleciki z miętą



ANNA MONICKA

Czasem brak mi pomysłu na obiad. Serio, serio. Nic mi nie pasuje do dnia, pogody, nastroju. Gdybym siedziała w domu sama, zrobiłabym sobie swoją wersję tajskiej zupy, czyli lane kluski na moim ulubionym żółtym curry i byłoby po krzyku. Ale córka po tym, jak namówiłam ją niedawno na ramen krewetkowy z mlekiem kokosowym i chilli, jakoś stroni od ostrych zup. – Tak mam, ja wiem, że one są zdrowe i wybijają wirusy, ale zrób zwykły rosół z makaronem – prosi.

Kupuję więc porządny kawał indora albo solidnego kurczaka i robię jej rosół, który po dwóch dniach zamienia się w pomidorową. Na mięso czyhają nasze koty i pies, ale jeśli coś dla nas zostanie, robimy potrawkę z własnym koperkiem albo faszerowane papryczki.

Ostatnio jednak, chyba pod wpływem uroczej książki „Szafran, mięta i kardamon”, którą napisała Samar Khanafer, pół Polka, pół Libanka, specjalistka od kuchni blisko-wschodniej, postanowiłam kupić więcej indyczyny, zmieścić ją i zrobić delikatne, pyszne pieczone kotleciki – kafty. Z mięsem mam coraz bardziej na bakier, ale od czasu do czasu, zwłaszcza gdy organizm szykuje się do wojny z mrozem, łapie mnie na nie ochota i zaczynam kombinować, jak je przyrządzić. Już samo czytanie o przyprawach sprawia, że czuję ich smaki i zapachy, a im głębiej wchodzimy w jesień i zimą, tym chętniej po nie sięgam. Jakże to szczęście, że mam kolegę, który przysyła mi doskonale, świeże przyprawy, kupowane na pakistańskim bazarze w Londynie.

Mięso zmielone, cebula i natka pietruszki posiekane, mieszamy więc wszystko z łyżeczką kolendry, kuminu, posiekanymi kilkoma listkami mięty, solą i pieprzem. Robimy podłużne kotleciki, splaszczamy je widelcem i smażymy na patelni grillowej lub pieczemy w 200 stopniach. Zanim poznałam ten przepis, indyjskie kotleciki robiłam także na parze i podawałam z ostrzejszymi sosami albo salatami. Samar Khanafer radzi, żeby smak delikatnego mięsa podbić startą skórką z cytryny. Ja i do mięsa, i do sosu jogurtowego często ścieram limonkę. Pachnie jeszcze lepiej. A książkę „Szafran, mięta i kardamon” czytam ostatnio do poduszki, żeby było błogo.



O psie, który szczekał na polskim

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Strategie zdobywania pożywienia mogą być bardzo dziwne. Im inteligentniejsza istota, tym ciekawsze pomysły.

Znana jest inteligencja krukowatych. O niezwyklej zrozumieniu przez te ptaki zasad ruchu drogowego miałem okazję się przekonać pewnego posępnego październikowego dnia. Siedziałem w aucie zaparkowanym przy ruchliwej ulicy i przypatrywałem się gawronom. Gawrony przypatrywały się jeźdźni. Nieopodal rosły stare drzewa, wokół których na trawie leżały orzechy. Wszystkożerne ptaki miały wielką chęć dobrać się do nasion zamkniętych w twardych lupinach. Trzymając w dziobach orzechy, trzy duże gawrony siedziały wysoko nad ulicą, na poprzecznej belce, z której zwisały światła drogowe. I nagle zrozumiałem, że na moich oczach odbywa się ciekawa, równoległa do naszej rzeczywistości sekwencja zdarzeń. Gdy światło zmieniło się na zielone, ptaki wypuściły z dziobów orzechy. Przejeżdżające poniżej auta zmiażdżyły je oponami. Następnie, gdy zaświeciło się światło czerwone i auta się zatrzymały, ptaszyska szybko zleciały na jezdnię i zjadły to, co wypadło z lupin. Z asfaltu wystartowały tuż przed ruszającymi pojazdami, aby udać się na trawnik po kolejne orzechy. Potem znów wróciły na stanowisko na sygnalizacji świetlnej.

Inną strategię, bardziej spektakularną, obrał pies, którego znam tylko z głosu. Pracując kiedyś o poranku przy komputerze, byłem mimowolnym świadkiem zdalnej lekcji języka polskiego. Słyszałem głos nauczycielki prowadzącej lekcję oraz odpowiadających na pytania uczniów. Niezbyt wyraźnie – dźwięki były na tyle ciche i odległe, że nie słyszałem nic więcej niż pomruk, gdy nagle rozległo się przerażające, nieprawdopodobnie głośne szczekanie. Trwało około minuty, po czym ucichło. Następnego dnia sytuacja się powtórzyła. Przy kolejnym razie udało mi się dowiedzieć, o co chodzi. Pies nauczycielki nauczył się wpadać na lekcje polskiego, bo wie, że jeżeli będzie ujażdżał, ile wlezie, natychmiast dostanie jedzenie. Terroryzuje w ten sposób swoją właścicielkę, która nie może prowadzić zajęć, dopóki pies się nie uciszy. A ucisza się, kiedy dostaje coś smakowitego. Podobno obecnie trwa proces oduczania go tego zbrojniczego procederu.

Animals are awesome – jak można sparafrazować słynne youtube'owe hasło.



W ŚWIECIE LUSTER



HANNA KARP

Wojna światów

Umberto Eco w ostatniej powieści „Numer zero”, wydanej w Polsce pod tytułem „Temat na pierwszą stronę”, pisał, że w redakcji zawsze należy najpierw ustalić hierarchię newsów. I tłumaczył, dlaczego to jest tak ważne: „Wiadomości do zakomunikowania jest na świecie bez liku, ale dlaczego mamy podawać, że był wypadek w Bergamo, a nie podawać, że był inny wypadek w Mesynie? To nie wiadomości czynią gazetę, to gazeta czyni wiadomości. Składając umiejętnie cztery różne wiadomości, proponuje się czytelnikowi wiadomość piątą”. Nie podejrzewam, żeby włoski filozof znał styl redakcji informacyjnych pracujących w Polsce, ale to nie przeszkadza, by trafnie rozpoznał sposób ich pracy. Zwłaszcza redakcji, której jedno z haseł reklamowych brzmi: „Cała prawda, całą dobę”.

W NOWEJ RZECZYWISTOŚCI

Styl dziennikarskiej pracy opisanej przez Eco ma swoje plusy. Widz, nie opuszczając kraju, może znaleźć się nagle w rzeczywistości, której istnienia nawet nie przeczuwał. Wystarczy, że nacisnął odpowiedni guzik telewizyjnego pilota. A jeśli już to nieopatrnie uczynił w ostatnich tygodniach,

dowiedział się, że: „Trybunał Konstytucyjny Julii Przyłębskiej” wydał jakieś potworne orzeczenie gwarantujące, że w Polsce każdy człowiek bez względu na stan zdrowia i wiek ma takie samo prawo do życia. Prawo to obejmuje wszystkich ludzi, także tych chorych i czekających na narodziny. To jest bowiem podstawowe prawo człowieka. Ale tu telewizja ta akcentuje przede wszystkim prawo kobiety do... aborcji. Aborcji, o której mówiła 26 listopada 1974 r. Simone Veil, była przewodnicząca Parlamentu Europejskiego, była przewodnicząca Fundacji Pamięci Shoah, a wcześniej minister we francuskim rządzie, przedstawiając przed francuskim Zgromadzeniem Narodowym projekt o dopuszczalności przerywania ciąży na życzenie kobiety. Ale o tym widz tej stacji już się nie dowie.

Drugi news to informacja, że w Warszawie i w całym kraju na ulice gromadzą się tysiące kobiet i młodzieży, krzycząc, że: „To jest wojna!”, „Wypierd...ać” i „Jeba... PiS”. Te marsze i okrzyki nazwane są, jak widać z napisów na tekturkach, strajkiem kobiet, choć w ogóle nikt nie strajkuje.

Kolejna informacja jest o tym, że w kraju obowiązuje zakaz zgromadzeń powyżej pięciu osób. Bo panuje pandemia COVID-19: sklepy pozamykane,

dzieci nie chodzą do szkoły, studenci studiują w domach zdalnie, a starsi i emeryci nie powinni opuszczać niepotrzebnie swoich czterech ścian.

GDY TRUP ŚCIELE SIĘ GĘSTO

Następny news może mniej odpornych przyprawić o atak paniki. Wynika z niego, że cały system zdrowia jest niewydolny, wirus szaleje i trup ściele się gęsto. A wszystko przez to – to już kolejna wiadomość – że kraj do przepaści prowadzi polityka Zjednoczonej Prawicy, która nie panuje nad wirusem. Nie chce ogłosić, kiedy skończy się pandemia. Zasadniczo nie panuje nad niczym, poza tym, że nad samą Zjednoczoną Prawicą panuje niepodzielnie nieodpowiedzialny lider PiS Jarosław Kaczyński. A ten wraz ze swoją partią po trupach przejdzie do władzy.

Kolejne wydania nieodmiennie utrwalają powyższą agendę informacji. Widz już wie, że kraj wpadł w ręce ludzi, którzy gnębią obywateli, dręczą kobiety, pogrążają kraj i gospodarkę w chaosie. Naruszają zasady prawa i zapisy konstytucji. Słowem nadchodzi zagłada. Jedyne jasne punkty i szansa na ocalenie jest w buntujących się w dzielnicach miast i miasteczek kobietach i licealistach, którzy rozwścieczeni,

opanowani świętym gniewem, wychodzą na ulice, by zaprotestować przeciwko rządowi zamordystów.

Nadzieja w tym, że im bardziej nie wolno organizować zgromadzeń, tym większe tłumy na ulicach. No i ten horror w szpitalach, dziesiątkach polowych szpitali. Są kostnice i chłodnie. Armagedon. Także gospodarczy. On nie nadchodzi, on już jest. I jeszcze ta przyprawiająca o dreszcze intonacja i modulacja głosów reporterów. Wybitna Arleta Zalewska powala teatralnym, gniewnym tembrem narracji. Strach się bać. No, Jarosławie! Już pomagasz!

W STANIE INFORMACYJNEGO DYGOTU

Widzowie, chłonąc relacje, żyją w stanie wewnętrznego dygotu. I jeszcze ta kultowa gazeta i „pierwsze radio informacyjne”. Stany lękowe i ciężkie ataki paniki ogarniają naprzemiennie. Prawda zaczyna coraz bardziej boleć, wielu dzwoni i skarży się w rozmowach niedokończonych tokefem, że już jest gorzej niż na wojnie.

Przypomina to żywcem pierwszy spektakularny przykład radiowego terroru. Gdy adaptacja powieści H.G. Wellsa „Wojna światów”, w słynnej reżyserii Orsona Wellesa w 1938 r., o apokaliptycznej inwazji Marsjan na Ziemię doprowadziła do zbiorowej hysterii wielu jej słuchaczy. Dziś ówczesnym Marsjaninem, oczywiście na miarę Czerskiej, jest rząd Jarosława Kaczyńskiego. Miejmy nadzieję, że poranne wellesowskie seanse strachu „trzędki” Jacka Żakowskiego nie spowodują, iż ich fani uciekać będą z domów w przypływie nieopanowanego strachu. Choć wszystko jest możliwe, gdyż proroctwa redaktora i jego informacyjne przepowiednie mają nieodmiennie wielką siłę rażenia.

Sluchowisko „Wojna światów” dostatecznie unaocznilo, jak bardzo irracjonalne lęki i kreowanie zagrożenia może wpływać na procesy bezpośredniego sterowania całymi społecznościami. Wystarczy nam już Krystyny Jandy, Agnieszki Holland czy Marii Nurow-

skiej, które z zszarpanymi nerwami ledwie wiążą koniec z końcem. Nie wiadomo, jak tam z Manułą Gretkowską, czy już opuściła kraj, czy wciąż dygocze, siedząc na walizkach.

Choć Janda ma czasem lepsze momenty, gdy zauważa w „Dzienniku”, śmiało notując: „W kraju demonstracje i protesty już teraz z powodu niezgody totalnej na ten rząd, najego dyletanctwo,

Widzowie, chłonąc relacje, żyją w stanie wewnętrznego dygotu. I jeszcze ta kultowa gazeta i „pierwsze radio informacyjne”. Stany lękowe i ciężkie ataki paniki ogarniają naprzemiennie. Prawda zaczyna coraz bardziej boleć, wielu dzwoni i skarży się w rozmowach niedokończonych tokefem, że już jest gorzej niż na wojnie

nieodpowiedzialność, nieudolność, złą wolę, nienawiść do ludzi a szczególnie kobiet. W***** i *****”. I dalej już o tym, co na ulicach: „Na ustach i w głowach teraz także młodzieży. Policja w cywilu leje metalowymi pałkami i pryska gazem w oczy, zatrzymuje dzieci 13,14 letnie i samotne matki. Wygląda na to, że jest to bezpośrednie polecenie Jarosława Kaczyńskiego, jak też zaostrenie ustawy antyaborcyjnej i strzeżenie między innymi przez narodowców kościołów i skompromitowanych przedstawicieli kleru” (pisownia oryginalna). I jeszcze o Unii, bo tym aktorka także żyje: „Niedawny pomysł na veto dla budżetu unijnego jest szaleństwem, szaleństwem popartym wyimaginowanymi argumentami, których obronić się nijak nie da. Ale za późno, Europa Polsce nie wybaczy tego veta

nigdy, a nawet teraz gdyby go nie było zapamięta”.

KTO IM PODA SZKLANKĘ WODY?

Telewizja i media globalne obudziły nieznanego olbrzyma, który niweluje granice, oferuje nieskończony przepływ informacji, kapitału, ale też rozszerza granice świadomości. W wersji zmnożonej każdego dnia niesie informacje o wojnach, nienawiści, brutalności, podłości świata i ludzi. Czy współczesne audytoria są w stanie to wszystko wytrzymać? Już dziś, zamknięci w domach w epoce COVID-19, dorastając, porzucają rzeczywistość, zanurzają się w serialach Netflixa. Przecież nie przypadkiem wołanie o Netflix było jednym z ulicznych postulatów na strajku kobiet. Co później ci wycofani, aspołeczni i apatyczni odbiorcy stacji, co to nadaje całą prawdę, całą dobę, uczynią. Gdzie znajdują ratunek. Kto poda im (kolątajowską) szklankę wody, gdy skończy się nocne relacje sprzed Sejmu? Czy ceną fizycznego przetrwania w świecie nieograniczonej informacyjnej konsumpcji będzie tylko obłęd, jaki już rysuje się w jednym z zapisów zrozpaczonej telewizji: „Siedzę od kilku dni sama w domu, w samoizolacji jak to się ostatnio ohydnie nazywa, 27 tys. zachorowań dziennie, zaczęłam się bać, ograniczyłam wszelką aktywność, przeczekuję. Całymi dniami przyklejona do ekranu telewizora śledzę demonstracje i wszelkie protesty uliczne, w internecie czytam i udostępniam manifesty i najciekawsze wypowiedzi, nic nie mogę więcej. Na świecie wybory w Ameryce, gorączkowe poszukiwania szczepionki i głód, pandemia wstrzymała też pomoc humanitarną, ludzie umierają z głodu, dzieci, Jemen jest najczarniejszym miejscem na ziemi”. Kto wypłaci autorce tych słów odszkodowanie za poniesione straty moralno-zdrowotne? Bo milion osiemset tysięcy to przecież od tego strasznego pisowskiego ministra. I to jest nic.

Autorka jest medioznawcą, religiologiem, prof. WSKSiM w Toruniu

Brak wiedzy

W rozmowach w rodzinie i wśród znajomych ciągle wraca temat związany z zachowaniem młodych ludzi na ulicach Warszawy i innych miast. Trudno się wyzbyć myśli i pytań, co się stało z polskim społeczeństwem, przecież Polska ma tak silne fundamenty ponadtyścioletniej kultury chrześcijańskiej. Słownictwo, sposób zachowania, brak jakiegokolwiek wstydu, agresja, chamstwo przekraczają wszelkie wyobrażenie normalnie myślącego człowieka. Wiadomo, że chodzi o obalenie tego rządu, już nawet tego nie kryją. Sterowani, opłacani, przekraczają wszelkie granice. Wobec takich zachowań wypadałoby zadać pytanie zasadnicze, czy człowiek wychowany w normalnym polskim domu w oparciu o podstawowe zasady moralności, kultury bycia, wiary, mógłby ulec jakimkolwiek prowodyrom, wynaturzeniom nawet za bardzo duże pieniądze?

Wszystko to pokazuje, jak ważne jest wychowanie w domach rodzinnych. Pamiętam krótkie powiedzenie mojego ojca: „Tak po prostu nie wypada”, to wystarczyło. Swoim życiem dawał nam przykład – pracowitość, uczciwość, honor i wymaganie przede wszystkim od siebie. Miłość do Polski przekazywana z pokolenia na pokolenie, naturalna, nie tylko od święta. Mam przed oczami obrazy, które wyrły mi się głęboko w pamięć. Gdy gdziekolwiek usłyszał hymn Polski, zatrzymywał się, stawał na baczność w milczeniu, twarz, oczy wyrażały wszystko, nie trzeba było słów.

Ludziom wychowanym przed wojną bardzo trudno było się pogodzić z tym wszystkim, co przyniósł komunizm. Tadeusz Płuzański, syn żołnierza wyklętego, więźnia PRL, napisał wiele książek o ludziach bezpieki, zbrodniarzach mordujących polskich patriotów („Bestie. Mordercy Polaków”, „Oprawcy. Zbrodnie bez kary”, „Lista oprawców”, „Rotmistrz Pilecki i jego oprawcy”), ostatnio można też oglądać w internecie jego świetny cykl „Powroty z niepamięci”, rozmowy z ostatnimi żyjącymi jeszcze żołnierzami wyklętymi. Najlepsza lekcja historii, bardzo prawdziwa, bo mówią świadkowie, którzy przeżyli walkę z sowieckim upodleniem, straszne śledztwa, lata więzienia. Twardzi żołnierze, Polacy nieugięci do końca. W tych rozmowach są tak wzruszające fragmenty, które trudno opisać, to trzeba zobaczyć, posłuchać, popatrzeć na twarze tych ludzi, z jaką wielką godnością odpowiadają na najtrudniejsze pytania o poniewieraniu ich przez prymitywnych ubeków. „Poszedł okupant niemiecki, przyszedł sowiecki, jeszcze gorszy, bo pod hasłami przyjaźni polsko-radzieckiej mordowali nas, Polaków, najtrudniej było znieść to poniewieranie naszej godności. Nasze kobiety, matki, żony, siostry gwałcili, wyłapywali nas jak zwierzyne, znęcali się, tak straszne tortury mógł wymyślić tylko diabeł”. Na koniec zawsze mówią z trudnym do ukrycia wzruszeniem, że najważniejsza dla nich była i jest Polska i dodają, że gdyby trzeba było powtórzyć tę drogę, nie zawahaliby się.



**Alina
Czerniakowska**

Ci bohaterowie z reportażu Tadeusza Płuzańskiego są mi szczególnie bliscy, bo miałam szczęście poznać takich ludzi, uwiecznić ich w filmach dokumentalnych. Teraz często do nich wracam i myślę, że gdyby tych wszystkich manifestujących obecnie zmusić do obejrzenia, posłuchania tamtych ludzi, popatrzenia im w oczy, może coś by w nich drgnęło, zastanowiło jakiegoś ogłupionego osobnika, bo to właśnie brak wiedzy sieje największe spustoszenia w umysłach i psychice ludzi. Potrzebna jest wiedza, prawda o naszej niedawnej historii.

Młodzi pozbawieni tej wiedzy dają się łatwo manewrować, wyprowadzać na ulice. Są opętani hasłami rzekomej wolności, która tak naprawdę zniewala i znieważa, okalecza na całe życie. Tylko ludzie, którzy nie mają wiedzy mogą wierzyć antypolskim mediom i wystąpieniom polityków lewicowo-liberalnych, nazywających się dzisiaj totalną opozycją. Przecież całe ostatnie przemówienie marszałka Senatu Grodzkiego w sprawie unijnego budżetu oparte jest na fałszu historycznym. Porównywanie obecnej sytuacji w Polsce do czasów przedrozbiorowych czy do planu Marshalla jest zwykłą manipulacją, demagogią, która ma wpływ na ludzi bez wiedzy. Słuchający marszałka Grodzkiego powinni poczuć się obrażeni, bo mówił jak do ludzi, którzy mają problemy z rozumieniem czegokolwiek. Zarówno treść, jak i sztuczna dykcja, gestykulacja, nie pozostawiają złudzeń.

Mieliśmy już takich polityków, premierów, prezydentów, dla których nie istniała polska racja stanu, najważniejsze było nie narazić się swoim ukrytym mocodawcom, działać w ich interesie, a prawdę o sobie głęboko ukryć. Potrzebna jest wiedza, chociaż podstawowa, bo wiadomo, tę tajemną, głęboko skrywaną, posiadają nieliczni i też niepełną.

Czasami z uśmiechem, ale też z wieloma znakami zapytania, patrzyłam, jak w moim kościele w Józefowie pod Warszawą maszerował środkiem, demonstracyjnie, przed ołtarz Janusz Korwin-Mikke, zanim został eurodeputowanym, potem w ten sam sposób jeszcze do niedawna szedł do komunii świętej Roman Giertych, a teraz podobnie maszeruje przed tabernakulum Krzysztof Bosak... Nasuwa mi się pytanie, wynikające zapewne z braku wiedzy, o tożsamość, bo przecież trzeba stawać w prawdzie przed Bogiem, ale też przed ludźmi, w działalności i wystąpieniach publicznych.

Jan Paweł II pisał: „Za każdym czynem kryje się określony człowiek, który ma imię, nazwisko, kolor oczu, wyraz twarzy, pochodzenie, i za każdy czyn, którego się dopuszcza, ponosi odpowiedzialność ten właśnie konkretny człowiek – indywidualna odpowiedzialność za własne czyny! Módlmy się o Dar Bojaźni Bożej, o którym mówi psalmista, że jest początkiem ludzkiego rozumu”.

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

Artysta, twórca – zawód czy hobby?

Uschyłku lat 80. mieliśmy koncert w Pałacu Country w Sztokholmie. Szwedzi byli wtedy w europejskiej czołówce: zespoły Country Minstrels i Kentucky brylowały na festiwalach Starego Kontynentu. Po pracy, przy piwku, nawiązała się przesympatyczna rozmowa. Gdy skandynawscy muzycy dowiedzieli się, że utrzymujemy się w Polsce wyłącznie z grania – bardzo urośliśmy w ich oczach. W Szwecji tylko ABBA (i kilka pomniejszych gwiazd) mogła żyć z muzyki. Nasi nowi znajomi – świetni instrumentalści i wokaliści, laureaci międzynarodowych „spędów” – wciąż pracowali w wyuczonych zawodach: mechanika, nauczyciela, urzędnika, listonosza... Po pracy spotykali się na próbach, w weekendy grywali po klubach i czekali na życiową szansę. Dlaczego o tym piszę?



**Lech
Makowiecki**

W dobie pandemii brak dywersyfikacji zarobków mści się okrutnie na wielu polskich muzykach, artystach, twórcach. Za chwilę padać będą kolejne branże, więc znalezienie jakiegokolwiek pracy (np. kelnera, robotnika, sprzątaczkę) będzie graniczyć z cudem. Zatrudnienie pianisty czy skrzypka do ciężkiej pracy fizycznej (np. na budowie) jest ryzykowne, trwałe uraz palca uniemożliwi mu powrót do wyuczonego latami ćwiczeń zawodu. Jak zatem pomóc bezrobotnym artystom (nie mylić z branżą show-biznesu) w przetrwaniu tego kryzysu? Mówię tu o ludziach sztuki pracujących najczęściej na umowę o dzieło (ich wykaz mają urzędy skarbowe). Jeśli w budżecie MKiDN znajdują się jakieś pieniądze na ten cel – trzeba by podzielić je (równo) na jednorazowe wsparcie – dla złapania oddechu. Tak zrobił STOART, czekam na ruch bogatego ZAIKS. MEN, MKiDN i samorządy powinny zarządzić „artroboty” publiczne: przywrócić w szkołach lekcje muzyki, plastyki, tańca, śpiewu i recytacji, zamawiać (w konkursach) tożsamościowe dzieła. A w PR i TVP nie wspierać zagranicznych twórców, tylko nadawać polską muzykę. Gdy już kryzys minie, wygrani będziemy wszyscy. Kultura znów trafi pod strzechy.

PS „W związku z opublikowaniem w dniu 23.11.2020 r. artykułu pt. »Kryzysowe zarządzanie kulturą«, autorstwa Lecha Makowieckiego (»Sieci«), Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego informuje, że nie finansowało performance'u »Nóż w piździe« ani przedstawienia »Kłątwa«”.



Z życia

Kościół

relacjonuje
**Agnieszka
Ponikiewska**

1. Takich świąt Bożego Narodzenia jeszcze nie było. W związku z pandemią i dużą liczbą spowodowanych nią zgonów biskupi przedłużają do 27 grudnia dyspensę od obowiązku uczestnictwa w mszy św. w niedzielę i święta. Zachęcają jednocześnie do korzystania z transmisji Eucharystii w radiu, telewizji i za pośrednictwem internetu. Pamiętajmy, że kościoły będą otwarte dla wiernych, którzy zdecydują się uczestniczyć w nabożeństwach.

✂ ✂ ✂

2. Wśród wielu obostrzeń sanitarnych trzeba zawalczyć o duchowe przeżycie adwentu. Bez tego ciężko o spotkanie z nowonarodzonym Jezusem. Zwracają na to uwagę biskupi, którzy zachęcają wiernych do uczestnictwa w codziennych mszach św. roratnich, do korzystania z sakramentu pojednania, do prywatnej bądź wspólnotowej adoracji Najświętszego Sakramentu w ciągu tygodnia. Wszystko oczywiście przy zachowaniu reżimu sanitarnego.

✂ ✂ ✂

3. Przewodniczący Episkopatu Polski abp Stanisław Gądecki odpowiedział na rezolucję Parlamentu Europejskiego w sprawie aborcji. Podkreślił, że w dyskusji o życiu ludzkim nie może być mowy o kompromisie. Zaznaczył: „W żadnym demokratycznym porządku prawnym nie może być prawa do zabijania niewinnego człowieka. Prawo do życia jest podstawowym prawem człowieka, zawsze przysługuje mu pierwszeństwo przed prawem wyboru”.

✂ ✂ ✂

4. Krajowe Duszpasterstwo Służby Zdrowia zaprasza do wspólnej modlitwy w intencji chorych, pracowników placówek leczniczych i ich bliskich. Kapłani chcą towarzyszyć potrzebującym w czasie pandemii. W każdą środę o godz. 20, przez dziewięć tygodni, za pośrednictwem kanału YouTube SalveNET można łączyć się duchowo na Eucharystii. Msze św. będą się odbywać w formie nowenny.

✂ ✂ ✂

5. 2021 będzie rokiem kard. Stefana Wyszyńskiego. Uchwałę w tej sprawie przyjął Sejm. Dokument podkreśla zaangażowanie Prymasa Tysiąclecia „nie tylko w życie religijne, ale również w życie społeczne naszego Narodu zagrożonego demoralizacją i powojenną dewastacją życia rodzinnego, brutalną ateizacją ze strony wojującego komunizmu, godzącego także w podstawowe swobody i wolności obywatelskie”. Potrzeba nam powrotu do nauczania kard. Wyszyńskiego, który tak mocno wspierał Polaków w najtrudniejszych chwilach historii naszej ojczyzny.

O szczepionce należy nam się prawda



Czy pół miliona Polek wie, że nie wolno im szczepić się na covid? Z brytyjskiej ulotki opisującej szczepionkę, która ma być zaproponowana Polakom, wiemy, że: nie jest rekomendowana osobom poniżej 16. roku życia, nie przeprowadzono badań na temat interakcji z innymi produktami medycznymi, nie przeprowadzono badania, jaki szczepionka ma wpływ na płodność i ciążę, przed szczepieniem kobiet w wieku rozrodczym należy wykluczyć ciążę, ryzyko dla noworodków jest możliwe, nie jest wskazane szczepienie w okresie karmienia piersią.

Około 300 tys. kobiet w Polsce jest obecnie w ciąży, kolejne 100–200 tys. karmi piersią. Czy już wiedzą, że nie wolno im się szczepić? Minister zdrowia wciąż mówi o szczepieniu całej populacji dorosłych. Kiedy minister powiadomi pół miliona Polek, że ich to nie dotyczy?

Na szczęście nie ma już mowy o przymusie szczepienia. W tej sprawie apelowała do prezydenta i rządu grupa polskich naukowców i lekarzy. Ale ich apel jest szerszy: „Pragniemy wyrazić zaniepokojenie perspektywą masowych szczepień na koronawirusa SARS-CoV-2 szczepionkami, które nie zostały właściwie zbadane i których zastosowanie może doprowadzić do nieoczekiwanych zmian zarówno na poziomie komórkowym, w tym zmian szlaków sygnałowych i zmiany ekspresji genów. Apelujemy... aby informacja o możliwych powikłaniach czy niebezpieczeństwach związanych ze szczepieniami została podana opinii publicznej oraz aby na temat szczepień i ich korzyści i zagrożeń zorganizowano rzetelną debatę publiczną... Pośpieszenie wprowadzane na rynek szczepionki przeciw wirusowi SARS-CoV-2 nie zostały dotąd należycie zbadane, ich badania kliniczne zostały oparte na wyjątkowo łagodnych zaleceniach Europejskiej Agencji Leków (EMA) i dlatego mają cechy eksperymentu na ludzkości na wielką skalę. Przeprowadzono próby kliniczne na stosunkowo niewielkiej grupie osób, które poddano obserwacji jedynie w bardzo krótkim okresie. W testowanych grupach nie uwzględniono też wystarczającej liczby osób z grup ryzyka. Aby w pełni ocenić skuteczność szczepionki i możliwość powikłań, potrzebne jest co najmniej kilka lat rzetelnych badań...

Nowe szczepionki proponowane nam przez Pfizer, Moderna i inne korporacje są stworzone na bazie mRNA – kwasu nukleinowego, który służy do syntezy białka. Nie są to tradycyjne szczepionki, ale substancje mogące w komórkach ludzkich prowadzić do modyfikacji ekspresji genów. Tego rodzaju szczepionki mogą być niebezpieczne, dopóki ich skuteczność

i brak poważnych efektów niepożądanych nie zostaną naukowo udowodnione... Wprowadzony mRNA w szczepionce może oddziaływać z innymi istniejącymi w komórce cząsteczkami RNA (np. miRNA, lncRNA), co może prowadzić do zmian w regulacji ekspresji różnych genów. Ponadto wprowadzony mRNA może reagować z RNA wirusów i bakterii w naszym organizmie. Zagrożeniem dla człowieka jest więc to, że osoby zaszczepione będą mniej odporne na inne choroby.

...szczepienia powinny być uwarunkowane przeprowadzeniem dokładnych badań klinicznych, zorganizowaniem szerokiej debaty publicznej na temat wprowadzanej szczepionki oraz poinformowaniem społeczeństwa o możliwych korzyściach, powikłaniach oraz niebezpieczeństwach szczepień i alternatywnych metodach walki z COVID-19. Osoby, które... poddadzą się dobrowolnie szczepieniom, powinny mieć zagwarantowane świadczenia finansowe za ewentualne negatywne skutki szczepień i utratę zdrowia. Wprowadzane obecnie pośpieszenie szczepionki mają charakter eksperymentu na wielką skalę. Ponieważ mogą obniżyć naszą odporność na inne choroby, na skutek masowych szczepień może więc umrzeć więcej ludzi niż obecnie na COVID-19. Ponadto zmiany genetyczne wywołane przez szczepionki mogą wpłynąć na przyszłe pokolenia...”

Prof. Julian Korab-Karpowicz, prof. Ryszard Rutkowski, prof. Stanisław Sulkowski, prof. Maria Sobaniec-Łotowska, prof. Irena Kasacka, prof. Krystyna Lisiecka-Opalko, prof. Jacek Bartyzel, prof. Jakub Z. Lichański, prof. Zbigniew Jacyna-Onyszkiewicz, prof. Marek Krzystanek, prof. Roman Zieliński, prof. Kornelia Polok, prof. Ryszard Zajączkowski i 70 innych naukowców i lekarzy.

Przypominam, że producenci szczepionek, które kupujemy bez zbadania ich przez polskie służby, zostali zwolnieni z odpowiedzialności za ewentualne powikłania po ich podaniu, urzędnicy działający w sprawie pandemii zostali zwolnieni z odpowiedzialności za ewentualne błędne decyzje, a Polska jest ostatnim krajem w Europie, w którym nie istnieje fundusz, z którego wypłacane są odszkodowania ofiarom po-szczepiennych powikłań.

Czy sygnatariusze powyższego apelu są w błędzie? Proszę ministra zdrowia, by na swą kolejną konferencję zaprosił ich na wspólną debatę i rozwił ich niepokoje. Unikanie odpowiedzi na tak poważne wątpliwości zdewastuje zaufanie do szczepionki, a tego przecież minister nie chce.

Maciej Pawlicki

Michał Korsun prezentuje:
Krzysztof Mieszkowski, koneser „sztuki”



Wycinki z przeszłości

H obbyści z zagranicy chcą „korespondować” – informował tygodnik „Dookoła Świata” w wydaniu tuż przed świętami w 1964 r. I prezentował oferty:

Algis Baleisziš z ZSRR, Litewska SRR, Kaunas 19, ul. Ge-gules 4/1. Pragnie korespondować z młodzieżą polską. Inte-resuje się muzyką jazzową i filmem. Zbiera znaczki pocztowe, widokówki i magazyny ilustrowane. Korespondencja w ję-zyku rosyjskim, angielskim, niemieckim i polskim.

David Baynton z Anglii, Hemel Hempstead, 58 Rayburn Road, Hertfordshire England. Lat 32, jest pracownikiem na-ukowym. Interesuje się muzyką, fotografią i sportem. Pragnie korespondować z warszawiakami.

Andrija Sabo z Jugosławii, Backi Petrovac, ul. 28 Oktober 36. Zbiera widokówki i znaczki pocztowe. Lubi sport i turystykę. Pragnie korespondować w języku serbskim, rosyjskim i nie-mieckim. Ma 17 lat.

Izaak Jakubowicz z Izraela, Beer-Shera, Szikun D 71/14. Lat 22. Interesuje się filatelistyką, turystyką i sportem. Zbiera widokówki i płyty.

Gernot Braune z NRD. Warin/Sternberg, PSF 9264 R. Lat 22, żołnierz armii ludowej NRD. Zbiera widokówki i fo-tosy gwiazd filmowych. Interesuje się filmem i literaturą. Korespondencja po niemiecku.

Inne czasy, inna epoka, ale było w tym coś sympatycznego. Na zdjęciu dwa znaczki pocztowe z lat 60. XX w. **mk**



Te smutki...

*Te smutki „indywidualisty”...
One nie chcą się opowiadać
– Nie potrzebują wygadywać się
Do ludzi
Obywają się bez nich
Nie trzeba im towarzystwa*

*Nie wynoszą się – ale obejście się,
mówią
Do chętnych spojrzeń
Do życzliwego nawet ucha...*

*Sam muszę z tym pochodzić
Może się rozjeździe ?
Może z innego, głębiej ukrytego GPS-u
Trzeba tu wskazówki?*

*Bo kto by wiedział, lepiej czuł
– Co pękło ?
– Kiedy?
Skąd woda w źródle zatruta?
Co się samemu nawarzyło?
I piwo cierpko gorzkie nazbyt...*

*Ot, jest trochę tych rachunków
Nieprzeterminowanych
W Banku Najbardziej Osobistym...
– Wiedzą...
I trzeba samemu to uregulować
– Wypić zapłacić odcierpieć
Umrzeć
– Odwieczny schemat.*

*Kwestią więc tylko
(I kwestią „klasy”, jak się słyszy)
Byłaby raczej powściągliwość?
Z jaką by trzeba przejść
– Kwestia więc nie obnoszenia się
Nie zadawania się z byle kim
Byle po co...
Te smutki – indywidualisty...*

*Pośród pobojowiska roku
Rozjaśnionego niekiedy zablakowanym reflekssem
Listopadowego słońca
Pomocnym
Jakże praktycznym, westchnieniem:
„Byle do wiosny...”
Choć niechby to wiosna szumiła właśnie
Dla reszty świata*



Leszek Długosz

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
wSIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przedruku w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZA

Ilu szpiegów masz w domu?

Na jednej z konferencji poświęconych nowym technologiom wśród gadżetników była mała gumowa nakładka z logo firmy IBM – do założenia ma górną krawędź ekranu monitora laptopa. Ujęła mnie ironia tej sytuacji: tani, analogowy kawałek gumy jako w pełni skuteczne zabezpieczenie prywatności w razie zhakowania internetowej kamery.

Sensor to urządzenie, które pobiera jakieś informacje z otoczenia i zapisuje je. Człowiek jest takim urządzeniem. Zwykle mówi się, że mamy pięć zmysłów: słuchu, wzroku, smaku, dotyku i węchu. Rzadziej uwzględnia się zmysły równowagi, odczuwania bólu, temperatury i propriocepcji (dzięki niej orientujemy się, gdzie aktualnie znajdujemy się poszczególne części naszych ciał, np. gdy zakładamy nogę na nogę). Wychodzi zmysłów dziewięć. A ile czujników ma twój smartfon?

Czytnik linii papilarnych „wpuszcza” cię do środka. Podobnie skaner tęczy. W tle działają już przyspieszniomierz, który mierzy ruch komórki w trzech wymiarach, i żyroskop, dzięki któremu obraz ustawia się poziomo, gdy oglądasz film. Gdy podczas rozmowy przykładasz telefon do twarzy, czujnik zbliżeniowy wyłącza ekran. A mikrofon może być aktywny nie tylko wtedy, gdy z kimś rozmawiasz przez telefon.

Czujnik światła dopasuje jasność wyświetlacza do warunków otoczenia. Czujnik gestów za pomocą promieni podczerwonych rozpoznaje ruchy rąk czy twarzy przed smartfonem. Czytnik linii papilarnych może mieć też wbudowany miernik twojego pulsu. Krokomiernik mierzy kroki. Jeśli włączysz kompas, wykorzystywany jest czujnik geomagnetyczny. Może też być barometr. Moduł GPS także jest swojego rodzaju sensorem – przecież kontaktując się z satelitami, określa twoje położenie w świecie. A ekran dotykowy to nie sensor?

Do czego służy czujnik temperatury i wilgotności pewnie wiesz, choć raczej



*Tak, gadżety mają
znacznie więcej zmysłów
niż ty. W dodatku
sztuczne zmysły nie są tak
zapominalskie jak twoje*

nie za bardzo się orientujesz, komu bardziej służy – tobie czy raczej komuś innemu, kogo pewnie nigdy nie poznasz. A o czujniku Halla już wiesz? Na pewno zauważyłaś, że twój smartfon ma dwa aparaty foto – z przodu i z tyłu; pewnie zapominasz, że jeśli nie są zasłonięte, to w każdej chwili mogą być zdalnie włączone. Przez hakera, policję, tajną służbę.

Czy wiesz, ile urządzeń w twoim domu ma czujniki? Może masz więcej smartfonów niż członków rodziny;

niektórzy poza prywatnym mają dwa służbowe. Kilka laptopów, tabletów, xboxa, inteligentny telewizor, który też potrafi filmować i nagrywać. A inteligentne zegarki i opaski treningowe? Też swoje czują. Na przykład są w stanie określić poziom natlenienia twojej krwi bez żadnego nakłuwania skóry (funkcja pulsoksymetru).

Może wszystko byłoby fajnie, gdyby nie to, że prawie wszystkie z tych czujników są podłączone do internetu – co znaczy, że mogą być zhakowane. Rozrusznik serca też może być podłączony do internetu, tak jak kamera na twej posesji, z której obraz możesz oglądać, będąc w pracy. A gdy myślisz, że w twoim domu wszystko już śpi, a twój samsung jest w trybie samolotowym (odłączony od sieci), to jego sensory jednak rejestrują odgłosy życia, a gdy tryb samolotowy wyłączysz, to zapisane pakiety informacji smartfon wysła, gdzie trzeba.

Tak, gadżety mają znacznie więcej zmysłów niż ty. I nie myśl, że wymieniałem tu już wszystkie rodzaje sensorów. W dodatku sztuczne zmysły nie są tak zapominalskie jak twoje. Jak coś namierzą, to zostanie to zapisane i przekazane. Potem przetworzone.

W tle tego całego rejestrowania sygnałów ze świata cały czas pracuje mnóstwo systemów sztucznej inteligencji, które zajmują się... No właśnie, jak sądzisz, czym te systemy się zajmują? Przetwarzają dostarczany przez sensory ocean danych na twój temat. W jakim celu wykonują tyle pracy? Dla ciebie – szarej, obywatelskiej myszki?

Czytelniku, już się w tych techno zmysłach pogubiłeś?

Żaden ludzki umysł tego wszystkiego nie jest w stanie przetworzyć i ogarnąć. Żaden. Ale ona tak. Tak, sztuczna, głupia inteligencja. Tak właśnie ma być. Taka jest natura współczesnej cywilizacji – po cóż ją nam rozumieć! Mamy się cieszyć z kolejnej zabawki.

Andrzej Zybertowicz

PLEBISCYT DLA CZYTELNIKÓW

Człowiek Wolności

tygodnika **SIECI**

VIII EDYCJA
PLEBISCYTU

Już po raz ósmy wybieramy **Człowieka Wolności**,
czyli osobę, dla której wolność jest wartością najważniejszą,
a jej obrona i szerzenie codzienną powinnością



2019

Premier
**Mateusz
Morawiecki**



2018

Minister Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
prof. Piotr Gliński



2017

Prezes Trybunału
Konstytucyjnego
Julia Przyłębska



2016

Prezes PiS
**Jarosław
Kaczyński**



2015

Prezydent RP
Andrzej Duda



2014

Poeta i pisarz
**Jarosław Marek
Rymkiewicz**



2013

Historyk z IPN
**prof. Krzysztof
Szwagrzyk**

Zapraszamy Czytelników, by razem z nami wybierali **Człowieka Wolności 2020**.

Prosimy wypełnić kupon i **prześłać go do 11 grudnia 2020 r.** na adres: Fratria Sp. z o.o., ul. Finlandzka 10, 03-903 Warszawa, z dopiskiem „Plebiscyt”.
Regulamin plebiscytu dostępny na www.wsieciprawdy.pl.

KUPON ZGŁOSZENIOWY – Plebiscyt Człowiek **W**olności 2020 tygodnika **SIECI**

imię i nazwisko kandydata

uzasadnienie



Akceptuję Regulamin plebiscytu „Człowiek Wolności 2020 tygodnika Sieci” dostępny na stronie www.wsieciprawdy.pl i oświadczam, że zapoznałam/em się z jego treścią.*

* pole obowiązkowe

Partnerzy plebiscytu



Organizator plebiscytu



Lotteria Świąteczna



Do wygrania

5 MILIONÓW

zakładów Lotto

oraz
ponad
500
nagród!



2x
Toyota
Yaris

20 x
SONY
Xperia 5 II



12 x
iRobot
Roomba s9



500 x
Bon upominkowy



Kup dowolne produkty za min. 6 zł. Wybierz grę Lotto i dodatkowo zyskaj szansę na jeden z **5 milionów** zakładów Lotto.

Pamiętaj, zachowaj kupon loterii promocyjnej!



Informujemy, że w gry liczbowe i loterie mogą grać jedynie osoby, które ukończyły 18 lat.

Szczegóły i regulamin na lotteriaswiateczna.pl. Okres sprzedaży promocyjnej trwa od 26 listopada do 31 grudnia 2020 r. Liczba talonów jest ograniczona i wynosi 5 000 000 sztuk. Organizator loterii: Totalizator Sportowy Sp. z o.o., ul. Targowa 25, 03-728 Warszawa.

Graj w punktach LOTTO i na

lotto.pl

Oprawca błyskawicznie traci dach nad głową

NOWA ERA WALKI Z PRZEMOCĄ DOMOWĄ W POLSCE

Za nami pierwsze dni obowiązywania tzw. ustawy antyprzemocowej, która w sposób bezprecedensowy chroni ofiary przemocy domowej w Polsce. Podstawowym celem nowego prawa jest jak najszybsze przerwanie patologicznej relacji ofiary z oprawcą, którzy dotąd zamieszkiwali pod jednym dachem. Państwo polskie po raz pierwszy w swojej historii w sposób tak zdecydowany i bezkompromisowy wzięło stronę ofiar.

Zjawisko przemocy domowej to niestety poważny problem społeczny.

– Według statystyk policji rocznie prawie 250 tys. osób w Polsce może być dotkniętych lub zagrożonych przemocą domową. Podobnie jak w innych krajach europejskich jest to więc poważny problem społeczny, który wymaga zdecydowanych działań. Chociaż jednocześnie Polska na tle „postępowych”

krajów wyróżnia się znacząco niższym poziomem tego typu przestępczości, co wynika z danych europejskiej Agencji Praw Podstawowych. Niemniej jednak zjawisko to narasta w czasie pandemii – mówi wiceminister sprawiedliwości Marcin Romanowski.

Od 30 listopada w Polsce służby porządkowe, takie jak policja czy Żandarmeria Wojskowa, zyskały jednak nowe prawne narzędzie do skutecznej pomocy ofiarom przemocy domowej. Już w czasie pierwszej interwencji domowej, w przypadku jednoznacznej oceny sytuacji przez patrol interwencyjny, funkcjonariusze mogą nakazać natychmiastowe opuszczenie domu osobie podejrzewanej o znęcanie się nad swoimi współdomownikami. Sprawca będzie miał kilka minut na spakowanie niezbędnych rzeczy i – jeśli o to poprosi – zostanie listę z adresami placówek, takich jak noclegownie, ale to na jego

barki spadnie problem zapewnienia sobie nowego dachu nad głową. Dotychczas zbyt często bywało tak, że to ofiary – przerażone i terroryzowane – musiały uciekać z domu, by odizolować się od sprawcy. Tym samym osoby poddane przemocy cierpiały podwójnie. Nowe prawo zmienia to w sposób diametralny.

– To absolutnie przełomowa ustawa. Polska dołącza do krajów, w których ofiary przemocy domowej mogą liczyć na natychmiastową skuteczną pomoc. Od dzisiaj sprawca przemocy fizycznej, stanowiącej zagrożenie dla życia lub zdrowia domowników, będzie musiał niezwłocznie opuścić mieszkanie. Dostanie też zakaz zbliżania się do domostwa. Te sankcje natychmiast wyegzekwuje policja, a sądy w błyskawicznym trybie zajmą się sprawą – dodaje minister Romanowski. ●

MECHANIZM DZIAŁANIA NOWEGO PRAWA

1. Policja zostaje wezwana do domostwa, gdzie dochodzi do przemocy.
2. Po rozpoznaniu sytuacji i niebudzącym wątpliwości wytypowaniu osoby stanowiącej zagrożenie dla innych domowników funkcjonariusze wydają jej nakaz natychmiastowego opuszczenia mieszkania oraz zakaz zbliżania się do mieszkania oraz jego bezpośredniego otoczenia przez następne dwa tygodnie.
3. Na wniosek osoby dotkniętej przemocą sąd może ten okres przedłużyć. Nowe przepisy przewidują kontrolę sądową nad stosowaniem nowego środka. Sąd może też w uzasadnionych przypadkach uwzględnić zażalenie sprawcy przemocy i uchylić zastosowany środek. Nadal istnieć będzie możliwość złożenia do sądu wniosku o opuszczenie lokalu przez stosującego przemoc.
4. Nowe prawo wprowadza również usprawnienie przebiegu postępowania. Szybka procedura będzie możliwa m.in. dzięki temu, że pisma procesowe będzie mogła doręczać policja, a nie jedynie poczta. Policja będzie też zobowiązana do udzielania sądowi wszelkiej pomocy, niezbędnej do szybkiego zakończenia sprawy, np. przy ustaleniu adresu świadka. W pewnych przypadkach sąd będzie mieć trzy dni na rozpatrzenie wniosku ofiary przemocy, natomiast całą sprawę będzie musiał rozpoznać w ciągu miesiąca od złożenia wniosku.
5. Orzeczenia sądu zobowiązujące sprawcę przemocy do opuszczenia mieszkania oraz zakazu zbliżania się do mieszkania będą wykonywane już od ich ogłoszenia.
6. Osoby domagające się zastosowania takich środków wobec oprawcy zostaną zwolnione z kosztów sądowych, co oznacza, że znika bariera materialna dla osób, które dotąd z powodu braku pieniędzy nie mogły się ubiegać o pomoc prawną.

PARTNERZY DODATKU



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI

www.ms.gov.pl

epresa.pl 78c39cecb0

Czym różni się realna pomoc od ideologii?



Srodowiska lewicowe udają, że nie dostrzegają działań rządu Zjednoczonej Prawicy na polu troski o prawa kobiet, dlatego zupełnie nie podnoszą wejścia w życie ustawy antyprzemocowej. Środowiska te, których przez ćwierć wieku rządów nie było stać na uchwalenie podobnego prawa, ubolewają nad możliwością wypowiedzenia tzw. konwencji stambulskiej, która ma rzekomo chronić prawa kobiet.

Faktem jest, że konwencja stambulska w sposób dyskusyjny definiuje przyczyny zjawiska przemocy wobec kobiet, głównego zagrożenia upatrując w tzw. tradycyjnym podziale na role męskie i żeńskie w społeczeństwie. W tym miejscu jest więc tożsama z założeniami ideologii gender, która odrzuca biologiczny podział na płcie, a twierdzi, że są one jedynie wytworem kulturowym, głównie procesu wychowania. Konwencja stambulska także upatruje sposobu na wyeliminowanie patologicznych zjawisk przemocy w ramach całkowitego odrzuceniu podziału na kobiety i mężczyzn w sposób, w jakim rozumie go człowiek ukształtowany w naszej cywilizacji. Podejście to z pewnością jest rewolucyjne i już nawet to sprawia, że taka teoria nie daje absolutnie żadnej gwarancji na pozbycie się przemocy z naszego życia społecznego, a zwłaszcza na skuteczną

ochronę kobiet. Nie wiadomo bowiem, w jaki sposób dowolność wyboru płci miałaby przeciwdziałać takim zjawiskom chociażby, jak alkoholizm czy narkomania, które w zdecydowanej większości przypadków są bezpośrednimi przyczynami zjawiska przemocy domowej.

Chcąc pomóc ofiarom w sposób realny i skuteczny, rząd Zjednoczonej Prawicy postanowił sięgnąć do rozwiązań przetestowanych już w innych krajach. Podobne do polskiej ustawy antyprzemocowej zapisy od 20 lat funkcjonują już bowiem

w Austrii, a od niedawna tę drogę prawną zaimplementowały także Czechy. Zastosowanie prawa, które z powodzeniem chroni ofiary przemocy domowej w innych krajach, to z pewnością bardziej racjonalne działanie niż opieranie się na zideologizowanej i zupełnie niepoznanej w swoich skutkach konwencji stambulskiej. Pojawia się zatem pytanie, dlaczego osoby, które rzekomo troszczą się o zatrzymanie zjawiska przemocy domowej, nie sięgają właśnie po takie sprawdzone sposoby walki z nią, a z uporem lansują kontrowersyjne, nasycone ideologicznymi nowościami zapisy, które nigdzie nie doczekały się jeszcze rzetelnej weryfikacji. Szukając odpowiedzi, nie sposób uciec od sugestii, że tak naprawdę nie chodzi wcale o walkę z przemocą, tylko o budowę nowego modelu społecznego, który całkowicie zerwie z tradycją, religią i wytworami kultury klasycznej. W tej sytuacji Polska i polskie kobiety nie poniosą żadnej szkody w przypadku wypowiedzenia konwencji stambulskiej, bo tak naprawdę nie daje im ona żadnego wsparcia, w przeciwieństwie do ustawy antyprzemocowej, która realnie zajmuje się przeciwdziałaniem przemocy i nie przemycza żadnych zbędnych ani pseudonaukowych treści ideologicznych. ●

Z KIM SIĘ ZGADZASZ?

Przyczyny przemocy domowej według twórców ustawy antyprzemocowej:

- alkoholizm,
- narkomania,
- rozbieżności w rodzinie,
- nadużywana w mediach seksualizacja i wulgaryzacja obrazu kobiet.

Przyczyny przemocy domowej według autorów konwencji stambulskiej:

- tradycja,
- kultura,
- cywilizacja, w której role kierownicze przypadają głównie mężczyznom,
- religia.



Problem „wolnościowców”

GROŹBA FAŁSZYWEGO POMÓWIENIA

Kontrowersje wzbudziło to, że nakaz opuszczenia mieszkania będzie mógł być zastosowany nawet wobec jego prawowitego właściciela. Teoretycznie można sobie zatem wyobrazić sytuację, w której partnerka lub partner, chcąc się pozbyć współdomownika, pomówi go fałszywie o stosowanie przemocy i doprowadzi do – przynajmniej tymczasowej – eksmisji z własnego lokalu.

RYZIKO POMÓWIENIA STARE JAK ŚWIAT

Niestety ryzyka fałszywych oskarżeń nie sposób wyeliminować z przestrzeni społecznej, ale gdyby miało ono stanowić barierę dla wprowadzania penalizacji przestępstw, to w zasadzie nie mógłby obowiązywać żaden Kodeks karny. W ten sam sposób można bowiem pomówić każdą osobę, której chce się zaszkodzić, o dowolne inne przestępstwo.

Twórcy ustawy antyprzemocowej, zdając sobie jednak sprawę z możliwości nadużywania nowego prawa, postanowili oprzeć się na doświadczeniu

i rozeznaniu sytuacji przez policję. Nie jest bowiem tajemnicą, że większość domostw, w których dochodzi do przemocy domowej, jest funkcjonariuszom znana, tylko dotąd brakowało im narzędzia, by spiralę przemocy skutecznie, bo natychmiastowo, przerwać. Ustawa antyprzemocowa takiego narzędzia wreszcie dostarcza.

OGRANICZENIE PRZEMOCY TO ZDROWSZE SPOŁECZEŃSTWO

Za odrzuceniem argumentu, że możliwość fałszywego pomówienia powinno zastępować wprowadzenie ustawy, przemawia także skala zjawiska przemocy domowej. Niestety jest to na tyle ważny problem społeczny, że warto podjąć zdecydowane próby jego ograniczenia. Nie ma jeszcze dokładnych badań mówiących o wpływie pandemii i konieczności izolacji domowej na wzrost liczby przypadków przemocy domowej, ale zdaniem wielu socjologów wyjątkowa sytuacja wytworzona przez walkę z wirusem będzie miała taki właśnie szkodliwy skutek uboczny. ●



Funkcjonariusz podejmujący interwencję związaną z przemocą domową oceni, czy osoba stosująca przemoc fizyczną stwarza zagrożenie dla życia lub zdrowia domowników. Jeśli będzie takie niebezpieczeństwo, policjant wyda bezwzględny nakaz natychmiastowego opuszczenia mieszkania przez sprawcę przemocy. Nakaz ten będzie egzekwowany – łącznie z możliwością użycia środków przymusu – nawet jeśli sprawca oświadczy, że nie ma dokąd się wyprowadzić. Chcemy się też oprzeć na wiedzy, doświadczeniu i wieloletniej praktyce policjantów, dla których samo przeprowadzenie interwencji domowej oraz dokonanie właściwej oceny zastanej sytuacji nie jest niczym nadzwyczajnym. Nie bez znaczenia jest bowiem okoliczność, że do wspomnianych interwencji często dochodzi w rodzinach dobrze znanych policji.

Dr Marcin Romanowski,
wiceminister sprawiedliwości



Ustawa nie ogranicza zakresu świadczonej pomocy

Obecne kierownictwo Ministerstwa Sprawiedliwości długo i z uporem zabiegało o uchwalenie takiej ochrony ofiar, jaką daje ustawa antyprzemocowa. Nie oznacza to jednak, że wcześniej nie były świadczone inne formy pomocy ofiarom. Nie oznacza też, że standardy wypracowane w ramach aktywizacji Funduszu Sprawiedliwości nie będą nadal realizowane.

Dzięki sieci ośrodków pomocy dla osób pokrzywdzonych przestępstwem dziesiątki tysięcy osób zyskało szansę na nowe życie. Ośrodki finansowane z Funduszu Sprawiedliwości świadczą pomoc materialną, prawną i psychologiczną. Znaczącą liczbę spraw, jakimi zajmują się pracownicy ośrodków, stanowią właśnie przypadki przemocy domowej, której ofiarami padają oczywiście przede wszystkim kobiety i dzieci. Do ośrodków często zgłaszają się matki i żony, które nie tylko bardzo cierpiały fizycznie, zamieszkując z oprawcą pod jednym dachem, lecz także materialnie, bo to już niemal patologiczna norma, że znęcanie się nad rodziną idzie w parze z brakiem zabezpieczania jej potrzeb życiowych. Można domniemywać, że wiele ofiar, które dzięki ustawie antyprzemocowej uwolni się wreszcie od wspólnego życia z oprawcą, będzie wymagało dalszej opieki, głównie poprzez wsparcie finansowe. Po wejściu w życie ustawy

nie się w funkcjonowaniu ośrodków wsparcia nie zmieni i nadal będą one świadczyły kompleksową pomoc swoim podopiecznym.

– Pamiętajmy, że ośrodki Funduszu Sprawiedliwości oferują też pomoc psychologiczną ofiarom przemocy. Ponadto działa w nich pomoc prawna dla osób pokrzywdzonych przestępstwem. Ofiara przemocy domowej otrzymuje w nich jednak nie tylko wsparcie prawne. Fundusz pomaga jej odbudować życie, przekwalifikować się, zdobyć nowe kompetencje. Izolacja sprawcy to pierwszy krok do przerwania spirali przemocy. Ważną rolę w tym systemie odgrywają sądy. Od ich sprawności w stosowaniu przepisów bowiem zależy, czy wpłyną one w dłuższej perspektywie na spadek liczby przestępstw. To, co jest jednak niezaprzeczalne, to to, że niezależnie od liczby takich przypadków ofiara otrzymuje od funduszu realną i skuteczną pomoc – podkreśla wiceminister Marcin Romanowski, odpowiedzialny za nadzór nad funduszem w Ministerstwie Sprawiedliwości.

Fundusz Sprawiedliwości stara się wyrównywać szanse Polaków na godne życie, przede wszystkim poprzez umożliwianie szerokiego dostępu do usług prawnych czy wsparcia psychologicznego bez względu na status materialny potrzebującego. ●

GDZIE SZUKAĆ POMOCY W RAMACH FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI

O pomoc w ramach Funduszu Sprawiedliwości najłatwiej się zwrócić, telefonując na całodobową, czynną 7 dni w tygodniu infolinię obsługiwaną przez Ministerstwo Sprawiedliwości **222 309 900**.

Połączenie z tym numerem jest bezpłatne dla ofiar i świadków przestępstw. Jednocześnie więcej sposobów kontaktu, w tym wykaz ośrodków świadczących pomoc ofiarom przestępstw, można znaleźć na stronie www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl, gdzie m.in. umieszczono wykaz kilkuset placówek i ośrodków pomocowych rozsianych po całej Polsce.